

NAUKA • BADANIA • KULTURA

# GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

**YUFE, czyli opowieść o ludziach**

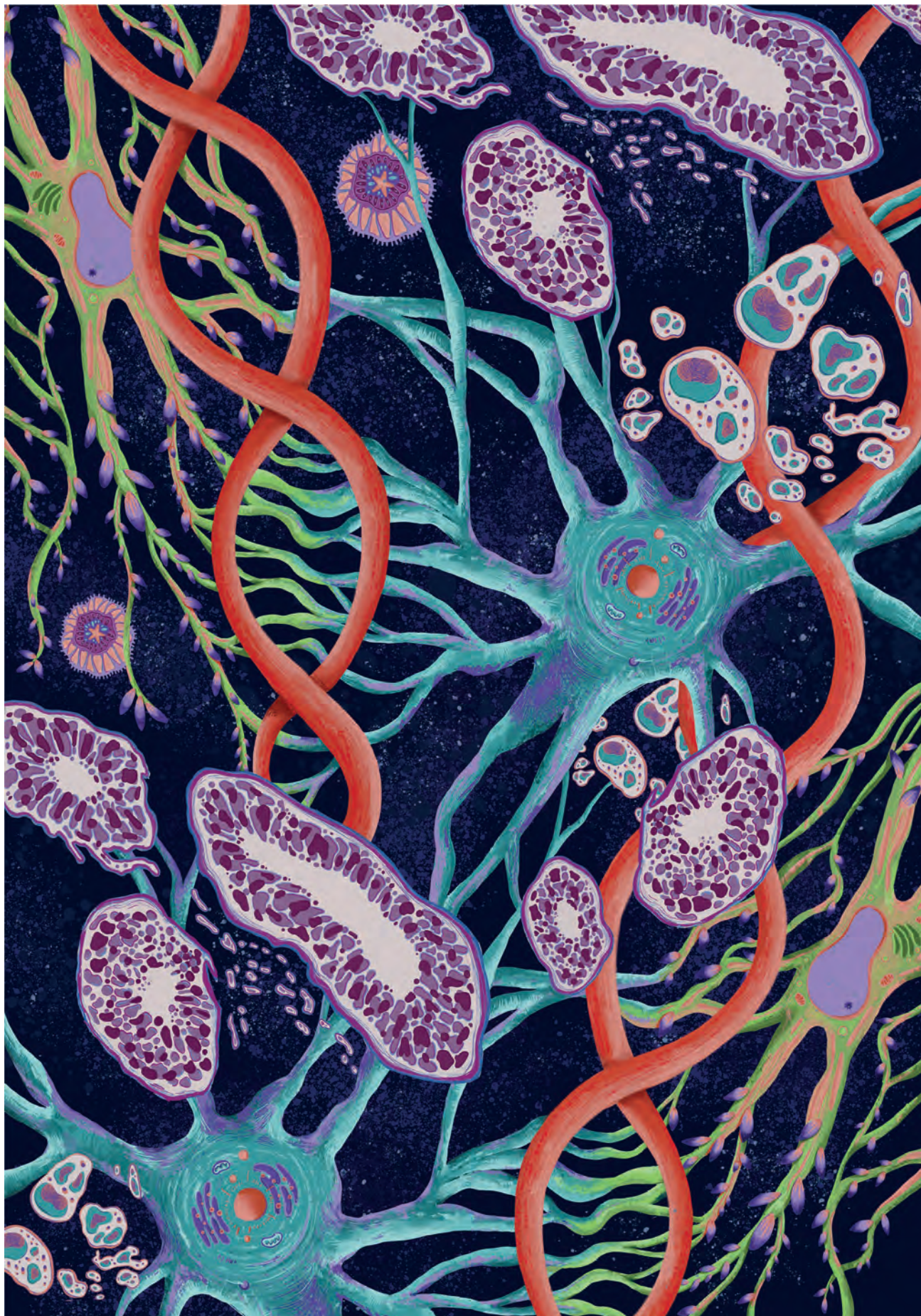
**Stary Toruń – kapsuła czasu**

**Popularyzować naukę?  
Tak! Ale jak?**

**Dietetyczne fake newsy**



UNIwersYTET  
MIKOŁAJA KOPERNIKA  
W TORUNIU



# Łatwogang i republika dobrowolności

Wmówiono nam, że ludzie w dzisiejszych czasach już nie umieją wyciągnąć pomocnej ręki, a solidarność – ta wielka dama dawnych czasów – poszła na emeryturę i karmi gołębie w parku. Aż tu nagle przychodzi Łatwogang i robi zbiórkę, która rozwala ten wygodny cynizm na kawałki.

Bo sukces tej niedawnej akcji charytatywnej nie jest tylko sukcesem cyfr. Nie chodzi o to, że zebrano dużo. W epoce, w której wszystko mierzy się słupkiem, kliknięciem i zasięgiem, sama suma (choć gigantyczna) jest najbardziej... banalnym elementem całej historii. Ciekawsze jest to, że tysiące ludzi – rozproszonych, zajętych, zmęczonych własnymi rachunkami, kredytami i codziennym „jakoś to będzie” – nagle uznały, że jednak warto.

To nie jest mała rzecz. W kraju, gdzie narodowym sportem bywa podejrzliwość, a ulubioną formą komentarza „na pewno ktoś na tym zarabia”, wydarzył się zbiorowy odruch zaufania. Ludzie nie tylko wpłacali. Ludzie kibicowali. Udostępniali. Nakręcali innych. Przeżywali wynik, jakby to był mecz o coś większego niż punkty. I był! Bo zbiórka Łatwoganga pokazała coś, czego nie lubią zawodowi komentatorzy katastrofy: wspólnota nie umarła. Ona tylko rzadko dostaje sensowny pretekst, żeby się ujawnić.

Łatwogang nie stworzył cudu. On uruchomił mechanizm, który istniał od dawna, tylko był zardzewiały. Okazało się, że Internet – ten sam, który potrafi zamienić debatę w śmietnik – może być także narzędziem mobilizacji. Że społeczność to nie zawsze tłum awanturujących się awatarów. Czasem to po prostu ludzie, którzy chcą pomóc. To brzmi naiw-



nie? Owszem. Ale dziś cynizm bywa często przebraniem intelektualnego lenistwa.

Są oczywiście tacy, którzy sukces zbiórki natychmiast próbują sprowadzić do marketingu. Że format był dobry. Że marka mocna. Że emocja dobrze sprzedana. Pewnie tak. Ale czy naprawdę ktoś chce twierdzić, że sprawnie opowiedziana idea jest mniej wartościowa od idei źle opowiedzianej? To nie manipulacja, kiedy ludzie dobrowolnie chcą uczestniczyć w czymś sensownym.

Najbardziej uderza jednak coś jeszcze. Wokół sukcesu zbiórki nie było triumfu celebryckiego namiętności. Była raczej energia osiedlowego podwórka, tylko przeniesiona do skali masowej. Taki cyfrowy odruch: „dorzucam się, bo to nasze”. A „nasze” to dziś słowo rzadkie.

Może dlatego ta historia budzi emocje większe niż sama zbiórka. Bo daje przebłysk, że społeczeństwo nie musi być wyłącznie zbiorem samotnych konsumentów. Może być czasem organizmem. I dlatego sukces Łatwoganga nie jest historią tylko o pieniądzu. To historia o tym, że wbrew zawodowym pesymistom, ludzi nadal można porwać nie tylko skandalem, ale także sensem.

A to – proszę wybaczyć patos – jest wiadomość znacznie cenniejsza od końcowej kwoty na liczniku.

**Winicjusz Schulz**

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”



## YUFE, czyli opowieść o ludziach

s. 9



## Stary Toruń - kapsuła czasu

s. 20



## Popularyzować naukę? Tak! Ale jak?

s. 32



## Dietetyczne fake newsy

s. 35

NAUKA • BADANIA • KULTURA  
**GŁOS UCZELNI**

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marek Jurgowiak, Marcin Lutomierski (zastępca redaktora naczelnego), Maurycy Męczekalski,

Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Nikodem Pręgowski, Bartosz Rakoczy, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski. Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Drukarnia Cyfrowa Wydawnictwa Naukowego UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



## Skarb znaleziony na strychu

s. 44



## Kosmologiczne problemy życia

s. 55



## Wojciech Kossak, jakiego nie znamy

s. 85

Łatwogang i republika dobrowolności	3
Wiara, nadzieja i... medycyna	6
YUFE, czyli opowieść o ludziach	9
Stary Toruń – kapsuła czasu	20
Tu się zaczynały dzieje Torunia	23
Nauka i sztuka poszły w miasto	24
Ciągłość i zmiana, czyli święto... ciekawości	27
„Sława i chwała” nauki, czyli pewien kłopot z popularyzacją	29
Popularyzować naukę? Tak! Ale jak?	32
Dietetyczne fake newsy – dlaczego wierzymy w mity żywieniowe?	35
Płytki i splątki, czyli dziedzictwo doktora A	38
Czy Mikołaj Kopernik przeprowadzał korektę druku swego dzieła <i>De revolutionibus</i> ?	42
Skarb znaleziony na strychu	44
O historii badania ciała ludzkiego	46
Wielogłos o istnieniu	54
Kosmologiczne problemy życia	55
Konsekwencje długiego życia	57
Po co państwu konstytucja?	60
Adopcja anglicyzmów	62
Powrót jesiotra	64
Wakacje z wojną w tle	69
Czechy mniej znane	71
Wino z misją i tradycją – śladami trzech wielkich domen Frankonii	74
Szwęta na Kaszëbach – tradycje weselne między obrzędem, zabawą i pamięcią lëdu	80
Wojciech Kossak, jakiego nie znamy	85
Nagroda Historyczna „Polityki”	91
Józef Czapski – szkic do portretu	92
Dynamika zmian. Współczesne badania nad komunikacją	95
Pytajnik	97
Pożegnanie z KLAMRĄ	98

Winicjusz Schulz

# Wiara, nadzieja i... medycyna

Wiara – bo zarówno chory pacjent, jak i lekarz powinni wierzyć, że uda się jednak znaleźć sposób na uratowanie zdrowia, a nawet życia. Nadzieja – mówi, że umiera ostatnia, ale też pozwala wierzyć, że nauki medyczne znajdą ten sposób, nawet jeśli dotąd go nie było. I wreszcie medycyna – ta najnowocześniejsza, niekiedy eksperymentalna, która przesuwa granice życia.

I to wszystko spotyka się w Uniwersyteckim Centrum Wsparcia Badań Klinicznych Collegium

Medicum UMK, które 15 maja oficjalnie otwarto w Bydgoszcy w jednym z budynków na terenie Szpitala Uniwersyteckiego nr 1 im. dr. Antoniego Jurasza.

To instytucja, jakiej dotąd w naszym regionie nie było. Centrum w ramach Krajowego Planu Odbudowy uzyskało dofinansowanie w wysokości 14,67 mln zł. Służyć będzie zarówno pacjentom, jak i badaczom, lekarzom i szeroko rozumianej branży medycznej, farmaceutycznej. Jak? Tłumacząc w największym uproszczeniu: naukowiec ma pomysł na unikatowy



lek, terapię. To może być przełom w leczeniu schorzenia, danej choroby, wobec której medycyna była dotąd bezradna, bądź mało skuteczna. Ale od pomysłu do realizacji droga przecież bardzo daleka. Wiedzie m.in. przez poszukiwanie środków (niekiedy sporych), żmudne badania kliniczne, zdobywanie certyfikatów, zgód, testy itd. A czas jest bezcenny, a raczej jego ceną może być czyjeś zdrowie, życie. Centrum ma w tym pomóc. Naukowców wesprzeć, pacjentom dać szansę na unikatowe terapie (oczywiście za ich zgodą, przy pełnej świadomości na co się decydują). Droga od pomysłu do finalnej realizacji ma być znacząco skrócona i łatwiejsza, zwłaszcza gdy z pomocą pospieszą nie tylko naukowcy, ale i także specjaliści od organizacji, ekonomii, prawa itd.

– Badania kliniczne należą do najbardziej wymagających obszarów współczesnej nauki. Łączą medycynę, regulacje prawne, finanse oraz odpowiedzialność wobec pacjentów – podkreślił dr hab. Adam Kola, prof. UMK, prorektor ds. nauki. – W takim środowisku sukces nie jest dziełem przypadku, ale dobrze zorganizowanego procesu. Dzisiejsze otwarcie jest tego początkiem.

Inauguracja Centrum, którym kieruje prof. dr hab. Paweł Zalewski, dziekan Wydziału Nauk o Zdrowiu Collegium Medicum UMK, to nie było tylko tradycyjne przecinanie symbolicznej wstęgi, zwiedzanie placówki, ale też bardzo ciekawa konferencja naukowa. Jak przystało na charakter Centrum, także unikatowa. Było to bowiem spotkanie, w którym wzięli udział uczeni zajmujący się medycyną eksperymentalną, mający doświadczenia z działań w kraju i za granicą. Ich wystąpienia były przede wszystkim przekazaniem tych doświadczeń: od analizy pomysłów, pozyskiwania aparatury, dokumentacji po rekrutację pacjentów, poszukiwanie sponsorów. A mówiły o tym prof. dr hab. n. med. Iwona Ługowska – pełnomocnik dyrektora ds. współpracy międzynarodowej, kierownik Oddziału Badań Wczesnych Faz Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowego Instytutu Badawczego, prof. dr hab. n. med. Beata Tarnacka – kierownik Kliniki Rehabilitacji Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. dr hab. Magdalena Kucia – kierownik Laboratorium Medycyny Regeneracyjnej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Dla niewtajemniczonych wiele aspektów ich wystąpień mogło brzmieć dziwnie, ale i z pewnością nader intrygująco. Jak zrekrutować pacjentów do badań, gdy osób spełniających restrykcyjne kryteria jest na przykład kilkadziesiąt w całej Europie? Jak



wygrać wyścig z czasem, gdy zdarza się, że sponsorzy dają badaczom sześć tygodni na uporanie się z procedurami i osiągnięcie gotowości do badań. Jak się nie uda, mogą szukać podobnych ośrodków badawczych w innych krajach i tam zainwestować fundusze przeznaczone na badania.

Kolejny ważny dylemat (a zarazem pułapka): czy zamykać projekty po chwilowym niepowodzeniu? Prof. Iwona Ługowska odwołała się do osobistego przykładu: pionierski projekt, ale pierwszy pacjent zmarł. Postanowiła jednak kontynuować badania i... pomogła kolejnym osobom. Z kolei prof. Beata Tarnacka przyznała, że postpandemiczne uwarunkowania zmusiły ją do zamknięcia jednego z jej projektów. Bywają też przypadki, przed czym przestrzegano, że pośpiech może powodować szybkie wydawanie dużych sum na zakupy drogiego sprzętu, który finalnie może okazać się... zbędny, gdy przedsięwzięcie nie powiedzie się. Tego typu dylematów, i to jakże praktycznych jest wiele – wszak mamy do czynienia z eksperymentami, a te mają w sobie wpisane także porażki.

Sukces rozleniwia, porażki motywują – to stwierdzenie (a zarazem przestroga) padło kilkakrotnie podczas debaty, która także stanowiła ważną część konferencji. Praktycy przestrzegali, że porażki jednak zapewne będą się zdarzały. Taka już specyfika pionierskiej działalności.

Bardzo ważnym aspektem badań klinicznych jest – co także wielokrotnie podkreślano – rekrutacja pacjentów, którzy zgodzą się uczestniczyć w badaniach. Wspomnieliśmy już o restrykcyjnych warunkach: jednym z najważniejszych jest brak



chorób współistniejących przy występowaniu rzadkiego schorzenia. Ważny może okazać się też wiek. Problem w tym, czy Centrum takiego pacjenta znajdzie, czy do niego szybko dotrze, a z kolei czy pacjent będzie wiedział o istnieniu takiego Centrum. Sytuacja wręcz wymarzona byłaby taka: lekarz podstawowej opieki medycznej po wstępnej diagnozie już mógłby do systemu informatycznego wprowadzić podstawowe informacje o takim pacjencie i jego schorzeniu. Można by także zaoferować pacjentowi wsparcie (nawet finansowe) umożliwiające dotarcie do Centrum.

Z kolei prof. Magdalena Kucia, mająca na koncie sporą część kariery naukowej w Stanach Zjednoczonych, wręcz apelowała, by we wszystkich działaniach celem nadrzędnym był pacjent i jego dobro. To eksperyment ma służyć pacjentowi, a nie odwrotnie!

– Badania kliniczne umożliwiają bezpieczną ocenę skuteczności i bezpieczeństwa nowych produktów oraz leków dla pacjentów – stwierdził prof. dr hab. Dariusz Grzanka, prorektor ds. Collegium Medicum UMK.

To stwierdzenie prorektora znajdzie teraz praktyczne odzwierciedlenie w codziennej działalności Centrum.

Zdjęcia: Winicjusz Schulz

Magdalena Barwiótek

# YUFE, czyli opowieść o ludziach

**Udział Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w sojuszu YUFE (Young Universities for the Future of Europe, <https://yufe.umk.pl/>) od kilku lat realnie zmienia sposób myślenia o edukacji, badaniach naukowych, współpracy międzynarodowej i społecznej odpowiedzialności uczelni.**

Dla UMK to nie tylko prestiżowe partnerstwo dziesięciu europejskich uniwersytetów (Maastricht University, Nicolaus Copernicus University in Toruń, Nouvelle University, University of Antwerp, University of Bremen, University Carlos III of Madrid, University of Cyprus, University of Eastern Finland, University of Essex, University of Rijeka UNIRI), ale przede wszystkim konkretne działania: wspólne kierunki studiów, projekty badawcze, rozwój wolontariatu, nowe standardy inkluzywności i współpracy z lokalnymi społecznościami. Dzięki tej publikacji nasi Czytelnicy będą mogli lepiej poznać nie tylko

sam projekt, ale także osoby w niego zaangażowane. Im też oddajemy głos.

– Dla mnie YUFE to przede wszystkim opowieść o ludziach – tworzona z ludźmi i dzięki ludziom. Dlatego do powstania tego artykułu i opowiedzenia o sojuszu YUFE zaprosiłam osoby, które na co dzień współtworzą działania sojuszu i najlepiej pokazują, jak bardzo YUFE zmienia nasz uniwersytet – mówi prorektorka ds. kontaktów międzynarodowych i dyrektorka wykonawcza YUFE prof. Magdalena Barwiótek. – YUFE buduje społeczność europejskich uniwersytetów opartą na różnorodności, wzajemnym szacunku i wspólnym poszukiwaniu odpowiedzi na współczesne wyzwania. To nowoczesne podejście do szkolnictwa wyższego: wspólne programy studiów, innowacyjne metody kształcenia, inicjatywy takie jak *Erasmus Mundus* czy *Urban Sustainability Studies*, ale także realna zmiana w myśleniu o edukacji – bardziej otwartej, międzynarodowej i zakorze-



Maastricht 2026 r.



Piotr Zariczny

nionej w europejskich wartościach. YUFE to również włączanie społeczności UMK w międzynarodowe badania naukowe, szkolenia z pisania grantów europejskich i tworzenie przestrzeni, w której nauka naturalnie łączy się z edukacją.

– Ciekawie jest obserwować, współtworzyć sieć, która kształtuje współpracę różnych instytucji na tak wielu poziomach. UMK kreuje nową rzeczywistość szkolnictwa wyższego, a nie tylko powiela istniejące wzorce. Mamy wspaniałą kreatywną kadrę i umiejętność realizowania wyznaczonych celów. Myślę, że nasi partnerzy to właśnie w nas cenią i postrzegają nas jako solidnego partnera. Dzięki temu realizując działania w obszarze zaangażowania społecznego – i nie tylko – pokazaliśmy, że w naszej społeczności są ludzie z pasją, wszechstronnymi kompetencjami i nietuzinkowymi pomysłami. I szczerze mówiąc, to właśnie praca z takimi osobami była i jest dla mnie największą wartością YUFE – zapewnia Katarzyna Pawlonka z Działu Międzynarodowych Partnerstw i Mobilności Edukacyjnej.

Jak dodaje prof. Elżbieta Kostulska (YUFE BA Urban Sustainability Studies minor coordina-

tor (sustainable tourism)): „YUFE stało się „katalizatorem zmian”, który wprowadza UMK w erę nowoczesnego europejskiego modelu kształcenia opartego na partnerstwie, mobilności i innowacji”.

– Od samego początku YUFE jako konsorcjum było przestrzenią międzynarodowego instytucjonalnego dialogu, nieobecnego wcześniej na tak dużą skalę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i do tego w takim wymiarze innowacyjności. Była to przestrzeń nowych, niekiedy bardzo trudnych organizacyjnie i finansowo, rozwiązań i pomysłów, których wartość nie zawsze była widoczna dla wszystkich i w każdym momencie. Pojawiające się problemy nie stanowiły jednak bariery, której nie da się pokonać, a raczej były wyzwaniem dla jakościowych zmian, począwszy od kształcenia na realizacji trzeciej misji uniwersytetu skończywszy. Jak to wyglądało w praktyce? Pamiętam, że gdy w czerwcu 2020 roku jako konsorcjum zaczęliśmy myśleć o powołaniu wspólnego kierunku studiów, nasze comiesięczne spotkania edukacyjnego workpackage’u były pełne obaw, narzekań, „niemożliwości”. Dziś Uczelnia prowadzi kształcenie na kierunku Urban Sustainability Studies, włączając w jego realizację i organizację kolejne wydziały i osoby. To jest prawdziwa zmiana – inkluzywna, integrująca, z wyraźnym planem na kolejne lata – wspomina dr Anna Kola – liderka zespołu Student Journey (WP2).

### UMK liderem zaangażowania społecznego

Uniwersytet Mikołaja Kopernika od początku obecności w sojuszu YUFE realizuje kluczową rolę w pakiecie Community & Civic Engagement, kierując działaniami związanymi ze współpracą z otoczeniem społecznym. Dzięki dotychczasowym osiągnięciom nasz Uniwersytet zyskał w konsorcjum status lidera społecznego zaangażowania. Przykładem efektywnej koordynacji jest stworzenie i prowadzenie największej w YUFE sieci Poradni Studenckich, w ramach których osoby studiujące wraz z wykładowcami udzielają bezpłatnej pierwszej pomocy ekspertów w różnych dziedzinach (prawo, zdrowie, edukacja, itp.) mieszkańcom Torunia, Bydgoszczy i regionu. Osiągnięcie to świadczy o zaangażowaniu kadry i studentów UMK oraz pozwala wzmacniać relacje uczelni z lokalnymi społecznościami.

Studenckie poradnie i help desk: UMK organizuje kilkanaście specjalistycznych poradni, w których osoby studiujące – pod opieką pracowników naukowych – odpowiadają na pytania mieszkańców z obszarów takich jak prawo, zdrowie, edukacja,

zarządzanie wodą, pomoc rodzinie, równość, innowacje czy technologia. To największa w sojuszu sieć takich inicjatyw, stanowiąca skuteczne wsparcie dla lokalnej społeczności.

– Działalność w poradni była dla mnie bardzo rozwijającym i satysfakcjonującym doświadczeniem. Szczególnie cenne były dla mnie działania edukacyjne skierowane do seniorów i senierek. Widziałam realne efekty naszej pracy – większą świadomość uczestników i uczestniczek oraz ich większą pewność w rozpoznawaniu fałszywych informacji – mówi Emilia Jastrzębska, studentka architektury informacji.

**Wolontariat lokalny:** studium mogą zaangażować się w działalność w różnych instytucjach Torunia i regionu. W ramach programów YUFE realizowane są projekty wolontariatu w Centrum Wsparcia Biznesu (pomoc przy organizacji konferencji i spotkań biznesowych), w Regionalnym Centrum Animacji Kultury (tworzenie wielokulturowych wydarzeń artystycznych) oraz w Fundacji Amicus i Copernican Integration Centre (m.in. warsztaty międzykulturowe, wydarzenia społeczne, ogród edukacyjny).

Dr hab. Piotr Zariczny z Centrum Wsparcia Biznesu w Toruniu, koordynator programu wolontariatu YUFE w CWB: „Program YUFE wniósł do Torunia prawdziwy międzynarodowy impuls rozwojowy, otwierając miasto na nowe perspektywy, idee i talenty z całego świata. Dotychczas CWB gościło już ponad 15 studentów-wolontariuszy. Każda z tych osób wносиła do Torunia świeżą energię, nowe spojrzenie na rozwój lokalnego biznesu oraz inspirujące międzykulturowe doświadczenia”.

**Zajęcia w Kawiarenkach Językowych YUFE** online lub wsparcie lokalne NGO – na UMK dostępne są także oferty wolontariatu w instytucjach takich jak Centrum Sztuki Artus czy Fundacja Court Watch Poland, które mogą prowadzić osoby studiujące. Wszystkie te działania rozwijają umiejętności studenckie (komunikację międzykulturową, empatię, rozwiązywanie problemów itp.) i jednocześnie dostarczają organizacjom unikalnych zasobów kompetencji.

**Programy integracyjne:** UMK wspiera także otwarte inicjatywy społeczne: **International Café** – cykliczne spotkania międzynarodowych studentów z mieszkańcami miast sojuszu w celu wymiany doświadczeń kulturowych – oraz nowy **Program YUFE Friend**, w którym lokalni mieszkańcy towarzyszą zagranicznym studentom i pracownikom, pomagając im w adaptacji. Pilotaż programu YUFE Friend roz-

począł się w roku akademickim 2024/2025. Dzięki temu UMK buduje silniejsze więzi między studentami a lokalną społecznością.

Koordynatorka działań YUFE z zakresu zaangażowania społecznego **Magdalena Stremplewska** podkreśla, że międzynarodowa współpraca uczy elastyczności i budowania relacji ponad granicami: „YUFE oznacza dla mnie przede wszystkim konkretne doświadczenie w prowadzeniu projektów i współpracy z różnorodnymi partnerami – często w sytuacjach, w których nie ma gotowych schematów i trzeba działać elastycznie. Praca w międzynarodowym środowisku, z wieloma uczelniami i organizacjami z różnych krajów, rozwija kompetencje komunikacyjne i organizacyjne, uczy cierpliwości, pozwala lepiej zrozumieć inne kultury i jednocześnie naturalnie buduje szeroką sieć kontaktów”.

### Szkolenia i certyfikaty

Sojusz oferuje liczne szkolenia wprowadzające w tematykę zaangażowania społecznego zarówno dla osób studiujących, jak i pracujących. Osoby studiujące odbywają **Introductory Training: Civic Engagement Activities** – 90-minutowy kurs online, podczas którego dowiadują się, dlaczego uczelnia i YUFE wspierają aktywność obywatelską oraz jak dokumentować kompetencje zdobyte przez wolontariat. Uczestnictwo w nim jest pierwszym krokiem do zdobycia YUFE Civic Star – cyfrowego certyfikatu potwierdzającego przynajmniej 50 godzin zaangażowania społecznego. Uzyskanie Civic Star wymaga realizacji pomocy w poradni lub wolontariatu oraz wypełnienia ankiet refleksyjnych. Na UMK cyklicznie organizowane są sesje szkoleniowe w języku angielskim, w trakcie których prezentowane są możliwości zdobycia Civic Star oraz narzędzia do identyfikacji umiejętności obywatelskich.

Równolegle dla pracowników UMK realizowane są sesje typu **„University-Community Engagement for Staff: What’s in it for me?”**. Przykładowo, w czerwcu 2025 roku odbyły się trzy sesje online prowadzone przez ekspertów YUFE. Uczestnicy poznawali tam nie tylko konkretne narzędzia pracy ze społecznością (np. model „science shop”), lecz także uczyli się, jak włączać zaangażowanie społeczne w misję uczelni. Celem takich szkoleń jest pokazanie pracownikom, dlaczego warto wzmacniać „trzecią misję” uczelni poprzez współpracę z otoczeniem. Po ukończeniu szkolenia każdy uczestnik otrzymuje certyfikat potwierdzający udział.



Aleksandra Derra



Aleksandra Kowalska



Aleksandra Śnieć



Anna Dubownik



Anna Kola



Anna Prykanowska



Bartłomiej Chłudziński



Czesław Adamiak



Elżbieta Grzelak-Kostulska



Jadwiga Biegańska



Karol Mojkowski



Kasia Pawlonka



Katarzyna Placek



Maciej Serowaniec



Marta Żuchowska



Przemysław Krysiński

## Projekty i wdrożenia instytucjonalne

W ramach działań strategicznych YUFE (Work Package 8) UMK przeprowadził kompleksowe mapowanie zaangażowania społecznego uczelni. Badanie to miało na celu zidentyfikowanie praktyk współpracy UMK z otoczeniem oraz ujednoczenie działań wzmacniających więzi społeczne. Na podstawie wyników przygotowano raport zawierający rekomendacje – np. zachęcanie pracujących do udziału w inicjatywach społecznych, wspieranie studenckich projektów lokalnych, rozwijanie programów odpowiadających na bieżące potrzeby (np. ekologiczne czy edukacyjne). Założono, że wdrożenie tych rekomendacji „może przyczynić się do zwiększenia wpływu uczelni na lokalną społeczność i wzmocnienia jej roli jako lidera społecznej odpowiedzialności.

UMK wdraża efekty raportu. Na przykład od przyszłego semestru planowany jest pilotaż przyznawania punktów ECTS za kompetencje zdobyte w ramach wolontariatu i działalności w Poradniach. Ponadto UMK współorganizuje europejską **Sieć Zaangażowania Społeczności (Community Engagement Network)** dedykowaną tematyce migracji przymusowych. Inauguracja sieci objęła wykłady i warsztaty ekspertów (m.in. prawnych i kulturowych aspektów integracji uchodźców) oraz spotkania organizacji pozarządowych, urzędników i dziennikarzy z 10 krajów YUFE. Dzięki temu toruńskie NGO i instytucje mają okazję nawiązać międzynarodową współpracę i wymienić doświadczenia w pomocy migrantom.

Dr Katarzyna Placek z Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum w Bydgoszczy podkreśla, że jako mentorka pracuje ze studentami z różnych kierunków: medycyny, fizjoterapii, analityki medycznej, dietetyki czy kosmetyki – młodymi, ambitnymi ludźmi, ciekawymi świata i gotowymi wykraczać poza standardowy program kształcenia. – W tym widzę ogromną wartość YUFE – w budowaniu środowiska, które nie zamyka się w granicach jednego kierunku, wydziału czy nawet jednego kraju. Dzisiejsza ochrona zdrowia potrzebuje współpracy interdyscyplinarnej, a YUFE uczy jej w praktyce – poprzez dialog, wymianę doświadczeń i wspólne poszukiwanie rozwiązań – podkreśla Katarzyna Placek.

Obecność UMK w YUFE przynosi wymierny efekt w postaci poszerzenia i ustrukturyzowania zaangażowania społecznego uczelni. Studiujący rozwijają kompetencje obywatelskie i zawodowe poprzez pracę w poradniach i wolontariacie, a lokalne organizacje otrzymują wsparcie merytoryczne. Kadra

korzysta z szkoleń i dobrej praktyki innych uniwersytetów, a rekomendacje z projektu YUFE są stopniowo wdrażane w działania i polityki uczelni. Takie synergiczne podejście – składające się ze szkoleń, wydarzeń otwartych oraz konkretnych projektów – umacnia wizerunek UMK jako nowoczesnej uczelni współtworzącej rozwój regionu.

Karol Mojkowski koordynator instytucjonalny (WP1), kierownik Działu Międzynarodowych Partnerstw i Mobilności Edukacyjnej wskazuje, że uczestnictwo w europejskich sieciach uniwersyteckich, przynosi wymierne korzyści w trzech kluczowych obszarach. Wspólne programy studiów: joint i double degrees pozwalają zatrzymać najzdolniejszych studentów w kraju, oferując im ścieżkę rozwoju porównywalną z wyjazdem za granicę, nie wykluczając mobilności i zapewniając intensywną międzynarodową współpracę w obszarze dydaktyki. Współpraca badawcza w ramach konsorcjów otwiera dostęp do źródeł finansowania, w tym programów ramowych UE, których pozyskanie w pojedynkę pozostaje poza zasięgiem większości uczelni. Wreszcie, codzienna współpraca administracyjna z partnerami europejskimi stanowi praktyczne narzędzie doskonalenia procesów operacyjnych: bezpośrednia wymiana rozwiązań proceduralnych z uczelniami o ugruntowanej kulturze zarządzania jakością przekłada się na realną poprawę efektywności, skuteczniej niż jakikolwiek program szkoleniowy.

– W YUFE każdy znajdzie dla siebie miejsce, od studentów po pracowników naukowych i administracyjnych – mówi Anna Prykanowska, zastępca kierownika DMPiME. Dodatkowo podkreśla znaczenie profesjonalizacji pracowników administracji, dla których praca w międzynarodowym środowisku to szansa na rozwój kompetencji językowych, cyfrowych, interkulturowych czy zdobycie doświadczenia w zarządzaniu międzynarodowymi projektami.

## Nowoczesny model

Dla UMK członkostwo w YUFE to realna inwestycja w nowoczesny model kształcenia, oparty na partnerstwie, mobilności i rozwoju kompetencji przyszłości. To szansa, by nasze osoby studiujące i realizujące doktoraty uczyły się nie tylko teorii, ale także odwagi, współpracy, elastyczności i odpowiedzialnego przywództwa. W ramach konsorcjum pracuje się nad kolejnymi interdyscyplinarnymi, międzynarodowymi programami kształcenia, myśląc o wspólnych kierunkach studiów, w tym Erasmus Mundus, double degree, joint degree, w które to działania aktywnie

angażuje się kadra UMK. Nowoczesne, międzynarodowe kształcenie, łączące badania z edukacją, to przyszłość naszego Uniwersytetu.

– Sojusz YUFE początkowo postrzegalem jako jeden z wielu projektów o ładnej nazwie i krótkim życiu. Zaangażowanie w tworzenie kierunku studiów Urban Sustainability Studies pokazało mi rzeczywisty potencjał współpracy w sojuszu dla pozytywnej zmiany myślenia o kształceniu studentów – stwierdza prof. Czesław Adamiak, prodziekan ds. kształcenia Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej (YUFE BA URBAN SUSTAINABILITY STUDIES coordinating committee (WP2)). – YUFE i praktyka prowadzenia wspólnych studiów są platformą wymiany wiedzy nie tylko z zagranicznymi partnerami, ale też pomiędzy wydziałami i różnymi sektorami administracji w ramach UMK. Jako dydaktyk i prodziekan odpowiedzialny za kształcenie uważam, że taka wymiana wiedzy jest niezbędna, aby projektować kształcenie zgodnie z potrzebami i oczekiwaniami świata i studentów, a nie jedynie z utrwalonymi praktykami – dodaje.

### Inne myślenie

– YUFE to przede wszystkim zmiana sposobu myślenia o uniwersytecie – z instytucji lokalnej w przestrzeń realnie europejską. Na UMK widać to szczególnie w rozwoju wspólnych form kształcenia, takich jak Urban Sustainability Studies, które powstają w dialogu między uczelniami i odpowia-

dają na wspólne wyzwania współczesnych miast” – mówi dr Anna Dubownik (YUFE BA URBAN SUSTAINABILITY STUDIES coordinating committee (WP2))

Kierunek Urban Sustainability Studies (USS), tworzony wspólnie przez uczelnie partnerskie, jest jednym z najbardziej przełomowych projektów edukacyjnych realizowanych w ramach YUFE. Program opiera się na interdyscyplinarności, pracy projektowej i międzynarodowej współpracy. Studiujący mogą łączyć kursy z różnych uczelni europejskich, uczestniczyć w zajęciach online i stacjonarnych, odbywać mobilności oraz zdobywać doświadczenie w pracy nad realnymi problemami współczesnych miast.

Prof. Elżbieta Kostulska, współautorka kierunku USS, podkreśla: „Proces powstawania Urban Sustainability Studies był doświadczeniem kreowania czegoś od podstaw, bez powielania utartych schematów. To kierunek projektowany jako interdyscyplinarny i odpowiadający na realne wyzwania współczesności”.

Prof. Jadwiga Biegańska zwraca uwagę, że YUFE pozwoliło spojrzeć na edukację „w bardziej europejski, elastyczny i nastawiony na różne potrzeby studentów sposób”.

Dzięki YUFE studiujący UMK mają dziś dostęp do wspólnego programu studiów, kursów open YUFE oraz zajęć prowadzonych przez specjalistów z partnerskich uczelni – bez konieczności wyjazdu z Polski.



Aleksandra Kowalska, członkini grupy roboczej Student Journey, podkreśla: „Studenci zyskali dostęp do wspólnego programu studiów YUFE i kursów prowadzonych przez specjalistów z innych europejskich uczelni. Różnorodność kulturowa przestała być przywilejem tych, których stać na wyjazd”.

Ważnym elementem projektu jest także rozwój kompetencji obywatelskich. UMK jako jedna z pierwszych uczelni w Polsce wdraża możliwość przyznawania punktów ECTS za wolontariat – zarówno w ramach USS, jak i zajęć ogólnouniwersyteckich.

O nowym modelu edukacji mówi również dr Tomasz Komendziński: „Tradycyjne studia to za mało. Świat potrzebuje elastycznych umysłów. YUFE to przestrzeń serwisowania potencjału i budowania Paszportu Wyobraźni”.

– Wyobraźnia w edukacji i kształceniu akademickim to nie tylko ważne czynniki zmiany, ale praktycznie – na lokalnym i globalnym rynku pracy – to składowa kompetencji kluczowych, kompetencji przyszłości – czyli myślenia kreatywnego, elastycznego oraz krytycznego. Ich rozwojowi sprzyja także mobilność międzynarodowa, wymiana doświadczeń

i perspektyw oraz prowadzenie studentocentrycznego kształcenia – stwierdza dr Anna Kola.

W ramach YUFE UMK współtworzy również nową wizję europejskiej edukacji akademickiej, rozwijając nowoczesne modele wsparcia dla doktorantów i młodych naukowców. Szczególne znaczenie ma tu integracja kształcenia doktoranckiego i podoktorskiego z wartościami promowanymi przez sojusz YUFE, takimi jak odpowiedzialność społeczna badań, interdyscyplinarność oraz otwartość na współpracę międzynarodową.

Realizacji tych celów służy rozwijany w ramach konsorcjum kompleksowy model szkoleń doktoranckich i podoktorskich, wspierający rozwój kariery naukowej oraz promujący odpowiedzialne praktyki badawcze w europejskiej przestrzeni akademickiej.

Jednym z najważniejszych przedsięwzięć w tym obszarze jest program YUFE4Postdocs, finansowany ze środków działań Marie Skłodowska-Curie w ramach programu Horyzont Europa. Dzięki niemu 55 młodych naukowców prowadzi badania na uczelniach partnerskich YUFE, koncentrując się na wyzwaniach i możliwościach rozwoju współczesnych miast. Program wzmacnia międzynarodową współ-



Rijeka

pracę badawczą oraz tworzy przestrzeń do rozwoju nowego pokolenia europejskich liderów nauki.

### Badania i współpraca naukowa

YUFE staje się dla Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu nie tylko przestrzenią współpracy edukacyjnej, ale również dynamicznie rozwijającą się platformą współpracy naukowej. Dzięki udziałowi w sojuszu naukowcy, osoby realizujące doktoraty i pracownicy administracyjni zyskują dostęp do międzynarodowych sieci badawczych, warsztatów grantowych oraz wspólnych projektów realizowanych z partnerami z całej Europy.

Szczególną rolę odgrywają oddolne sieci tematyczne, takie jak BioYUFE, LingYUFE czy YUFE Law Network, które integrują środowiska akademickie wokół wspólnych zainteresowań badawczych i dydaktycznych.

– „Ogromną wartością współpracy w ramach YUFE są oddolne sieci tematyczne BioYUFE, LingYUFE czy YUFE Law Network, które łączą studentów i pracowników uczelni partnerskich, tworząc żywe platformy wspólnego kształcenia i wymiany naukowej. W ten sposób YUFE tworzy przestrzeń dla osób, które chcą czegoś więcej niż może zaoferować jedna instytucja” – podkreśla Anna Prykanowska.

Jednym z najbardziej aktywnych uczestników współpracy międzynarodowej jest Wydział Prawa i Administracji UMK. Jak zaznacza prof. Maciej Serwaniec, dziekan tego wydziału: „obecność w YUFE daje wydziałowi możliwość realnego współtworzenia europejskiej edukacji prawniczej przyszłości, zarówno poprzez wspólne programy dydaktyczne, jak i rozwój międzynarodowych sieci badawczych”.

Istotnym elementem działań sojuszu jest także łączenie badań naukowych z praktyką społeczną. Przykładem tego podejścia jest działalność YUFE International Legal Clinics Network oraz inicjatywy rozwijane na UMK, takie jak Poradnia Tworzenia Stron WWW.

– YUFE zainspirowało nas do stworzenia Poradni Tworzenia Stron WWW. Staramy się przekazywać wiedzę w sposób praktyczny i przystępny, aby wyniki badań znajdowały zastosowanie także w realnej rzeczywistości – mówi dr Przemysław Krysiński z Wydziału Filozofii i Nauk Społecznych UMK.

Jednym z najważniejszych projektów rozwijających współpracę naukową w ramach sojuszu jest YUFERING (YUFE Transforming R&I through Europe-wide Knowledge Transfer), realizowany przez dziesięć partnerów konsorcjum YUFE w ramach

programu Horyzont 2020. Projekt koncentrował się na budowaniu nowoczesnego i społecznie odpowiedzialnego modelu badań oraz innowacji w europejskich uniwersytetach. Jego celem było wypracowanie wspólnych standardów i praktyk w zakresie badań i innowacji, podobnie jak wcześniej udało się to osiągnąć w obszarze edukacji. W ramach YUFERING partnerzy YUFE rozwijali model społecznie zaangażowanych badań, wzmacniali transfer wiedzy między uczelniami a społeczeństwem oraz tworzyli strategię otwartej nauki (Open Science). Projekt umożliwił również rozwój wspólnych mechanizmów wspierających badania naukowe, budowę nowych sieci współpracy oraz wymianę dobrych praktyk pomiędzy uczelniami partnerskimi.

Dzięki takim inicjatywom YUFE staje się przestrzenią nie tylko wspólnego kształcenia, ale także projektowania nowoczesnego modelu europejskiej nauki – opartej na współpracy, otwartości i realnym wpływie społecznym.

### Równość, różnorodność i inkluzywność

Jednym z najważniejszych fundamentów sojuszu są wartości związane z równością, różnorodnością i inkluzywnością. Uniwersytet Mikołaja Kopernika aktywnie uczestniczy w pracach grupy YUFE Equity, Diversity and Inclusivity (WP9), współtworząc europejskie standardy w zakresie polityk równościowych i budowania otwartego środowiska akademickiego.

Jak podkreśla prof. Aleksandra Derra, udział UMK w YUFE otworzył uczelnię na nowy wymiar międzynarodowej współpracy: „Obecność UMK w YUFE wprowadziła nasz uniwersytet w realną, faktyczną i wielostronną współpracę międzynarodową. Nauczyliśmy się pracować w formule opartej na wielości głosów i perspektyw, ale jednocześnie zakorzenionej we wspólnocie wartości takich jak równość, różnorodność i inkluzywność”.

Współpraca w ramach WP9 pozwoliła nie tylko korzystać z doświadczeń uczelni partnerskich, ale również dzielić się własnymi rozwiązaniami i praktykami.

– Nauczyliśmy się czerpać z praktyk i procedur równościowych funkcjonujących od lat na innych uniwersytetach, ale wnieśliśmy także własne doświadczenia, przekonując się, jak ważny jest nasz głos – zaznacza prof. Derra.

Jednym z najcenniejszych efektów tej współpracy okazały się trwałe relacje międzynarodowe budowane pomiędzy pracownikami uczelni partnerskich.

– Najbardziej cenię relacje z ludźmi, jakie powstały przez te wszystkie lata pracy w WP9 YUFE. Dzięki nim mogę dziś zwrócić się bezpośrednio do osób z innych uniwersytetów i wiem, że otrzymam wsparcie. Te relacje dalece wykraczają poza cele realizowane wyłącznie w ramach YUFE i z pewnością budują międzynarodową współpracę na długo – dodaje nasza rozmówczyni.

Międzynarodowe środowisko pracy i studiowania rozwija również kompetencje społeczne i międzykulturowe całej społeczności akademickiej.

Dzięki YUFE wartości związane z otwartością, inkluzywnością i dialogiem międzykulturowym stają się na UMK nie tylko elementem strategii, ale codzienną praktyką akademicką.

### Europejskie standardy i procedury antymobbingowe

Współpraca w ramach YUFE wpłynęła również na rozwój polityk antidyskryminacyjnych i antymobbingowych na UMK.

Dr Bartłomiej Chludziński, uczestniczący w pracach zespołu *YUFE Equity, Diversity and Inclusivity*, zaznacza: „Treść naszych wewnętrznych regulacji została ukształtowana nie tylko w oparciu o doświadczenia społeczności UMK, ale również na podstawie dobrych praktyk uczelni tworzących YUFE”.

– Dzięki sojuszowi YUFE możemy dziś powiedzieć, że nasza polityka antidyskryminacyjna i antymobbingowa nie odbiega od europejskiego standardu – dodaje.

Wymiana doświadczeń między uczelniami partnerskimi pozwala UMK stale rozwijać procedury

wspierające bezpieczne i inkluzywne środowisko pracy i nauki.

### Uniwersytet przyszłości

Dla wielu osób zaangażowanych w projekt YUFE stał się czymś więcej niż tylko europejskim programem współpracy.

– YUFE wpłynęło na moje życie nie tylko zawodowo – zmieniło także sposób, w jaki myślę o funkcjonowaniu uniwersytetów i wspólnoty akademickiej – mówi prof. Jadwiga Biegańska.

Z kolei Aleksandra Śnieć z Działu Międzynarodowych Partnerstw i Mobilności Edukacyjnej podkreśla: „Dla mnie YUFE to coś znacznie więcej niż tylko projekt – to ważna część mojej drogi życiowej. Do inicjatywy dołączyłam jeszcze jako studentka zaangażowana w działania dwóch poradni YUFE. Z czasem zostałam reprezentantką UMK w Forum Studenckim YUFE, a od roku jestem koordynatorką całej sieci YUFE Help Desk. YUFE towarzyszy mi również w codziennym rozwoju – korzystam z oferowanych kursów językowych, uczestniczę w wykładach otwartych i innych wydarzeniach. Dzięki YUFE zdobyłam nie tylko wiedzę i konkretne umiejętności, ale także cenne doświadczenie w środowisku międzynarodowym. To przestrzeń, która pozwoliła mi rozwinąć kompetencje społeczne i organizacyjne, nawiązać inspirujące kontakty i poczuć się częścią większej, europejskiej wspólnoty”.

Natomiast Marta Żuchowska z DMPiME uważa: „Jako DAO na co dzień współpracuję z ekspertami z Europy w mojej dziedzinie. To jest chyba najcenniejsze. Mam możliwość wymiany doświadczeń na



bieżąc. Współtworzymy ofertę dla dziesiątek studentów na studiach wspólnych i poza nimi”.

Wspólny mianownik tych doświadczeń pozostaje jeden: budowanie nowoczesnego uniwersytetu europejskiego, który łączy edukację, badania i odpowiedzialność społeczną.

– Dziś w Europie funkcjonuje i rozwija się ponad 60 konsorcjów. Udział w aliansach przestaje być przywilejem, a staje się standardem. Powinniśmy umieć sprostać temu standardowi, szczególnie, że wnosi on dużo korzyści dla naszych pracowników i pracowniczek, osób studiujących oraz w szkołach doktorskich – dodaje dr Anna Kola.

Podsumowuje dr Tomasz Komendziński: „Ucz się lokalnie. Myśl globalnie. Projektuj przyszłość”.

### Więcej niż projekt

Gdyby szukać jednego słowa opisującego rolę UMK w YUFE, byłoby nim „lider” – nie ze względu na formalny status, lecz dlatego, że nasz uniwersytet realnie wyprzedza inne uczelnie: we wprowadzaniu punktów ECTS za wolontariat, budowaniu sieci poradni dla mieszkańców i tworzeniu wspólnych studiów odpowiadających na wyzwania współczesnych miast. Dla studiujących YUFE staje się przestrzenią rozwoju szerzej, odważniej i bardziej międzynarodowo, dla pracujących – codzienną szkołą elastyczności i współpracy z europejskimi partnerami. Jak

zauważa prodziekan ds. kształcenia WNoZiGP prof. Czesław Adamiak, praca nad Urban Sustainability Studies pokazała realny potencjał YUFE do zmiany myślenia o międzynarodowym kształceniu: od odtwarzania schematów ku projektowaniu studiów zgodnych z potrzebami świata i studiujących.

Projekt YUFE zatem to nie jedynie działania realizowane w ramach poszczególnych grup roboczych, ale trwała i spójna zmiana instytucjonalna. Czy jest jeszcze coś do zrobienia? Całe mnóstwo inicjatyw i działań. Uczmy się od naszych partnerów, ale też przekazujmy to, co my mamy dobrego – wspinających, oddanych wykładowców, pełnych pasji studentów i studentki, ciekawe programy studiów oraz dobre warunki do realizacji badań naukowych.

YUFE to więc nie tylko projekt, ale trwała zmiana sposobu myślenia o tym, czym może być uniwersytet: otwarty na miasta i region, zakorzeniony w Europie, gotowy na przyszłość.

Więcej informacji: <https://yufe.umk.pl>, <https://yufe.eu>.



*Dr hab. Magdalena Barwiołek, prof. UMK – prorektorka UMK ds. kontaktów międzynarodowych*

Zdjęcia portretowe: Bartek Zdunowski  
Pozostałe zdjęcia: nadesłane

Druga edycja konferencji YUFE CommUNITY „Connecting Cultures”, zorganizowana w maju 2026 roku na UMK w Toruniu, zgromadziła europejskich partnerów pracujących z osobami z doświadczeniem migracyjnym. Wydarzenie łączyło refleksję naukową z praktyką i stanowiło pierwsze spotkanie na żywo sieci YUFE Community Engagement Network. Program obejmował wykłady, prezentacje organizacji pozarządowych oraz warsztaty dotyczące integracji, edukacji międzykulturowej i dobrostanu osób zaangażowanych społecznie. Ważnym elementem była również wizyta w Fundacji FreeDom, która przybliżyła znaczenie oddolnych inicjatyw i tworzenia bezpiecznych, inkluzywnych przestrzeni. Efektem konferencji jest m.in. koncepcja gry miejskiej wspierającej edukację międzykulturową oraz podkreślenie roli współpracy między uczelniami a społecznościami w rozwiązywaniu współczesnych wyzwań.

Wiosenna edycja YUFE Academy obejmowała cykl wydarzeń poświęconych współczesnym wyzwaniom społecznym, takim jak prawa człowieka, rozwój miast i ochrona środowiska. Spotkania miały charakter międzynarodowy i służyły wymianie doświadczeń oraz wspólnemu poszukiwaniu rozwiązań w dialogu między nauką a społeczeństwem. Program obejmował wykłady online i wydarzenia stacjonarne, w tym prezentacje badań młodych naukowców oraz dyskusje o nowych podejściach do feminizmu i współpracy społecznej. Istotnym elementem były również spotkania dotyczące relacji między rozwojem a ochroną środowiska oraz wpływu dużych inwestycji na społeczności lokalne. Cykl zakończyły wydarzenia poświęcone wzmocnieniu sprawczości w demokracji, podkreślające znaczenie aktywnego uczestnictwa i budowania poczucia wpływu.

(m.b.)

Wojciech Chudziak

# Stary Toruń – kapsuła czasu

W ostatnich tygodniach zrobiło się w mediach głośno na temat badań prowadzonych przez Instytut Archeologii UMK w Starym Toruniu, gdzie odsłonięto relikty pokrzyżackiej zabudowy najwcześniejszego etapu rozwoju Torunia. Założony on został oficjalnie pod koniec 1232 roku bezpośrednio przy pierwszej na ziemi chełmińskiej warowni krzyżackiej usytuowanej na równinie zalewowej przy przeprawie przez Wisłę na wysokości początkowego odcinka odnogi Wisły prowadzącej do Portu Drzewnego.

Można domyślać się, że bezzwłocznie do pracy przystąpili wtedy sprowadzeni zapewne ze Śląska pierwsi osadnicy, w tym mierniczy i budowlancy, kładąc podwaliny nowoczesnego jak na ówczesne czasy założenia urbanistycznego. Powodzie nawiedzające to miejsce szybko zweryfikowały jednak plany mistrza krajowego zakonu Hermanna von Balka, który zaledwie po czterech latach przeniósł miasto niemal dziesięć kilometrów w górę rzeki. Tym razem usytuował go na terasie nadzalewowej, której krawędź wyznacza mniej więcej obecny przebieg mu-



Fot. 1: Nachylone zdjęcia lotnicze rejonu wejścia do toruńskiego portu drzewnego z widoczną strukturą w kształcie litery „L”; widok od zachodu, 2016 rok (fot. W. Stępień)

row toruńskiej starówki od strony Wisły. Po starej lokalizacji miasta została nazwa miejscowości Stary Toruń i nieoczywiste relikty niesfinalizowanego ośrodka miejskiego. Od dawna wzbudzały one duże zainteresowanie mediewistów – zarówno historyków, jak i archeologów. Historia badań tego miejsca ma długą tradycję sięgającą co najmniej lat 80. XVII wieku, kiedy to wybitny historyk Krzysztof Hartknoch, profesor gimnazjum akademickiego w Toruniu w swojej wiekopomnej monografii poświęconej Prusom Zachodnim opisał pozostałości murów, fosy i znaleziska kości ludzkich rozciągające się w Starym Toruniu wzdłuż Wisły na długości „300 kroków”. Te ostatnie powiązał z kościołem św. Jana Chrzciciela, pierwszą świątynią wzniesioną przez zakon na ziemi chełmińskiej, która przetrwała w tym miejscu pomimo translokacji miasta w zupełnie nowe miejsce. Z opisu Hartknocha wynika, że osobiście dokonał on autopsji terenowej stosując metodę badawczą przypominającą trochę prospekcję powierzchniową wykorzystywaną współcześnie w badaniach archeologicznych. Niestety nie zachowały się, żadne szkice terenowe przybliżające szczegółową lokalizację tych reliktyw, stąd ich odnalezienie po latach okazało się nie lada wyzwaniem dla archeologów. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy były przeobrażenia terenu w wyniku kolejnych powodzi, prace ziemne w trakcie budowy wału przeciwpowodziowego i intensywne prace rolne, w wyniku czego relikty te stały się praktycznie niewidoczne w terenie. Podejmowane przez archeologów próby zweryfikowania najstarszej lokacji miasta kończyły się zazwyczaj niepowodzeniem. Pomocne okazały się dopiero studia historyczne prof. Tomasza Jasińskiego, który na początku lat 80. XX wieku w oparciu o liczne źródła pisane i kartograficzne trafnie określił pierwotną lokalizację Torunia.

Przełomowym momentem w poszukiwaniach archeologicznych były zdjęcia lotnicze wykonane przez łódzkiego badacza Wiesława Stępnia, który w drugiej dekadzie XXI wieku wykonał serię zdjęć dokumentujących liczne anomalie wegetacyjne zaznaczające się na powierzchni terenu. Wskazywały one na obecność w bezpośrednim sąsiedztwie początkowego odcinka Portu Drzewnego poszukiwanych reliktyw zabudowy pierwszego miasta. Zwłaszcza wyjątkowo suche lato 2016 roku pozwoliło na zadokumentowanie na powierzchni ponad 9 hektarów, archeologicznych struktur odwzorowujących historyczną zabudowę tego terenu (fot. 1). Odkrycia te wymagały jednak weryfikacji archeologicznej,

której podjął się interdyscyplinarny zespół badawczy kierowany przez Romualdę Uziembło z Muzeum Okręgowego w Toruniu.

Wykonane wtedy przez Piotra Wronieckiego badania geomagnetyczne potwierdziły wcześniejsze ustalenia dokonane na podstawie zdjęć lotniczych. Możliwe było doprecyzowanie genezy i funkcji odkrytych anomalii, które słusznie powiązano z pierwszą lokacją Torunia. Do najważniejszych ustaleń należało odkrycie zarysu dwóch równoległych fos zaznaczających się w formie wyraźnej struktury w kształcie litery „L” zamykających pierwotną przestrzeń miasta, domniemanych bram wjazdowych oraz zobrazowanie geomagnetycznych wyróżników jego regularnej, wewnętrznej zabudowy. Pozostało tylko sprawdzić tradycyjną metodą wykopaliskową czy interpretacje te zgodne są z rzeczywistym stanem rzeczy. Informacja taka była również niezbędna z punktu widzenia ochrony dziedzictwa archeologicznego bezcennego dla historii Torunia i ewentualnego wpisu tego miejsca do rejestru zabytków. Okazją do podjęcia tego rodzaju badań stało się bilateralne porozumienie pomiędzy spółką Port Drzewny działającą w imieniu właściciela terenu a UMK w Toruniu dotyczące m.in. współpracy naukowej. W rezultacie w marcu br. podjęto w Starym Toruniu badania sondażowe. Ostatecznie prace te powierzono Katedrze Starożytności i Wczesnego Średniowiecza, a kierownikiem badań archeologicznych został prof. Jacek Bojarski przy współpracy dr. Marcina Weinkauffa i piszącego te słowa. Badania dofinansowane zostały przez Wojewódzką Konserwator Zabytków w Toruniu, która ze zrozumiałych względów zainteresowana była ich realizacją.

Wykopy założono w miejscu domniemanych fos oraz centralnie usytuowanego dużego prostokątnego obiektu o wymiarach 6,2 x 6,3 metrów. W obu przypadkach potwierdzono średniowieczną metrykę odsłoniętych struktur na co wskazują fragmenty naczyń ceramicznych pochodzących głównie z 2 ćwierci XIII wieku. Dwie fosy usytuowane równolegle do siebie miały szerokość dochodzącą do 10 metrów, zagłębienie około 2–2,5 m a pomiędzy nimi wznosił się pierwotnie wał ziemny z czasem zniszczony w trakcie licznych powodzi nawiedzających ten teren. Z kolei relikty zabudowy nie zostały jeszcze w całości przebadane, ale wiele wskazuje, że mamy w tym przypadku do czynienia z częściowo zagłębionym w ziemi budynkiem o drewnianej konstrukcji ścian i wyodrębnionym wejściem od strony wschodniej. Od strony południowej sąsiado-



Fot. 2: Zarys budynku odkryty w trakcie badań weryfikacyjno-sondazowych w 2026 r. (fot. W. Chudziak)

wał z nim wolnostojący piec o glinianej konstrukcji nieznanego na tym etapie badań przeznaczenia. Nie wiadomo czy wprowadzona do obiegu medialnego interpretacja funkcji budynku jako „domu wójta” okaże się właściwa. Będzie można dopiero ocenić to po zakończeniu jego eksploracji i przeprowadzeniu niezbędnych analiz przyrodniczo-archeologicznych. Odkryte dotąd artefakty takie jak żelazne groty strzał czy strzemię jezdzieckie świadczą jednakże o elitarności jego mieszkańców.

Relikty domostwa odkryto na głębokości około 1,8 m. Przykryte były horyzontalnie zalegającymi nawarstwieniami związanymi z kolejnymi wylewami rzeki, z których najwyraźniej manifestowały się piaski odłożone w trakcie wielkiej powodzi w 1786 roku oraz zalegające poniżej nich mady. Należy podkreślić, że badania te mają charakter wstępny, weryfikacyjno-sondazowy. Nie mogą one zastąpić systemowego przebadania tego miejsca z użyciem wszelkich dostępnych we współczesnej archeologii technik i metod o charakterze interdyscyplinarnym. Dopiero takie badania mogą w przyszłości wyjaśnić wiele aspektów związanych z najstarszym etapem rozwoju naszego miasta.

Patrząc obecnie na pole orne w omawianym miejscu i zbudowane nieopodal osiedle domków jednorodzinnych, trudno wyobrazić sobie, że miejsce to kryje pozostałości najstarszego epizodu osadniczego lokacyjnego Torunia. Zachowane pod osadami powodziowymi, zamknięte niejako w „kapsule czasu”, czekają na odkrycie i uspołecznienie. Nie ma wątpliwości, że walory przyrodniczo-kulturowe tego miejsca i jego znaczenie historyczne stanowią olbrzymi potencjał do zagospodarowania go w przyszłości w celach edukacyjno-turystycznych. **Zbliżająca się rocznica 800-lecia lokacji Torunia będzie do tego znakomitą okazją.**



*Prof. dr hab. Wojciech Chudziak* – dyrektor Instytutu Archeologii UMK

Winicjusz Schulz

# Tu się zaczynały dzieje Torunia

Tych odkryć się spodziewano! W dolinie Wisły, kilka kilometrów na południe od współczesnego Torunia, odkryto, że tu właśnie znajdują się pozostałości miejsca, które przez wieki pozostawało w cieniu historii. Dziś znane jako Stary Toruń stanowiło to ponownie przyciąga uwagę badaczy dzięki najnowszym odkryciom archeologicznym. Wyniki prac mogą znacząco zmienić nasze rozumienie początków jednego z najważniejszych miast średniowiecznej Polski. Z różnych względów (także ekonomicznych) odkrycie przesunęło się nieco w czasie.

Stary Toruń to lokalizacja pierwotnej osady, założonej w XIII wieku przez Zakon Krzyżacki. To zároveň miejsce niemal legendarnej opowieści o braciach zakonnych, którzy wylądowali w miejscu pod dębem, by zacząć tak dzieje Torunia. To właśnie tutaj bowiem rozpoczęła się historia Torunia, zanim miasto zostało przeniesione w bardziej dogodnej, obecnej miejscowości. Przez długi czas sądzono, że pierwotna lokalizacja była krótkotrwałym eksperymentem urbanistycznym, porzuconym z powodu zagrożeń powodziowych i niestabilnego podłoża.

Jednak nowe badania pokazują, że historia tego miejsca była znacznie bardziej złożona. Pisze o tym w oddzielnym artykule specjalnie dla „Głosu” prof.

Wojciech Chudziak, dyrektor Instytutu Archeologii UMK.

Mimo rozwoju Stary Toruń ostatecznie został opuszczony. Najnowsze badania sugerują, że decyzja o przeniesieniu miasta była wynikiem kombinacji czynników: zmian hydrologicznych Wisły, problemów z infrastrukturą oraz strategicznych decyzji Zakonu Krzyżackiego.

Nowa lokalizacja, bliżej dzisiejszego centrum Torunia, oferowała lepsze warunki obronne i większy potencjał rozwoju urbanistycznego.

Odkrycia w Starym Toruniu mają ogromne znaczenie nie tylko dla historii miasta, ale także dla badań nad średniowieczną kolonizacją Europy Środkowej. Pokazują, że proces zakładania miast był bardziej dynamiczny i eksperymentalny niż wcześniej sądzono.

Dla współczesnych mieszkańców Toruń to także okazja do lepszego poznania własnych korzeni. Być może wkrótce Stary Toruń stanie się ważnym punktem na mapie turystyki historycznej, łącząc naukę z popularyzacją dziedzictwa kulturowego.

Nowe odkrycia przypominają, że historia nie jest zamkniętą księgą – raczej żywym procesem, który wciąż potrafi nas zaskakiwać.



Fot. W. Chudziak

Żaneta Kopczyńska

# Nauka i sztuka poszły w miasto

Toruński Festiwal Nauki i Sztuki po raz kolejny zamienił miasto w przestrzeń intensywnego spotkania nauki, sztuki i codziennej ciekawości świata. Setki wydarzeń, dziesiątki instytucji i tysiące uczestników stworzyły wielowątkową opowieść o wiedzy, która nie tylko inspiruje, ale też realnie angażuje.

Tegoroczna – 24. już edycja Toruńskiego Festiwalu Nauki i Sztuki, osadzona w haśle „Ciągłość i zmiana”, pokazała, jak tradycja akademicka może współistnieć z nowoczesnymi formami popularyzacji i jak nauka staje się doświadczeniem dostępnym dla każdego.

## Liczby robią wrażenie

Festiwal odbył się w dniach 24–27 kwietnia 2026 roku i po raz kolejny wypełnił Toruń setkami wydarzeń popularnonaukowych i artystycznych. W tej edycji przygotowano łącznie 279 imprez (154 bez powtórzeń), reprezentujących 29 dziedzin nauki i sztuki. Program współtworzyło 21 instytucji spoza UMK, a sam Uniwersytet odpowiadał za realizację 112 wydarzeń.

TFNiS zaangażował 409 wykładowców i osób prowadzących. Wśród nich znaleźli się pracownicy naukowcy, doktoranci i studenci UMK, a także przedstawiciele innych jednostek akademickich i instytucji. Wydarzenia wsparło 20 wolontariuszy, którzy łącznie pełnili 2010 minut dyżurów organizacyjnych, dbając o sprawny przebieg spotkań i komfort uczestników.

Szacuje się, że w czterodniowym święcie nauki i sztuki uczestniczyło około 40,5 tys. osób. Dużym zainteresowaniem cieszyły się wydarzenia biletowane – łącznie wydano 5623 wejściówki, w tym 1,1 tys. na inaugurację oraz 4523 na pozostałe imprezy. Łączny czas wszystkich wydarzeń wyniósł 25 210 minut, czyli około 420 godzin intensywnego programu edukacyjno-kulturalnego.

Ważnym elementem festiwalu była także jego obecność w przestrzeni cyfrowej. Na kanale UMK TV zarejestrowano 12 wykładów i prelekcji. Co istotne, nagrania pozostają dostępne online, dzięki czemu festiwal nie kończy się wraz z ostatnim dniem wydarzeń, lecz nadal funkcjonuje jako otwarte źródło wiedzy.



## Rok popularyzatorów

Tegoroczna edycja szczególnie mocno wpisywała się w ogłoszony przez Ministerstwo Nauki Rok Popularyzacji Nauki. Podkreślono znaczenie rzetelnej, przystępnej i atrakcyjnej komunikacji naukowej, która umożliwia szerokiemu gronu odbiorców kontakt z aktualnymi badaniami i osiągnięciami nauki. Festiwal potwierdził, że jest jednym z ważnych elementów tego procesu w skali krajowej.

Program 24. TFNiS został przygotowany w pięciu strefach obejmujących kampus akademicki na Bielanych, lewobrzeże, Starówkę, Wydział Sztuk Pięknych UMK oraz Centrum Nowoczesności „Młyn Wiedzy”. W ich ramach funkcjonowało 21 bloków tematycznych, łączących różne dziedziny wiedzy i formy przekazu – od klasycznych wykładów, przez warsztaty, po interaktywne pokazy i doświadczenia.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się wydarzenia realizowane w otwartej przestrzeni miasta, dzięki którym nauka dosłownie wychodziła do mieszkańców i turystów. Festiwalowe strefy pozwalały odkrywać Toruń na nowo – jako miejsce dialogu, eksperymentu i twórczego działania. Uczestnicy mogli nie tylko słuchać wykładów, ale przede wszystkim doświadczać, zadawać pytania, rozmawiać z naukowcami i samodzielnie uczestniczyć w eksperymentach oraz warsztatach.

Szczególnie intensywnie działała toruńska Starówka, gdzie funkcjonowały m.in. Festiwalowa Akademia Wiedzy, Medyczna Akademia, bloki muzealne oraz przestrzenie popularyzujące historię i naukę w przystępnej formie. Kampus UMK stał się natomiast miejscem eksperymentów, pokazów i spotkań z nauką, a także wydarzeń artystycznych, w tym inauguracyjnego festiwalu musicalu *Into the Woods*.

Istotnym wyróżnikiem edycji była również spójna identyfikacja wizualna, w której dominował kolor żółty – symbol energii, optymizmu i kreatywności. Barwa ta towarzyszyła materiałom promocyjnym i przestrzeni miejskiej, podkreślając świeży i dynamiczny charakter wydarzenia.

## Budowanie wspólnoty

Tegoroczna edycja Festiwalu pokazała, że jego formuła oparta na idei „ciągłości i zmiany” pozostaje aktualna i niezwykle potrzebna. Łącząc tradycję akademicką z nowoczesnymi formami popularyzacji wiedzy, wydarzenie po raz kolejny udowodniło, że nauka może być doświadczeniem wspólnym, angażującym i dostępnym – zarówno w przestrzeni miasta, jak i w świecie cyfrowym. Przez cztery





festiwalowe dni Toruń stał się miejscem spotkań ludzi ciekawych świata: dzieci, młodzieży, studentów, rodzin, seniorów i wszystkich tych, którzy chcieli choć na chwilę wejść do laboratoriów, pracowni, sal wykładowych czy przestrzeni artystycznych.

Hasło przewodnie wybrzmiewało nie tylko w programie wydarzeń, ale również w samym sposobie opowiadania o nauce. Festiwal przypominał, że rozwój wiedzy opiera się jednocześnie na szacunku dla dorobku poprzednich pokoleń i gotowości do poszukiwania nowych rozwiązań. Uczestnicy mogli obserwować, jak współczesna nauka odpowiada na wyzwania przyszłości, ale też jak czerpie z historii, tradycji i doświadczeń minionych epok. Widać to było zarówno w wydarzeniach poświęconych nowym technologiom, sztucznej inteligencji czy eksploracji kosmosu, jak i podczas spotkań historycznych, warsztatów artystycznych oraz wykładów dotyczących kultury i społeczeństwa.

Tegoroczny Festiwal Nauki i Sztuki pokazała, że zainteresowanie nauką i sztuką wciąż rośnie, a wspólne odkrywanie świata pozostaje jedną z najważniejszych wartości budujących współczesną wspólnotę akademicką i społeczną.



*Mgr Żaneta Kopczyńska* — Dział Promocji i Komunikacji UMK, rzeczniczka TFNiS

Zdjęcia: Andrzej Romański





Winicjusz Schulz

## Ciągłość i zmiana, czyli święto... ciekawości

W dniach 24–27 kwietnia 2026 roku Toruński Festiwal Nauki i Sztuki 2026 ponownie zamienił Toruń w jedno z najważniejszych centrów popularyzacji wiedzy w Polsce. Już po raz 24. wydarzenie zgromadziło naukowców, artystów, studentów i pasjonatów, tworząc przestrzeń dialogu między nauką a sztuką oraz między teorią a praktyką.

Tegorocznej edycji przyświecało hasło „Ciągłość i zmiana”, które stało się punktem wyjścia do refleksji nad rozwojem nauki, kultury i społeczeństwa. Wspominała o tym m.in. podczas konferencji prasowej poprzedzającej festiwal prof. Joanna Kucharzewska, prorektorka UMK. Właśnie napięcie

między tym, co trwałe, a tym, co nowe, napędza odkrycia i twórczość. Festiwal doskonale wpisał się także w ogólnopolskie inicjatywy promujące wiedzę – rok 2026 został bowiem ogłoszony Rokiem Popularyzacji Nauki, co dodatkowo podkreśliło znaczenie wydarzenia.

Program festiwalu był wyjątkowo rozbudowany. Wśród propozycji znalazły się m.in.: warsztaty i eksperymenty naukowe, wykłady i spotkania z badaczami, pokazy i prezentacje multimedialne, spacer tematyczny i gry miejskie, wydarzenia artystyczne i wystawy. Dzięki takiej różnorodności każdy – od dzieci po seniorów – mógł znaleźć coś dla siebie. Co istotne, udział w większości wydarzeń

był bezpłatny, choć na część z nich obowiązywały wcześniejsze zapisy.

Jednym z największych atutów festiwalu była jego otwartość. Przez cztery dni uczestnicy mogli odwiedzać miejsca na co dzień niedostępne – laboratoria, pracownie artystyczne czy zaplecza badawcze. To właśnie bezpośredni kontakt z naukowcami i twórcami sprawia, że wiedza przestaje być abstrakcyjna. Zamiast suchych definicji pojawiały się doświadczenia, rozmowy i inspiracje, które zachęcały do dalszego poznawania świata.

Toruński Festiwal Nauki i Sztuki od lat buduje most między środowiskiem akademickim a społeczeństwem. I bardzo też się zmienia, o czym mogę przekonywać się co roku, a jako dziennikarz towarzyszę imprezie od pierwszej edycji. Jakże inna ona była w porównaniu z obecną. Jedno jednak się zmienia: festiwal organizowany m.in. przez Uniwer-

sytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, stanowi przykład skutecznej popularyzacji wiedzy i kultury. Wydarzenie nie tylko promuje osiągnięcia naukowe, ale również pokazuje, że nauka może być fascynująca, przystępna i inspirująca. Dzięki temu przyciąga tysiące uczestników i na stałe wpisało się w kalendarz kulturalny miasta.

Toruński Festiwal Nauki i Sztuki 2026 udowodnił, że nauka i sztuka mogą tworzyć wspólną przestrzeń odkrywania świata. Hasło „Ciągłość i zmiana” świetnie oddało charakter wydarzenia – łączącego tradycję akademicką z nowoczesnymi formami przekazu.

To nie tylko festiwal, ale przede wszystkim święto ciekawości – a ta, jak wiadomo, jest początkiem każdej wielkiej idei.

Zdjęcia: Andrzej Romański



Maciej Wróblewski

## „Sława i chwała” nauki, czyli pewien kłopot z popularyzacją

Współczesna nauka wymaga odpowiedniego finansowania oraz dobrze zaplanowanego upowszechniania. O ile granty krajowe i zagraniczne są sprawą jasną w tym znaczeniu, że przebiegają według określonych procedur, o tyle popularyzacja wyników badań daleka jest od jednoznaczności.

Jakie znaczenie dla akademików ma dystrybucja informacji w społeczeństwie na temat ich efektów pracy, bardzo często długookresowych i złożonych? Czy popularyzacja jest warunkiem koniecznym dla beneficjentów określonych grantów oraz tych wszystkich, którzy korzystają ze środków publicznych na uniwersytetach lub w jednostkach badawczych, czy też należy uznać ją za element fakultatywny?

Zapewne warto wypracować ogólne strategie czy zasady dzielenia się ze społeczeństwem tym,

co dotyczy badań naukowych. To zaś, według mnie, ściśle łączy się z koniecznością wskazania ich użytecznego charakteru. Gdyby sprawę pozostawić wyborowi uczonych, to wówczas popularyzacja mogłaby przebiegać tak jak obecnie – różnymi ścieżkami medialnymi i ze zmienną intensywnością. Warto jednak dodać, że niekiedy wymusza ona na nich wchodzenie na obszary sporów ideologicznych, w tym politycznych oraz kulturowych. Wybór odpowiedniego języka służącego popularyzacji pozostaje w związku – pośrednim lub bezpośrednim – z bieżącą debatą publiczną. W tym kontekście warto przypomnieć dyskusję wokół książki *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka* (2000) J. T. Grossa.

Nie w każdym przypadku możliwe jest uogólnianie i upraszczanie złożonych zagadnień, by przyniósł spodziewany efekt rzeczywistej, a nie pozornej popularyzacji. Ponadto uzasadnianie niekiedy



Fot. Marcin Lutomiński

wysokich nakładów na realizację określonych badań skłania – jak już wspomniałem – do poszukiwania odpowiedzi na pytanie o użyteczność naukowego przedsięwzięcia. Nie zawsze jest to możliwe w dziedzinach nauk ścisłych i przyrodniczych czy humanistycznych. Co innego dyscypliny inżynierijno-techniczne oraz medyczne. W humanistyce uzasadnianie wpływu na społeczeństwo oraz wskazanie pożytku z tytułu, na przykład, krytycznej edycji dzieł wszystkich Witolda Gombrowicza, nie wydaje się łatwe. Czy w tym konkretnym wypadku popularyzacja pozwoliłaby osiągnąć efekt społecznej użyteczności edytorskiego przedsięwzięcia? Trudno mi sprawę rozstrzygnąć. Niemniej w kontekście kwestii związanych z popularyzacją badań oraz ich (społeczną) użytecznością przypomnę niegdyś sławną i wzbudającą dyskusję w środowisku intelektualistów książkę Juliana Bandy *Zdrada klerków* (1927).

Co prawda Francuz nic nie mówi o upowszechnianiu wyników badań, ale podejmuje kwestie bliźniaczo podobne do tych, które omawiam. Poddaje ostrej krytyce współczesnych mu artystów i intelektualistów biorących udział – dziś byśmy powiedzieli – w debacie publicznej, wybierając jedną z politycznych barw. Czynią to, zdaniem Bandy, przede wszystkim dla zysku. Natomiast klerk (intelektualista) powinien hołdować trzem abstrakcyjnym wartościom: sprawiedliwości, prawdzie i rozumowi, co oczywiście wyklucza możliwość realizacji jakiegokolwiek praktycznego celu. Na tym właśnie polegać ma zdrada „klerkizmu”, a więc działalności dla dobra innych, lecz bez konieczności wchodzenia w aliansy z jakąkolwiek frakcją polityczną. Nawet jeśli Benda idealizuje dawnych (Goethego czy Woltera), a zdecydowanie negatywnie przedstawia postawę współczesnych mu myślicieli, to należy zgodzić się z jego zasadniczą tezą. W wieku XX nauka pojmowana jako rozległy i różnorodny obszar straciła walor działania intelektualnego, które stroni od wpisywania się w ideologiczne spory: „Działalność artystyczna, jako zasadniczo bezinteresowna i obca ze swej natury, tak jak nauka, poszukiwaniu materialnego czy też moralnego dobra ludzkości, jest wartością klerkowską”<sup>1</sup>. Ponadto rządy finansujące badania naukowe oczekują od większości zaangażowanych w to osób nie tylko zweryfikowanych, rzetelnych wyników, ale także ich potwierdzonej użyteczności oraz wpływu na społeczeństwo. Nie zawsze jest to łatwe czy

możliwe. Jaki społeczny interes można wskazać w projekcie, który polega na krytycznej edycji pism wczesnośredniowiecznego myśliciela, rozważającego przede wszystkim naturę teodycei oraz grzechu pierworodnego?

Nie upatruję w naszkicowanym problemie winy samych akademików. Sądzę, że ich działalność popularyzatorska, odbywająca się za pośrednictwem tradycyjnych (radio, telewizja, popularne czasopisma) oraz nowych mediów, narzuca konieczność przynajmniej uświadamiania sobie tego, że mówi się i pisze o swoich wynikach badań w środowisku komunikacyjnym (choć nie tylko), mającym określone „preferencje” etyczne, estetyczne, kulturowe. Media zaś mają to do siebie – o czym przekonywał Pierre Baudrillard w książce *O telewizji* – że wytwarzają pola sporu i angażują publiczną uwagę, by móc generować zysk i realizować swoje cele, także związane z bieżącą polityką. Przytoczę krótki fragment rozważań socjologa, by uprzytomnić czytelnikom istotę problemu „obecności” popularnego dyskursu naukowego w przestrzeni mediów masowych: „Przed wszystkim jednak, mając stały dostęp do widoczności publicznej – do możliwości rozpowszechnienia wypowiedzi na niewyobrażalną wcześniej skalę [...] – mogą (dziennikarze – M. W.) narzucić całemu społeczeństwu swoje sposoby widzenia świata, swoje tematy, swój punkt widzenia”<sup>2</sup>.

Czy wywiad udzielony w *Polityce* lub *Super Expressie* na temat, na przykład, genomu człowieka, nie będzie się musiał wpisywać w linię ideologiczną wskazanych czasopism? Czy YouTube lub TikTok ze względu na swój format nie narzucają występującym tam osobom, które opowiadają o prowadzonych przez siebie badaniach, specyficzny „język” oscylujący między performansem a stand-upem? Regularne publikowanie postów na Facebooku z pewnością przynosi wzrost zainteresowania określoną materią naukową, a zarazem – z konieczności – wymusza umiejętne posługiwanie się kodem nowomediów, który daleki jest od precyzji i jednoznaczności. Ponadto w subtelny sposób (algorytm) uprzywilejowuje jedne treści, a inne blokuje. To rodzaj medialnego treningu, z którego skutków popularyzatorzy zazwyczaj nie zdają sobie sprawy. Traktują swoją misję w kategoriach społecznie pożytecznego upowszechniania wyników badań. Zatem intencje są szlachetne,

<sup>1</sup> J. Benda, *Zdrada klerków*, przeł. M. J. Mosakowski, Warszawa 2014, s. 102.

<sup>2</sup> P. Baudrillard, *O telewizji. Panowanie dziennikarstwa*, przeł. K. Sztandar-Sztanderska, A. Ziółkowska, redakcja i przedmowa M. Jacyno, Warszawa 2009, s. 78.

natomiast medialne środowisko formatuje główny przekaz do powszechnie akceptowalnych schematów wizualno-tekstowych i treściowych.

Dodać należy, że obecnie nieodłącznym elementem przekazów popularyzatorskich jest warstwa wizualna lub też – jak w wypadku YouTube’a czy TikToka – mamy do czynienia z elementami multimedialnymi. Wystarczy przejrzeć miniwykłady czy prezentacje umieszczone na platformie TEDx, by zorientować się w specyfice zagrożeń, czyhających na akademików. Teatralizacja zachowań występujących tam osób – nie zawsze naukowców, ale również tzw. ekspertów i „doświadczalników” – sprzyja preferowaniu postawy ekspresyjnej, wyrazistej, emocjonalnie zaangażowanej i potrafiącej wzbudzić reakcję obserwującej ją publiczności. Łatwo w takich okolicznościach popaść w przesadę, tym bardziej, że ograniczony czas i technika (multimedialna prezentacja) popularyzacji wyników badań jednym odbierają, a drugim dodają siły perswazyjnej.

Czy jest jakieś sensowne wyjście z tego medialnego klinczu? Trudno bowiem założyć, że upo-

wszechnianie badań może odbywać się bez udziału pośredników w postaci mediów i związanych z nimi osób, nie tylko dziennikarzy. Nie sposób ignorować ich siły i społecznego oddziaływania. A zatem wykorzystanie ich w celu poszerzenia społecznej świadomości na określony temat wydaje się sprawą oczywistą, choć zarazem stanowi źródło zagrożeń.

Jestem literaturoznawcą, więc chciałbym zakończyć rozważania na temat popularyzacji badań refleksją o humanistyce zaangażowanej. Kilka lat temu na łamach „Tekstów Drugich” pisał o niej Ryszard Nycz w następujący sposób: „[h]umanistyka zaangażowana dała się poznać równie wcześnie swą zmasowaną „interwencją” w środowisko społeczne i mentalne, nastawieniem na zmianę status quo (istniejących społecznych podziałów, hierarchii, przywilejów i stygmatyzacji), a generalnie charakterem subwersywno-emancypacyjnym. Warto też zauważyć, że początkowy prymat inspiracji lewicowych orientacji światopoglądowych dziś zrównoważył się udziałem (wkładem) stanowisk liberalnych,



Fot. Marcin Lutomiński

konserwatywnych czy nawet religijno-teologicznych<sup>3</sup>.

Sądzę, że tak zorientowana humanistyka – oczywiście nie cała – pozwala widzieć jej pożyteczność i stałą obecność w przestrzeni społeczno-kulturowej nie na zasadzie wyjątku oraz naukowej ekstrawagancji, ale autentycznej potrzeby. Przedmiotem namysłu stają się aktualne i ze społecznej perspektywy ważne zagadnienia, jak kryzys klimatyczny i antropocen, wpływ nowych praktyk czytania i generowania tekstu na język narodowy lub też związek sztucznej inteligencji z zachowaniami (nie tylko myśleniem) człowieka. W tym wypadku popularyzacja nie ma charakteru działania dodatkowego i wymuszonego środowiskiem medialnym, ale wynika z konieczności przygotowania się do zajęcia stanowiska w istotnej sprawie. Czyż właśnie nie tak należałoby traktować popularyzatorskie książki, będące owocem namysłu naukowców? Albo recenzje teatralne, filmowe, literackie, które trafiają do obiegu odbiorczego na zasadzie głosu w związku z jakimś wydarzeniem kulturalnym czy artystycznym przyciągającym uwagę zróżnicowanej publiczności, która pragnie wyrobić sobie opinię na dany temat? Oczywiście, także i w tym wypadku profil wydawnictwa lub czasopisma (papierowego, cyfrowego) wpływa na ostateczny kształt wypowiedzi. Jednak druk, tradycyjne medium, w odróżnieniu od nowych wymaga od odbiorcy większego intelektualnego wysiłku, co w konsekwencji sprzyja krytycznej lekturze. Pośrednictwo dziennikarzy (telewizja, radio, podcast) lub „agresywność medium” (Internet) w tym wypadku nie pojawiają się, formatując popularny przekaz czasem wbrew intencji badacza.

Zbudowana na popularyzacji „sława i chwala” jakiejś dziedziny naukowej nie jest sprawą prostą. Sądzę, że w pewnym stopniu opiera się ona na przekonaniu społeczeństwa o użyteczności tego, co udało się akademikowi opisać w specjalistycznym języku. Często dzieje się to za cenę daleko idących uproszczeń czy nawet konieczności porzucenia dystansu wobec ideologicznych sporów.



*Prof. dr hab. Maciej Wróblewski* – Katedra Antropologii Literatury i Nowych Mediów, Wydział Humanistyczny UMK

<sup>3</sup> R. Nycz, *Nowa humanistyka w Polsce: kilka bardzo subiektywnych obserwacji, koniektur, refutacji*, „Teksty Drugie” 2017, nr 1, s. 26.

Winicjusz Schulz

## Popularyzować naukę? Tak! Ale jak?

**W roku popularyzacji nauki tytułowe pytania powraca ze zdwojoną siłą. Przyznam szczerze, że zadaję je sobie od... kilkudziesięciu lat. Tak się bowiem złożyło, że kultura oraz nauka stały się moimi „specjalnościami” w prasie, radiu. Zebrało mi się zatem przez te lata sporo doświadczeń i refleksji, niekoniecznie pozytywnych. A zatem: do dzieła!**

W istocie rzeczy nauka, przynajmniej dla mnie, nie jest zimnym mechanizmem pojęć ani suchą księgowością faktów, jak chcieliby niektórzy jej gorliwi kapłani. Jest ona raczej ogrodem – nieco zaniedbanym, pełnym dzikich ścieżek, gdzie między krzewami wzorów i drzewami teorii przebłyskują nagle nieoczekiwane kwiaty zachwyty. I właśnie ten zachwyty, ten moment drgnienia, kiedy umysł styka się z czymś większym od siebie, stanowi prawdziwe jądro nauki. Popularyzować naukę to znaczy więc nie tyle tłumaczyć, ile przywracać zdolność zdumienia.

Współczesny świat, nasycony informacją, zdaje się cierpieć na osobliwą chorobę: nadmiar wiedzy połączony z niedostatkiem rozumienia. Fakty krążą jak drobne monety, przechodząc z rąk do rąk, lecz rzadko kto zatrzymuje się, by zapytać o ich sens. W tej sytuacji popularyzator nauki przypomina nie tyle nauczyciela, ile przewodnika po ruinach dawnej świątyni – musi wskazać, gdzie były filary, gdzie sklepienie, gdzie miejsce, w którym człowiek czuł się częścią większego porządku.

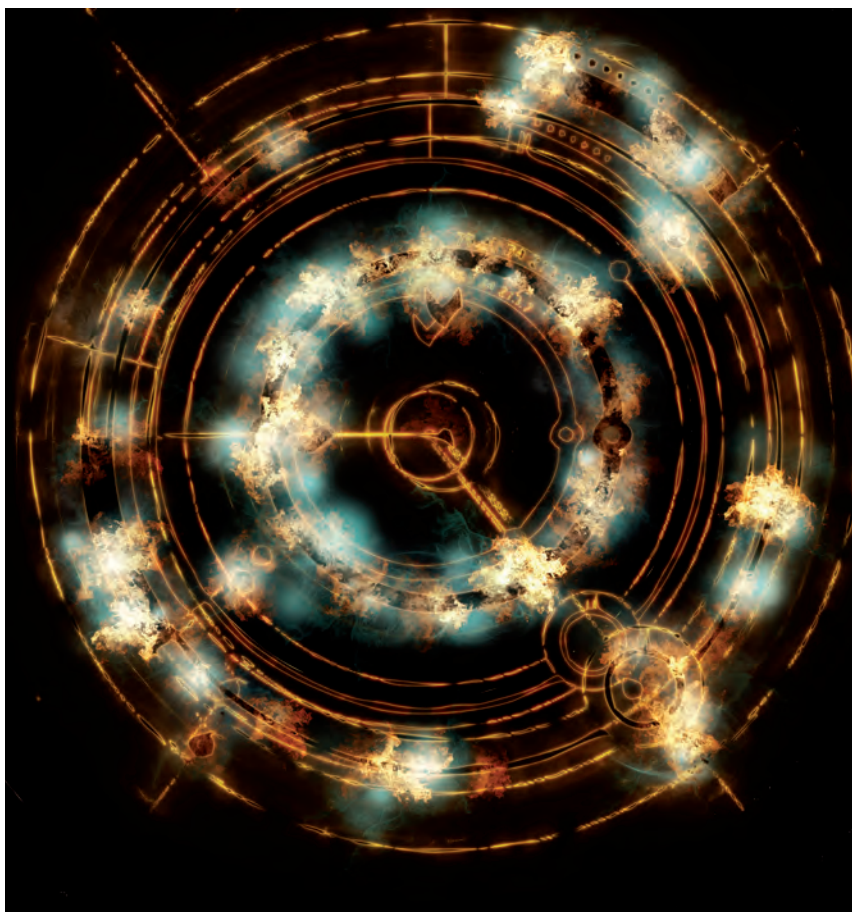
### Jak więc tego dokonać?

Przede wszystkim należy odrzucić złudzenie, że wiedza przemawia sama przez się. Nie przemawia. Jest jak instrument pozostawiony w kącie – milczy, dopóki ktoś nie wydobędzie z niego dźwięku. Popularyzator musi stać się muzykiem tej wiedzy, odnajdując w niej rytm, napięcie i harmonię. Oznacza to opowiadanie historii. Każda teoria ma swoje dramaty, każdy eksperyment swoje ryzyko, każda hipoteza swój moment niepewności. Nauka zaczyna żyć dopiero wtedy, gdy ujawnia swoją ludzką twarz.

Nie mniej ważna jest metafora – to ona buduje most między tym, co znane a tym, co obce. Umysł nie przyswaja abstrakcji bez oporu; potrzebuje obrazów, które może uchwycić. Gdy mówimy o atomach, nie mówimy przecież o punktach matematycznych, lecz o małych układach, o miniaturowych światach, o tańcu cząstek. Metafora nie jest zdradą nauki, jak twierdzą jej przeciwnicy – jest jej pierwszym językiem.

A jednak istnieje tu pewne niebezpieczeństwo. Zbyt łatwe obrazy mogą spłaszczyć rzeczywistość, uczynić ją zbyt prostą, a przez to fałszywą. Popularyzacja wymaga więc subtelnej równowagi: trzeba upraszczać, lecz nie czynić prostackim; rozjaśniać, lecz nie oślepić światłem banatu. To sztuka, która wymaga nie tylko wiedzy, ale i wyczucia.

Kolejnym elementem jest emocja. Nauka, wbrew stereotypom, jest głęboko emocjonalna – pełna napięcia, niepewności, radości odkrycia i frustracji błędu. Wie o tym doskonale każdy prawdziwy naukowiec, lecz nie już „naukawiec” (tego pojęcia używał jeden z moich wykładowców z czasów studiów). Jeśli pozbawimy ją tego wymiaru, pozostanie jedynie szkieletem. Popularyzator powinien więc



nie bać się mówić o pasji, o zachwycie, o chwilach zwątpienia. To właśnie one sprawiają, że odbiorca rozpoznaje w nauce coś bliskiego sobie.

### Jak tłumaczenie poezji

Nie można również zapominać o języku. Język nauki bywa hermetyczny, gęsty, pełen terminów, które zamiast otwierać – zamykają. Popularyzacja nie polega jednak na całkowitym usunięciu tego języka, lecz na jego przełożeniu, na stworzeniu równoległej narracji, która zachowuje sens, lecz zmienia formę. To trochę jak tłumaczenie poezji: nie da się oddać wszystkiego, ale można ocalić istotę.

Miałem ten zaszczyt i przyjemność uczestniczyć w toruńskich festiwalach nauki i sztuki od samego początku. Dziś te festiwale wrosły już w pejzaż Torunia, Bydgoszczy, ale gdy się wówczas rodziły wiele rzeczy nie było oczywistych. Pytałem wtedy organizatorów o to, co jest dla nich najtrudniejsze. I najczęściej otrzymywałem taką oto odpowiedź:

niechęć naukowców. Wielu bowiem na propozycję wygłoszenia prelekcji, otwartego wykładu (ale dla niewtajemniczonych ludzi „z miasta”), udziału w pokazach nie kwapiło się do wykonania takiego zadania. – A po co mi to? Koledzy z wydziału będą się śmiać, że upraszczam, trywializuję naukę. Mam swoich studentów, doktorantów. To mi wystarczy – takie bywały reakcje. Na szczęście to się zmieniło, a dziś zdecydowana większość kadry naukowej czuje, że popularyzacja nauki to wręcz obowiązek.

### Łatwe pokusy

Istotną rolę odgrywa także medium. Dawniej były to książki i wykłady, dziś dochodzą do tego filmy, podcasty, krótkie formy wizualne. Każde z nich narzuca własny rytm i ograniczenia. Dobry popularyzator rozumie te formy i potrafi wykorzystać ich potencjał, nie tracąc przy tym głębi. Nie chodzi o to, by nauka stała się rozrywką, lecz by nie była od niej oddzielona murem. I ten dobry popularyzator będzie wiedział, gdzie jest granica między naukowym show a pseudonaukowym kabaretem. To trzeba czuć, mieć we krwi, nie ulegać łatwym pokusom, które sprawiają, że wyeksponujemy niewiele znaczący dla całości detal (ale iście sensacyjny – przynajmniej w naszym mniemaniu), a poświęcimy logikę całości.

Wreszcie – i być może to najważniejsze – popularyzacja nauki wymaga pokory. Świat jest bardziej złożony, niż potrafimy go opisać, a każda odpowiedź rodzi nowe pytania. Pokazanie tej otwartości, tej nieukończoności wiedzy, jest jednym z najcenniejszych darów, jakie można ofiarować odbiorcy. Nauka nie jest zbiorem zamkniętych prawd, lecz procesem – nieustannym ruchem ku lepszemu rozumieniu.

Popularyzować naukę to więc nie tylko przekazywać informacje. To zapraszać do wspólnej wędrówki, do uczestnictwa w przygodzie poznania. To budzić w drugim człowieku tę cichą, lecz uporczywą ciekawość, która nie daje spokoju, która każe pytać i szukać. Bo ostatecznie nauka zaczyna się nie od odpowiedzi, lecz od pytania – i to pytanie niczym ziarno, jeśli zostanie właściwie zasiane, potrafi rosnąć długo, nawet w najbardziej nieoczekiwanych miejscach.



Magdalena Schulz

## Dietetyczne fake newsy – dlaczego wierzymy w mity żywieniowe?

Jeszcze kilkanaście lat temu wiedza o żywieniu pochodziła głównie z podręczników, porad specjalistów oraz programów edukacyjnych. Dziś ogromna część informacji z zakresu dietetyki trafia do nas za pośrednictwem Internetu, mediów społecznościowych i influencerów.

Nigdy wcześniej dostęp do wiedzy nie był tak łatwy, ale jednocześnie nigdy wcześniej rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji nie było tak proste. W efekcie dietetyczne fake newsy stały się codziennością, a mity żywieniowe rozprzestrzeniają się szybciej niż rzetelne wyniki badań naukowych.

W Internecie można znaleźć tysiące porad dotyczących odchudzania, „oczyszczania organizmu”, suplementów czy produktów uznawanych za szkodliwe. Część z nich opiera się na dowodach naukowych, jednak wiele jest jedynie uproszczeniami lub całkowicie fałszywymi informacjami. Mimo to miliony ludzi wierzą w takie przekazy i na ich podstawie podejmują wybory żywieniowe. Powstaje więc pytanie: dlaczego tak łatwo ulegamy dietetycznym mitom?

### Dieta idealna i potrzeba prostych odpowiedzi

Człowiek od zawsze poszukuje prostych rozwiązań skomplikowanych problemów. Zdrowe żywienie jest zagadnieniem złożonym i zależy od wielu czynników, takich jak wiek, stan zdrowia, aktywność fizyczna czy styl życia. Tymczasem Internet często proponuje łatwe odpowiedzi: „wyliminuj gluten”, „cukier to biała śmierć”, „detoks oczyści organizm z toksyn”, „jedz tylko przez osiem godzin dziennie”. Takie komunikaty są atrakcyjne, ponieważ dają poczucie kontroli i obiecują szybkie efekty. Ludzie chętnie wierzą, że wystarczy wyeliminować jeden składnik diety, aby poprawić zdrowie lub schudnąć. W rzeczywistości jednak zdrowie jest efektem długoterminowych działań i nawyków, a nie jednego produktu czy suplementu.



### Dlaczego dietetykę trudno badać?

Dietetyka należy do dziedzin nauki, które wyjątkowo trudno badać. W przeciwieństwie do eksperymentów laboratoryjnych, żywienie człowieka zależy od ogromnej liczby zmiennych. Trudno jest dokładnie kontrolować np. co jedzą badani, ile śpią, jaki mają poziom stresu i czy są aktywni fizycznie.

Wiele badań żywieniowych ma charakter obserwacyjny. Naukowcy analizują zwyczaje żywieniowe dużych grup ludności i sprawdzają, jakie zależności występują między dietą a zdrowiem. Problem polega jednak na tym, że korelacja nie zawsze oznacza przyczynowość. Jeśli osoby jedzące więcej warzyw są zdrowsze, nie oznacza to automatycznie, że same warzywa są jedyną przyczyną ich lepszego zdrowia. Dodatkowo media często upraszczają wyniki badań. Pojedyncze odkrycie przedstawiane jest jako przełom lub ostateczny dowód. W efekcie, jednego dnia pojawia się informacja, że kawa szkodzi zdrowiu, a kilka miesięcy później – że może wydłużać życie. Dla odbiorcy wygląda to tak, jakby naukowcy ciągle zmieniali zdanie, choć w rzeczywistości nauka jest procesem stopniowego budowania wiedzy.

### Psychologia fake newsów

Jednym z najważniejszych mechanizmów psychologicznych odpowiedzialnych za popularność mitów



**39-letnia influencerka promująca dietę opartą wyłącznie na surowych owocach zmarła z powodu niedożywienia, po 10 latach życia na diecie złożonej wyłącznie z surowych owoców i warzyw**  
Ironia losu: dieta życia zakończyła życie

żywieniowych jest efekt potwierdzenia. Człowiek chętniej przyjmuje informacje zgodne z własnymi przekonaniami, a ignoruje te, które im przeczą. Osoba przekonana, że „chemia w jedzeniu szkodzi”, będzie częściej zwracać uwagę na artykuły ostrzegające przed konserwantami niż na publikacje tłumaczące ich bezpieczeństwo.

Znaczenie mają także emocje. Treści wywołujące strach lub zaskoczenie szybciej przyciągają uwagę. Nagłówki typu „tego produktu nigdy nie jedz”, budzą silne emocje i zachęcają do dostępniania.

Dużą rolę odgrywają również historie pojedynczych osób. Relacja człowieka, który schudł kilkanaście kilogramów dzięki konkretnej diecie, może

wydawać się bardziej przekonująca niż wyniki wieloletnich badań naukowych. Takie historie są łatwiejsze do zapamiętania i bardziej działają na wyobraźnię.

### Media społecznościowe i influencerzy

Media społecznościowe znacząco zmieniły sposób przekazywania wiedzy o żywieniu. Obecnie każdy użytkownik Internetu może publikować porady dietetyczne i budować wokół siebie społeczność odbiorców. Problem polega na tym, że popularność nie zawsze oznacza kompetencje. Influencerzy często przedstawiają informacje w prosty i bardzo pewny sposób. Naukowiec zazwyczaj mówi ostrożnie: „badania sugerują”, „potrzebne są dalsze analizy”, „wyniki nie są jednoznaczne”. Tymczasem influencer mówi: „ten produkt szkodzi”, „ta dieta działa na każdego”. Dla odbiorcy taki zdecydowany komunikat wydaje się bardziej przekonujący.

Algorytmy mediów społecznościowych dodatkowo wzmacniają problem. Użytkownicy widzą przede wszystkim treści podobne do tych, które wcześniej oglądali lub polubili. Powstaje w ten sposób tzw. bańka informacyjna, w której odbiorca ma kontakt głównie z informacjami zgodnymi z własnymi poglądami.

### Najpopularniejsze mity żywieniowe

Niektóre fake newsy dietetyczne funkcjonują od lat i mimo licznych badań nadal są bardzo popularne. Jednym z przykładów jest mit dotyczący glutenu. Dieta bezglutenowa jest konieczna dla osób cierpiących na celiakię lub niektóre formy nadwrażliwości, jednak dla większości zdrowych ludzi eliminacja glutenu nie przynosi dodatkowych korzyści zdrowotnych. Wiele kontrowersji budzą także produkty GMO. W Internecie często przedstawia się je jako wyjątkowo niebezpieczne, mimo że obecne badania naukowe nie potwierdzają ich szkodliwości dla zdrowia człowieka. Podobnie wygląda kwestia „detoksów” i diet oczyszczających. Natomiast organizm człowieka posiada własne mechanizmy usuwania zbędnych produktów przemiany materii, za które odpowiadają głównie wątroba i nerki. Inne popularne mity dotyczą np. tycia po spożyciu pieczywa, niełączenia białek z węglowodanami czy zabranianiu jedzenia po godz. 18:00.

### Jak odróżnić naukę od pseudonauki?

W świecie nadmiaru informacji niezwykle ważną staje się umiejętność krytycznego myślenia. Istnieje kilka sygnałów ostrzegawczych, które mogą



świadczą o nierzetelności przekazu żywieniowego. Po pierwsze, warto uważać na treści obiecujące szybkie i spektakularne efekty. Nauka rzadko operuje językiem cudów i natychmiastowych rezultatów. Po drugie, należy sprawdzać źródła informacji. Wiarygodne artykuły zwykle odwołują się do badań naukowych, opinii ekspertów oraz oficjalnych rekomendacji organizacji zdrowotnych. Ważne jest także rozumienie podstaw metodologii badań naukowych. Pojedyncze badanie nie oznacza jeszcze ostatecznego dowodu. Rzetelne rekomendacje powstają na podstawie wielu analiz, metaanaliz i przeglądów systematycznych.

### Popularyzacja nauki jako odpowiedź

Dietetyczne fake newsy nie są jedynie internetową ciekawostką. Mogą wpływać na zdrowie, prowadzić do niedoborów pokarmowych, zaburzeń odżywiania czy rezygnacji z leczenia opartego na dowodach naukowych. Ich popularność wynika jednak nie tylko z działalności pseudonaukowych influencerów, ale również z naturalnych mechanizmów psychologicznych i trudności związanych z interpretacją badań naukowych.

Rosnąca liczba fake newsów pokazuje, jak ważna jest popularyzacja nauki. Sama publikacja wyników badań nie wystarcza, jeśli ich znaczenie nie jest tłumaczone w sposób zrozumiały dla społeczeństwa. Potrzebni są specjaliści potrafiący łączyć wiedzę naukową z prostym językiem komunikacji. Coraz więcej uczelni i instytucji naukowych angażuje się dziś w działania edukacyjne w mediach społecznościowych. Dzięki temu rzetelna wiedza ma szansę dotrzeć do osób, które na co dzień nie sięgają po publikacje naukowe.

Popularyzacja nauki może więc stać się jednym z najważniejszych narzędzi walki z dezinformacją, a rozwijanie krytycznego myślenia i umiejętności oceny źródeł informacji może okazać się jednym z najważniejszych elementów edukacji zdrowotnej w XXI wieku.

Zdjęcia Winicjusz Schulz



*Mgr Magdalena Schulz — absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny*



Marek Jurgowiak

# Płytki i splątki, czyli dziedzictwo doktora A

„Wtedy tylko można zrozumieć istotę rzeczy, jeśli zna się ich pochodzenie i rozwój”  
Heraklit z Efezu (540-480 p.n.e.) – joński filozof przyrody, znany z teorii zmienności rzeczy „panta rhei” autor koncepcji, iż *mądrość polega na poznaniu Logosu i myśleniu zgodnym z jego prawami*

**Od początków dwudziestego wieku do dzisiaj, przewidywana długość życia podwoiła się, a udział procentowy osób starszych w populacjach krajów rozwiniętych wzrósł trzykrotnie.**



I paradoksalnie właśnie za sprawą dłuższego życia człowieka i idących z tym w parze sukcesów medycyny bardzo powszechną przyczyną śmierci stały się choroby neurodegeneracyjne, w tym choroba Alzheimera. Trend ten rozszerza się na cały uprzemysłowiony świat. W tym roku mija 120 lat od opisanego „choroby zapominania”, znanej oficjalnie od 1967 roku właśnie jako choroba Alzheimera.

W dniu 26 listopada 1901 roku doktor Alois Alzheimer pracujący w miejskim zakładzie psychiatrycznym we Frankfurcie nad Menem, przeprowadził rozmowę z nowoprzyjętą do szpitala pacjentką, Auguste Deter. Pierwsze zdanie w zachowanej karcie chorobowej pacjentki, jakie odnotował lekarz, brzmiało: „siedzi w łóżku z wyrazem bezradności”. Pacjentka zmarła wiosną 1906 roku, a w pobranych z jej mózgu próbkach doktor A odkrył pod mikroskopem i opisał charakterystyczne zmiany, anomalie tkanki mózgowej w postaci płytek i splątków, które obecnie wiążemy z najbardziej znaną światu zachodniemu neurodegeneracyjną chorobą Alzheimera. To zapewniło nieśmiertelność samemu pasjonatowi badań mikroskopowych, jak i jego pacjentce.

Alois Alzheimer, dziś uznany pionier neuropatologii, urodził się 14 czerwca 1864 roku w Marktbreit nad Menem, małej miejscowości nieopodal Würzburga (Bawaria, Niemcy). Ojciec Aloisa miejscowy notariusz (Eduard Alzheimer), zadbał o ukończenie przez syna szkoły elementarnej w Marktbreit i gimnazjum w Aschaffenburg, a następnie Alois rozpoczął studia medyczne w Würzburgu, kontynuowane w Berlinie uznanym wówczas za Mekkę medycyny. To na tej uczelni Robert Koch odkrył w 1882 roku prątki gruźlicy. Jednak po krótkim czasie Alois wrócił do Würzburga i studiował także w Tubingen. Swoją pracę dyplomową napisał Alois w 1887 roku, a doktorat obronił na podstawie pracy poświęconej opisowi

gruczołów woskowinowych zewnętrznego przewodu słuchowego. Był znakomitym obserwatorem i rysownikiem, więc jego praca doktorska, jak i późniejsze opracowania naukowe, zawierała profesjonalne, piękne rysunki preparatów mikroskopowych.

W wieku 24 lat Alois rozpoczął zawodową drogę medyczną, przyjmując posadę lekarza w Anstalt für Irre und Epileptische we Frankfurcie. Jego kandydaturę zaakceptował dyrektor zakładu Emil Siola. Obaj lekarze w swojej pracy wdrożyli zasadę non-restraint, polegającą na unikaniu środków przemocy (np. kaftany, przymusowe karmienie). Zamiast tego wprowadzili nadzór nad pacjentami w obszernych salach. Na polecenie Sioliego, w szpitalu wybudowane zostało bardzo nowoczesne pomieszczenie laboratorium sekcyjnego. Zatem lekarz Alois Alzheimer, który w ciągu dnia opiekował się pacjentami, mógł także oddać się wieczorami swojej pasji – badacza neuropatologa. Niedługo później do frankfurckiego ośrodka przybył Franz Nissl, obecnie znany ze swojej rewolucyjnej metody „barwienia Nissla” metody barwienia komórek nerwowych, która stale stosowana jest w laboratoriach neurohistologicznych na całym świecie. Obaj badacze bardzo blisko ze sobą współpracowali, zajmując się patologią układu nerwowego. Zaowocowało to dużą sześciotomową publikacją zatytułowaną *Histologic and Histopatologic Studies of the Cerebral Cortex (Histologische und Histopatologische Arbeiten über die Groshirnrinde)* publikowaną w latach 1906–1918.

Ważnym wydarzeniem w życiu prywatnym i zawodowym Aloisa było poznanie, a następnie małżeństwo z Cecylią. Poznali się nieco wcześniej, a gdy Cecylia Geisenheimer owdowiała, pobraли się w roku 1894. Franz Nissl był świadkiem na ślubie Alzheimera. Cecylia była majątną wdową po zamożnym bankierze, co zapewniło Aloisowi niezależność finansową i możliwość całkowitego oddania się pracy badawczej. Alzheimerowie żyli we Frankfurcie na wysokim poziomie. Z czasem przyszły na świat ich dwie córki i syn. W lutym 1901 roku, po siedmiu latach małżeństwa, umiera Cecylia i Alois zostaje trzydziestosześcioletnim wdowcem. Franz Nissl w późniejszym okresie nazwał związek państwa Alzheimerów „najszczęśliwszym małżeństwem”. A przypomnijmy, że był to też czas, w którym doktor Alzheimer prowadził pierwsze rozmowy z pacjentką Auguste Deter.



W 1895 roku Franz Nissl przeniósł się do Heidelbergu, gdzie podjął współpracę z wybitnym niemieckim psychiatrą Emilem Kraepelinem. Już w 1902 roku Emil Kraepelin zaprosił do współpracy także Aloisa Alzheimera, który podjął z nim współpracę w uniwersyteckiej klinice w Heidelbergu. Rok później ten znakomity zespół wspólnie przeniósł się do uniwersyteckiej kliniki psychiatrycznej w Monachium. W roku 1904 opublikowana zostaje praca habilitacyjna Alzheimera z zakresu histopatologii, w której badacz udowodnił, że diagnoza histologiczna (badanie mikroskopowe) może dać odpowiedź na wiele pytań stawianych przez nauki kliniczne. W tym czasie Alois prowadził badania wykazujące związek między takimi schorzeniami jak epilepsja, schizofrenia, choroba Huntingtona i stwardnienie rozsiane z anomaliami (dysfunkcjami) układu nerwowego. Warto nadmienić, że laboratorium w którym działał Alzheimer, odwiedziło wielu znakomitych naukowców tamtych czasów. Listę ich nazwisk czyta się jak kompendium eponimów. Był to Friedrich Heinrich Lewy (Levy), Znamy obecnie ciałka Lewy’ego, które odkrył w mózgu

osób cierpiących na chorobę Parkinsona. Hans Creutzfeldt i Alfons Jacob to badacze, którzy niezależnie od siebie opisali chorobę dziś znaną jako choroba prionowa Creutzfeldta-Jacoba. Z Polski przybył do laboratorium monachijskiego Teofil Simchowicz, pionier polskiej neuropatologii (wprowadził pojęcie blaszki starczej w opisie otępienia starczego).

W listopadzie roku 1906 na konferencji naukowej, która odbyła się w Tubingen Alois Alzheimer omówił wyniki swoich badań neuropatologicznych mózgu Auguste Deter. Gdy pacjentka zmarła we Frankfurcie w roku 1906, jej mózg wysłany został w ślad za Aloisem do Monachium. Tekst odczytu, który ukazał się w 1907 roku w „Allgemeine Zeitschrift für Psychiatrie”, wskazuje, iż w Tubingen badacz zaprezentował obraz kliniczny nowej choroby zaczerpnięty jeszcze z własnego opisu, jaki sporządził we Frankfurcie. Zaprezentował przy tym zdjęcia (diapozytywy) przedstawiające preparaty histologiczne, na których widoczne są obserwowane przez Alzheimera w mózgu chorej specyficzne skupiska białek (płytki) i splątki (neurofibrilary). W Tubingen (Tybindze) po raz pierwszy świat nauki ujrział płytki i splątki, które do dzisiaj uważane są za charakterystyczne i mające bezpośredni związek z patomechanizmem rozwoju choroby demencyjnej, która później zyskała miano – choroba Alzheimera.

Nasuwa się w tym miejscu taka konstatacja, iż wraz ze swoim szefem, mentorem oraz współpracownikiem Emilem Kraepelinem, Alzheimer uznany może być za ojca nowoczesnej psychiatrii i wizjonera poprzez propagowanie idei odpowiedzialności biologicznych czynników (zmian neuropatologicznych) za rozwój chorób psychiatrycznych, w tym samym czasie gdy Freud głosił tezy swojej psychoanalizy i stosował tę metodę jako formę terapii oraz badania psychiki.

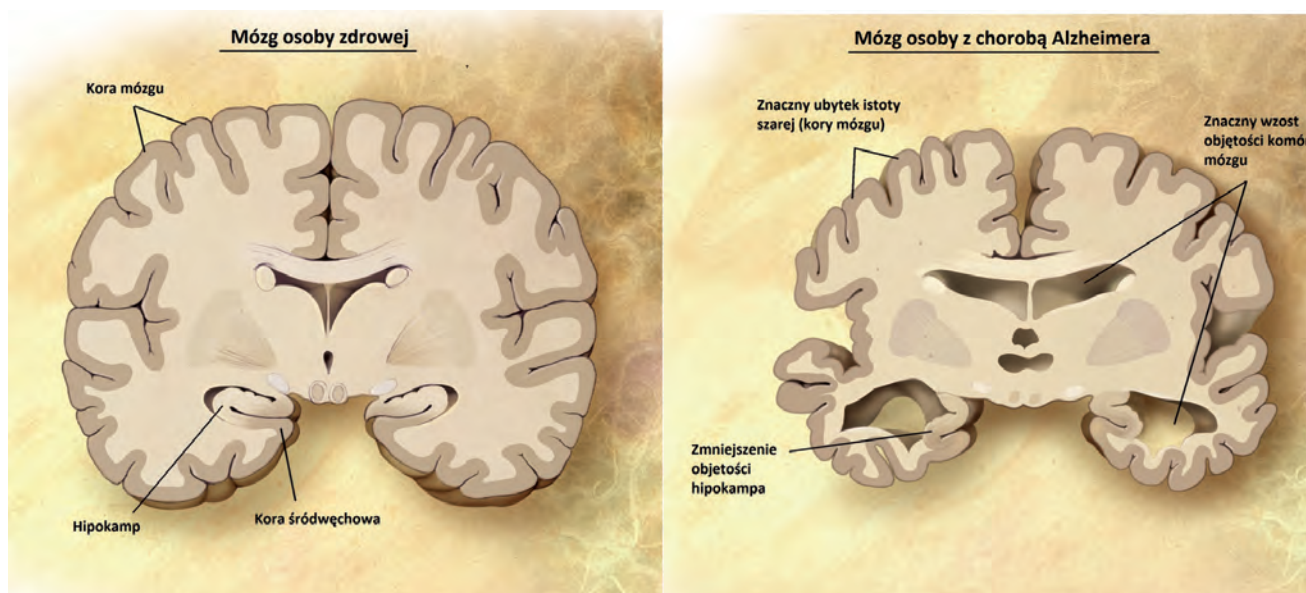
W roku 1908 Alzheimer został profesorem w Instytucie Psychiatrii, w latach 1904–1912 był lekarzem naczelnym w Klinice Psychiatrycznej i kierownikiem Laboratorium Anatomicznego. Nauczał przy tym z pasją studentów przybywających do jego laboratorium z wielu krajów.

Pojawia się także wątek, który obecnie możemy określić jako wątek polski w życiu i pracy profesora Aloisa. Otóż w roku 1912 jako profesor zwyczajny został kierownikiem Katedry Psychiatrii Uniwersytetu Wrocławskiego i dyrektorem Kliniki Psychiatrycznej (Königlich Psychiatrischen und Nerven-Klinik). Wówczas był to Breslau, a Uniwersytet nosił imię Fryderyka Wilhelma. Alzheimer podjął funkcję wcześniej pełnioną prawie dwadzieścia lat przez również wielkiego neuronaukowca Carla Wernicke, od imienia którego pochodzi nazwa choroby Wernickego, uznana za część zespołu Korsakowa. Objęcie tej funkcji miało dla profesora Alzheimera duże znaczenie prestiżowe.

Alois Alzheimer, już podczas trwającej I wojny światowej, w 1914 roku wygłosił kontrowersyjny odczyt *Krieg und Nerven* i był to tak naprawdę ostatni akcent jego naukowej działalności. W grudniu 1915 roku spotkał się jeszcze z synem Hansem służącym w wojsku, ale stan zdrowia Aloisa szybko się pogarszał. Wiadomo jest tyle, że rozwinęło się u uczonego zapalenie osierdza i pacjent zmarł w wieku 51 lat. W pogrzebie Alzheimera wziął udział Franz Nissl, z którym uczony blisko współpracował, a który napisał, iż jego naukowy partner prosił, aby nie wygłaszać mów pogrzebowych i 23 grudnia 1915 roku zgodnie z życzeniem został pochowany na frankfurckim cmentarzu obok zmarłej wiele lat przed nim żony, z którą przeżył choć krótkie, to bardzo szczęśliwe, czasy związku małżeńskiego.

W tymże roku 1915 nie uważano jeszcze Aloisa za odkrywcę choroby, która miała uczynić jego nazwisko nieśmiertelnym. Wprawdzie Emil Kra-





epelin wcześniej (w swoim podręczniku psychiatrii, w 1910 roku) sugerował nazwę choroba Alzheimera, a sam we wczesnych latach 1900. opisywał symptomy tej choroby u pacjentów, to jednak neuropatologiczne zmiany w mózgu osób dotkniętych tym typem choroby demencyjnej opisał najlepiej jako pierwszy właśnie Alois Alzheimer. Oficjalnie nazwa choroby Alzheimera przyjęta została na Kongresie lekarzy w Lozannie w 1967 roku i za-

funkcjonowała powszechnie dla opisu konkretnej jednostki chorobowej.



*Dr n. med. Marek Jurgowiak* — Wydział Farmaceutyczny Collegium Medicum UMK, wiceprzewodniczący Rady Programowej CN Młyn Wiedzy, Rada Programowa TFNiS, autor i popularyzator nauki, członek zespołu redakcyjnego „Głosu Uczelni”

Drugim przypadkiem choroby Alzheimera opisanym i badanym przez Aloisa był przyjęty do uniwersyteckiej kliniki psychiatrycznej we wrześniu 1907 roku Johann Feigl, pięćdziesięciosześcioletni pracownik najemny, którego Alzheimer obserwował aż do jego śmierci. Zmarł 3 października 1910 roku. Alois Alzheimer sam przeprowadził sekcję zwłok, zauważając zwężenia w zakrętach płatów czołowych i skroniowych. W książce sekcyjnej znajdował się również wpis potwierdzający postawioną wcześniej diagnozę: „Alzheimer’sche Krankheit” dokonany ręką samego Alzheimera. Eponimem został uhonorowany Alzheimer przez Kraepelina (osiem lat starszego od Aloisa, mentora karier wielu niemieckich lekarzy i uczonych), ale wówczas wątpił sam w wagę tego honoru.

Warto też pamiętać, że w czasach Alzheimera najwyżej 20% osób dożywało wieku 65 lat, więc związana z wiekiem podeszłym choroba Alzheimera występowała dość rzadko.

Zwieńczeniem opowieści o odkrywcach i samej chorobie Alzheimera mówiącym najlepiej o tym dlaczego ta choroba budzi w nas dotąd tyle niepokoju są słowa które napisał Michael S. Wolfe, znany ekspert w dziedzinie biologii molekularnej tej choroby: „Lęk przed chorobą Alzheimera ma źródła nie tyle w obawie przed bólem i cierpieniem fizycznym, ile przed nieuchronną utratą wspomnień z całego życia, stanowiących o tożsamości człowieka”.

Swoistą sensacyjną wiadomość usłyszał świat w 1995 roku, kiedy odnaleziono całkiem przypadkowo kartę chorobową Auguste Deter. Karta ta została przez pomyłkę umieszczona wśród dokumentów z innego rocznika archiwum Kliniki Psychiatrycznej we Frankfurcie. Po następnych dwóch latach odnalazło się także kilka fotografii pierwszej pacjentki ze zdiagnozowaną chorobą Alzheimera. Na fotografiach jej twarz wyraża bezradność, która tak uderzająco podziała na doktora Alzheimera już podczas ich pierwszego spotkania w 1901 roku.

Janusz Małek

# Czy Mikołaj Kopernik przeprowadzał korektę druku swego dzieła *De revolutionibus*?

Jest regułą, że autor pragnie, aby książka była wydrukowana zgodnie z jego intencją i nie zawierała błędów, dlatego pilnie dokonuje on korekty. W wypadku publikacji dzieła Kopernika *De revolutionibus* sytuacja była bardziej skomplikowana.

Odległość od miejsca zamieszkania Kopernika we Fromborku do siedziby drukarni Petreiusa w Norymberdze wynosi dzisiaj w linii prostej około 750 km, a trasa drogowa to około 1000 km. W latach 1542, 1543, kiedy drukowano dzieło,

Recognito & ad autographum opere impresso iterum collato, sequentia emendare curabis. Numerus primus est foliorum, Secundus uero uersuum. Puncti adiecti facies foliorum de notant, unus scilicet primam, duo alteram.

Folio 4. uersu 10 lege possit. 633. agitur. 719 terra. 814. quidam. 1118. circulum. 2012. quam. 22.7. Si ex K signo. 22.20. duplam. 23.14. rectum & angulum. 23.15. E habens, dele E. 23.19. pro B lege E. 26.35. sub tendentis duplum. 30. pro K in polo antarctico, reponere H, figuræ primæ. 30. 30. pro 19 reponere 29. 31.11. in prima differentiarum pro 55.50. 45.40.35.3. pone pro singula. 0. 35.13. pro perpendiculari, pone ad angulos rectos. 45.15. com pertam. 50.29. minor. 50.35. pro 11 lege 0. 4. 50.20. pro 20 lege 29. 4. 51.17. p. lege 3. 54.23. maior adiecta. Ibidem linea 26. p. 269. 1. 6. lege 169. 1. 6. 55.6. pro 165. 1. 6. lege 165. 1. 6. 55.16. pro 12 lege 327. 1. 6. 61.22. pro 196. 1. 6. lege 186. 1. 6. 61.32. pro 41 lege 40. 3. 65.30. semper per Albaternium, intel lige Machometem Aracensem. 66.23. sumitur I medio. 72.26. pro quibus, lege Nam hic, hæc quæ sequuntur usq; ad, Sed quonia, folio 73.13. reñcienda sunt in finem capitis septimi, reliqua consequenter sic emenda. 72.39. pro dextantes graduum, lege 1 grad. & sextantem. 72.34. pro unius partis & scrup. XL lege duarum part. & scrup. XX. 73.9. p. scrup. L lege LXX. 73.11. p. scrup. XX lege XXVIII. 73.13. p. scrup. XX. lege XXVIII. 74.14. p. XXVIII. lege XLVIII. 75.1. existit. 77.9. p. dies C. lege C. 15. 77.32. p. V anomalie, lege LV. 79.26. quadras. 84. 29. lege Homocentricis A B C. 86.20. pro E D lege E D F. 87.4. pars diei, lege partibus. 90.31. loca, æquinoctialium. 91. in hac figura coniunge D I & O I lineis rectis. 93.35. coagmentatos lege. 95.2. pro sunt lege fiunt. Ibidem linea 10. pro motu pertranfire, lege motu composito pertranfire. 98.18. naturalium. 100.14. autem atq; in F, lege autem in F. 101.31. p. 101.22.8. pro CLXXVIII. lege CXLVIII. Ibidem linea 12. pro in lege non. Ibidem linea 22. abundant. 106. 18. pro XXXIII. lege XXXIII. 109.21. pro B C, D, lege B E, C E. Ibidem linea 24. pro B C lege B C. 108.33. pro scrup. II. Ibidem linea 33. lege quod sub F I. 109.4. pro D F lege D E L. Ibidem linea 12. pro G B C, lege G C B. Ibidem linea 24. pro motus lege locus. Ibidem linea 26. pro CLXX. lege CLXXVII. Ibidem linea 29. longitudinis & anomalie. 109.5. quatuor unius gradus. 110.20. pro XXXIX, lege XXXVIII. 111. in hac figura conneñantur E M, E L, lineis rectis. 116.18. pro XI. lege XVI. Scorpj. 117.6. pro scrup. LV. lege LV. 119. 18. pro autem lege etiam 119.12. lege eius & uertice. 120.4. pro XII. lege VII 121.19. pro quo lege qua. 121.13. prima ad scrup. 122.22. lege 1000000. Ibidem linea 32. lege 1000000. 123.24. scrup. secundorum XXXII. 124. linea 27. pro differentia quinto, lege differentias, quibus, 125. in hac figura R E circumferentia, & dextris accipiendi erat. 127.17. lege. Luna si latitudinis. Ibidem linea 26. lege D B E & sumpta. Ibidem linea 33. lege, breuiora angulos. 128.25. pro A B, D A recto, lege A B D & recto. 129.4. lege in fine horæ. 130.35. pro horarium, lege horarum. 131.11. pro illic lege hic. 134.17. lege reperiuntur. 134.3. lege p LXIX. LIX. Ibidem linea 19. lege diei scrupulus. Ibidem linea 21. pro XXI, lege XXXI. Ibidem linea 32. pro III. lege XL. 140.29. lege sin deferentis. Ibidem linea 32. lege, at iam in Mercurio, ac magis accidere. 141.30. lege addet medio. 142. in hac figura pro T, lege R. 142.12. lege differentia tamen insensibili. Ibidem linea 27. pro erit lege erat. 144.33. pro 864, lege 854. Ibidem linea 18. pro XXXVI lege XXXVI. 145.1. lege perueniret. 145.13. p. CCLXXII. lege CCLXXIII. Ibidem linea 7. pro A D E, lege A E D. Ibidem linea 18. pro LXXXVIII. lege LXXVIII. Ibidem linea 25. pro ei, lege si, pro dimetiens, lege dimetiens. 145. 30. lege quod sub G D, D H, sed quod sub G D. Ibidem linea 36. pro S T lege F D.

NICOLAI

Fot. kpbc.umk.pl

Recognito & ad autographum opere impresso iterum collato, sequentia emendare curabis. Numerus primus est foliorum, Secundus uero uersuum. Puncti adiecti facies foliorum de notant, unus scilicet primam, duo alteram.

Folio 4. uersu 10 lege possit. 633. agitur. 719 terra. 814. quidam. 1118. circulum. 2012. quam. 22.7. Si ex K signo. 22.20. duplam. 23.14. rectum & angulum. 23.15. E habens, dele E. 23.19. pro B lege E. 26.35. sub tendentis duplum. 30. pro K in polo antarctico, reponere H, figuræ primæ. 30. 30. pro 19 reponere 29. 31.11. in prima differentiarum pro 55.50. 45.40.35.3. pone pro singula. 0. 35.13. pro perpendiculari, pone ad angulos rectos. 45.15. com portam. 50.29. minor. 50.35. pro 11 lege 0. 4. 50.20. pro 20 lege 29. 4. 51.17. p. lege 3. 54.23. maior adiecta. Ibidem linea 26. p. 269. 1. 6. lege 169. 1. 6. 55.6. pro 165. 1. 6. lege 165. 1. 6. 55.16. pro 12 lege 327. 1. 6. 61.22. pro 196. 1. 6. lege 186. 1. 6. 61.32. pro 41 lege 40. 3. 65.30. semper per Albaternium, intel lige Machometem Aracensem. 66.23. sumitur I medio. 72.26. pro quibus, lege Nam hic, hæc quæ sequuntur usq; ad, Sed quonia, folio 73.13. reñcienda sunt in finem capitis septimi, reliqua consequenter sic emenda. 72.39. pro dextantes graduum, lege 1 grad. & sextantem. 72.34. pro unius partis & scrup. XL lege duarum part. & scrup. XX. 73.9. p. scrup. L lege LXX. 73.11. p. scrup. XX lege XXVIII. 73.13. p. scrup. XX. lege XXVIII. 74.14. p. XXVIII. lege XLVIII. 75.1. existit. 77.9. p. dies C. lege C. 15. 77.32. p. V anomalie, lege LV. 79.26. quadras. 84. 29. lege Homocentricis A B C. 86.20. pro E D lege E D F. 87.4. pars diei, lege partibus. 90.31. loca, æquinoctialium. 91. in hac figura coniunge D I & O I lineis rectis. 93.35. coagmentatos lege. 95.2. pro sunt lege fiunt. Ibidem linea 10. pro motu pertranfire, lege motu composito pertranfire. 98.18. naturalium. 100.14. autem atq; in F, lege autem in F. 101.31. p. 101.22.8. pro CLXXVIII. lege CXLVIII. Ibidem linea 12. pro in lege non. Ibidem linea 22. abundant. 106. 18. pro XXXIII. lege XXXIII. 109.21. pro B C, D, lege B E, C E. Ibidem linea 24. pro B C lege B C. 108.33. pro scrup. II. Ibidem linea 33. lege quod sub F I. 109.4. pro D F lege D E L. Ibidem linea 12. pro G B C, lege G C B. Ibidem linea 24. pro motus lege locus. Ibidem linea 26. pro CLXX. lege CLXXVII. Ibidem linea 29. longitudinis & anomalie. 109.5. quatuor unius gradus. 110.20. pro XXXIX, lege XXXVIII. 111. in hac figura conneñantur E M, E L, lineis rectis. 116.18. pro XI. lege XVI. Scorpj. 117.6. pro scrup. LV. lege LV. 119. 18. pro autem lege etiam 119.12. lege eius & uertice. 120.4. pro XII. lege VII 121.19. pro quo lege qua. 121.13. prima ad scrup. 122.22. lege 1000000. Ibidem linea 32. lege 1000000. 123.24. scrup. secundorum XXXII. 124. linea 27. pro differentia quinto, lege differentias, quibus, 125. in hac figura R E circumferentia, & dextris accipiendi erat. 127.17. lege. Luna si latitudinis. Ibidem linea 26. lege D B E & sumpta. Ibidem linea 33. lege, breuiora angulos. 128.25. pro A B, D A recto, lege A B D & recto. 129.4. lege in fine horæ. 130.35. pro horarium, lege horarum. 131.11. pro illic lege hic. 134.17. lege reperiuntur. 134.3. lege p LXIX. LIX. Ibidem linea 19. lege diei scrupulus. Ibidem linea 21. pro XXI, lege XXXI. Ibidem linea 32. pro III. lege XL. 140.29. lege sin deferentis. Ibidem linea 32. lege, at iam in Mercurio, ac magis accidere. 141.30. lege addet medio. 142. in hac figura pro T, lege R. 142.12. lege differentia tamen insensibili. Ibidem linea 27. pro erit lege erat. 144.33. pro 864, lege 854. Ibidem linea 18. pro XXXVI lege XXXVI. 145.1. lege perueniret. 145.13. p. CCLXXII. lege CCLXXIII. Ibidem linea 7. pro A D E, lege A E D. Ibidem linea 18. pro LXXXVIII. lege LXXVIII. Ibidem linea 25. pro ei, lege si, pro dimetiens, lege dimetiens. 145. 30. lege quod sub G D, D H, sed quod sub G D. Ibidem linea 36. pro S T lege F D.

NICOLAI

Fot. polona.pl

„Po sprawdzeniu i ponownym porównaniu wydruku z autografem należy poprawić poniższe błędy. Pierwsza liczba wskazuje kartę, druga – wiersz. Dodane punkty oznaczają miejsca błędów: jedna kropka oznacza pierwszy, dwie – drugi” (przekład tytułu erraty z łaciny). Czytelnicy *De revolutionibus* po wprowadzeniu poprawki w tekście skreślali lub podkreślali miejsce w erracie. Świadczy to o dokładnej lekturze tego dzieła, a przeczy tezie „książka, której nikt nie przeczytał”, zwalczanej już przez O. Gingericha.

przy najbardziej korzystnym czasie przesyłki należało się liczyć z okresem co najmniej 2 tygodni, a w obydwie strony około 1 miesiąca (zob. O. Gingerich, *An Annotated Census...*, s. XIII–XIV). Kopernik był o tyle w korzystnej sytuacji, że mógł powierzyć obowiązki korektora swojemu uczniowi Jerzemu Joachimowi Retykowi, tym bardziej, że to on wraz z przyjacielem Astronoma biskupem chełmińskim Tiedemannem Giesem nakłonili go do publikacji *De revolutionibus*.

Nie musiało to jednak oznaczać, aby całkowicie zrezygnował z korekty autorskiej. J. J. Retyk po opublikowaniu *Naratio prima* w Gdańsku w roku 1540, zawierający zwiastun teorii heliocentrycznej swego Mistrza, nieomal kolejny rok niewątpliwie spędził na sporządzeniu odpisu dzieła *De revolutionibus* (zob. K. H. Burmeister, *Georg Joachim Rheticus...*, s. 53). We wrześniu 1541 r., Retyk opuścił Frombork, udając się do Wittenbergi, mając z pewnością w sakwojazu sporządzony przez niego odpis rękopisu *De revolutionibus*. Oryginał pozostał we Fromborku i dopiero po śmierci Kopernika przekazał go Retykowi Tiedemann Giese. W Wittenberdze czekały na Retyka obowiązki dziekana Wydziału Artes Liberales, których podjęcia się nie mógł odmówić. Pełnił je do 30 kwietnia 1542 r. Teraz mógł się udać do Norymbergi. Przede wszystkim skierował się drukarza Jana Petreiusa (zob. K. H. Burmeister, op. cit., s. 77). Druk *De revolutionibus* rozpoczął Petreius niemal natychmiast. Już w końcu maja 1542 r. Retyk przeprowadził korektę dwóch pierwszych arkuszy tego dzieła (K. H. Burmeister, op. cit., s. 77). Następne dwa miesiące wykorzystał Retyk na odwiedzinach rodziny i przyjaciół w Bregenz, Ravensburgu i Feldkirch. W sierpniu 1542 r. był znów w Norymberdze i musiał zdecydować, czy wrócić na uniwersytet w Wittenberdze, czy objąć profesurę na uniwersytecie w Lipsku. Zdecydował się na Lipsk, gdzie rozpoczął wykłady w październiku lub listopadzie tegoż roku. Prawdopodobnie we wrześniu był Retyk jeszcze w Norymberdze (K. H. Burmeister, op. cit., s. 79, 84).

Nie wiemy, czy Retyk zajmował się w jakimś stopniu jeszcze korektą *De revolutionibus*, czy oddał tę czynność już całkowicie – jak przypuszcza biograf Retyka K. H. Burmeister – swoim przyjaciołom Janowi Schönerowi, Andrzejowi Osiandrowi i Janowi Petreiusowi, ufając ich rzetelności (zob. K. H. Burmeister, op. cit., s. 78). Owen Gingerich uważał, że Petreius wysyłał Kopernikowi kolejno paczki z wy-

drukowanymi arkuszami wydawniczymi do korekty. Dowodem na udział Kopernika w przygotowaniu erraty ma być fakt korygowania tych samych błędów w nadsyłanych drukach korektorskich, jak i w rękopisie *De revolutionibus*, który był nadal w jego posiadaniu. Część z nich to były proste błędy typograficzne, część jednak miała charakter merytoryczny, które mógł poprawić tylko sam autor, a więc Kopernik. Zastanawiający jest fakt, iż errata w *De revolutionibus* obejmuje karty (folio) 1–146, przy objętości całej książki 196 kart, 51 składek (6 kart nienumerowanych z przodu książki drukowano później), a więc z pominięciem ostatnich 50 kart. Na fakt ten zwrócił uwagę Gingerichowi polski kopernikolog Jerzy Dobrzycki (zob. O. Gingerich, *En early tradition...*, s. 47). W formacie folio jeden arkusz drukarski po złożeniu dawał dwie karty (4 strony), a składka obejmowała zazwyczaj kilka arkuszy 3–5. Gingerich tłumaczy, iż druk *De revolutionibus* wyprzedził dotarcie korekty Kopernika dotyczącej ostatniej części jego książki. Zdążył on do momentu druku wysłać korektę do 37 składek. Petreius spieszył się, wprowadzał korektę równocześnie z drukiem. Jednak w 8 egzemplarzach (6 w pierwszym i 2 w drugim wydaniu) errata obejmuje całość książki. Oznaczałoby to, że Kopernik dostał erratę ostatnich 14 składek już po ukończeniu druku dzieła, „a zainteresowani uczeni w Norymberdze i Wittenberdze wprowadzili poprawne wersję ręcznie w swoich egzemplarzach” (zob. O. Gingerich, *An Annotated Census...*, s. XIII–XIV, XVIII). O tym, że Kopernik pozostawał w kontakcie z wydawcami *De revolutionibus*, może pośrednio świadczyć notatka Achillesa Grassera, przyjaciela Kopernika o tym, iż w czerwcu 1542 r.

Astronom skończył pisać przedmowę w formie listu do papieża Pawła III. Kopernik musiał już sam wysłać ten tekst do Norymbergi, jeśli był tam jeszcze Retyk, lub do Osiandra, albo Petreiusa (zob. M. Biskup, *Regesta Copernicana*, s. 211, nr. 481). Druk dużego dzieła Kopernika *De revolutionibus*, przy ówczesnych możliwościach pras drukarskich, wymagał kilku miesięcy, dziennie 2 karty (O. Gingerich, op. cit., s. XIV). Ostatecznie druk ukończono przed 21 marca 1543 r. w drukarni Johanna Petreiusa (M. Biskup, *Regesta Copernicana*, s. 216). Swoje dzieło mógł ujrzeć Kopernik w dniu swojej śmierci, zapewne 24 maja 1543 r., ale wątpliwe, aby z powodu udaru miał świadomość tego faktu (zob. M. Biskup, *Regesta Copernicana*, s. 219–220).

## Bibliografia

- Biskup Marian, *Regesta Copernicana*, Wrocław 1973.
- Burmeister Karl Heinz, *Georg Joachim Rheticus (1514-1574)*, Wiesbaden 1967.
- Gingerich Owen, *An Annotated Census of Copernicus „De Revolutionibus” (Nuremberg, 1543 and Basel, 1566)*, Leiden 200.
- Gingerich Owen, *En early tradition of an extended errata list for Copernicus's „De revolutionibus”, Journal for History of Astronomy*, vol. 12, 1981.

Rheticus Georg Joachim, *Narratio prima. Relacja pierwsza z ksiąg „O obrotach” Mikołaja Kopernika*, przekład Ignacy Lewandowski, wstęp i komentarz Jarosław Włodarczyk, Truszczyń - Warszawa 2015.



*Prof. dr hab. Janusz Małek* – historyk, znawca dziejów Prus i Skandynawii, b. prorektor UMK

Ewa Walusiak-Bednarek

## Skarb znaleziony na strychu

W kwietniu 2023 roku na strychu cerkwi świętego Jana Teologa w Nowoberezowie natrafiono na nieznaną szerzej światu nauki i sztuki – fragmenty ikonostasu.

Odkrycia dokonali pracownicy zespołu Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce, który działa w strukturach Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Odkrycie, dokonane podczas rutynowo-



Fragment ikonostasu po konserwacji, fot. Andrzej Romański

wej inwentaryzacji zabytków, było całkowicie przypadkowe. Badacze jednak od początku świadomi byli jego wagi.

Odnalezione fragmenty ikonostasu pochodzą z połowy XVII wieku. Jest więc to najstarszy zachowany na Podlasiu tego typu zabytek, a także jeden z najstarszych na ziemiach całej dawnej Rzeczypospolitej. Jego odkrycie szybko stało się międzynarodową sensacją.

Na zlecenie Narodowego Instytutu Dziedzictwa zespół pracowników Centrum Badań i Konserwacji Dziedzictwa Kulturowego naszej uczelni – podjął się interwencyjnej konserwacji dwudziestu obrazów tablicowych i licznych elementów snycerki wchodzących w skład ikonostasu.

W listopadzie 2023 roku przy trudnych warunkach pogodowych troje z nich – Magdalena Iwanicka, Jacek Stachera i Daria Piasecka – pojechało po ikonostas do Nowoberezowa. Stan jego zachowania był fatalny; rozległe zniszczenia elementów drewnianych, popękana, odsypująca się przy najdrobniejszym ruchu polichromia, kruszące się złocenia, luźne elementy podłoża, rozmaite zabrudzenia, w tym gruba warstwa kurzu oraz ptasie i zwierzęce odchody... Na dodatek okazało się, że podczas dziesięcioleci składowania ikonostasu zmieniono drzwi prowadzące na strych... na znacznie mniejsze. Uniemożliwiało to wyniesienie zabytku schodami.

O wyzwaniach, z jakimi mierzyli się nasi konserwatorzy, przeczytacie w kolejnym numerze „Głosu Uczelni”.



Usuwanie tymczasowych zabezpieczeń, fot. Jakub Piasecki



Jeszcze na strychu cerkwi w Nowoberezowie, fot. Daria Piasecka



Podczas diagnozy, fot. Aleksandra Sudomirska

Wojciech Szczęsny

## O historii badania ciała ludzkiego

Pamięci prof. Olgierda Narkiewicza, wybitnego gdańskiego anatoma, z dedykacją dla Leszka Amerskiego, który uczył mnie tego przedmiotu na ćwiczeniach

Zastanawiałem się, kiedy po raz pierwszy zainteresowałem się budową ciała człowieka. Chyba dosyć wcześnie, bowiem ojciec posiadał podręczniki, co prawda z lat 40. i 50. XX w., dotyczące tego problemu. Zapewne więc gdy posiadałem już zdolność czytania (choć anatomia to także, jeśli nie głównie, obrazki), zaglądałem tam. Pamiętam natomiast dokładnie, że bardzo lubiłem przedmiot, o nazwie „Nauka o człowieku”, który w ósmej klasie zastąpił biologię.

Właściwą naukę w tej materii, rozpocząłem w 1980 r. w Akademii Medycznej w Gdańsku. Wykłady prowadził Kierownik Katedry Anatomii profesor Olgierd Stanisław Narkiewicz (1925–2010), wybitny neuroanatom. Zajęcia praktyczne odbywałem z mgr. Leszkiem Amerskim, z którym do dziś przyjaźnię się. Chyba w owym czasie miałem dobrą pamięć, bowiem ów, chyba najtrudniejszy w pierwszych latach nauki medycyny, przedmiot nie sprawiał mi kłopotu. A anatomia to „pamięciówka”. Co więcej w czasie moich studiów i jeszcze długo po nich, obowiązywało nazewnictwo łacińskie, dodające, jak teraz mi się wydaje, niejkiej dostojności i hermetyczności. Ot choćby małe wgłębienie na kości piętowej zwane *sulcus tendinis musculi flexoris hallucis longi* (bruzda ścięgna mięśnia zginacza palucha długiego).



Imhotep przyzywa bóstwa w „świątyni zdrowia”, a jego asystent czyta zwój papirusu (obraz Ernesta Boarda)

Albo taki dół skrzydłowo-podniebienny, który, o losie studenta, ma sześć ścian! Każda z nich to oddzielna struktura mająca nazwę polską i łacińską. To nie wszystko. Ma on siedem otworów i szczelin, przez które wchodzi i wychodzą tętnice, żyły i nerwy! Że każda z nich ma binominalną nazwę, nie muszę wspominać. Jako się rzekło, udawało mi się w jakiś tajemniczy sposób, zapamiętać to wszystko do tego stopnia, że wystartowałem w, nawiasem mówiąc do dziś istniejącym, konkursie *Scalpus aurea* (Złota łopatka). Zająłem miejsce na podium, co dało mi stopień celujący, wpisany osobiście w mój indeks przez prof. Narkiewicza.

No to pochwaliłem się trochę, a teraz, że użyję owej dostojnej łaciny, *ad rem*. Pisząc, zawsze lubię zaczynać od źródłosłowu. Termin „anatomia” pochodzi od greckiego słowa „anatomē” (ἀνατομή), które dosłownie tłumaczy się jako „rozcinięcie” lub „sekcja”. Właściwie składa się z dwóch wyrazów „ana” (ἀνά): oznaczające „w górę”, „oddzielnie” lub „na” i „temnein” (τέμνω): oznaczające „ciąć”. To ostatnie znajdziemy też w takich określeniach jak tomografia czy tomy encyklopedii lub powieści. Czyli cięcie. No, to oczywiste, trzeba przeciąć powłoki ciała, aby zajrzeć do środka. Nie będzie chyba intelektualnym nadużyciem stwierdzenie, że pierwszymi anatomami byli... rzeźnicy i myśliwi. Rozcinając ciała zabitych zwierząt, widzieli ich wnętrzności. Część ich ofiar składano bogom w celach uzyskania ich przychylności. I tu pojawiają się haruspikowie. Któż to? Byli to kapłani, których zadaniem było interpretowanie woli bogów na podstawie kształtu wątroby zwierząt ofiarnych. Pierwsze wzmianki o nich pochodzą z państwa Mari (północna Mezopotamia) oraz z krainy Hetytów (1200 p.n.e.). Zwani byli oni tam „baru” (bārû), czyli wróżbita, który zajmował się badaniem wnętrzności zwierząt ofiarnych. Był to jeden z kluczowych elementów leczenia i diagnozowania chorób w starożytnej Mezopotamii.

W tamtejszej medycynie funkcjonowali również inni specjaliści, jak np. asû (lekarz zajmujący się leczeniem ziołami i innymi zabiegami) i āšipu (egzorcysta, który usuwał demony). Potem haruspikowie pojawili się w Etrurii. Od Etrusków ten obrzęd przejęli antyczni Rzymianie (połowa III wieku p.n.e.). Udzielali rad zarówno państwu jak i osobom prywatnym. Nazwa *haruspicium* pochodzi najprawdopodobniej od *haruga* (ofiara) i *spectio* (patrzeć, obserwować). Wybitne znaczenia pośród obserwowanych narządów miała wątroba, której wypukłą górną część nazywano *caput extorum*. Jakiegokolwiek



Etruski diagram haruspicyjny przedstawiający wątrobę, odkryty w 1877 r.

zaburzenie w budowie tego narządu uznawano za zły znak, jeśli był zaś zdrowy i dobrze wykształcony – za pomyślny. Zostańmy na chwilę w Mezopotamii. Nie ma pewności, czy wspomniani asû i āšipu praktykowali sekcje zwłok, bowiem w zachowanych źródłach nie znaleziono wzmianek o takim działaniu. Na podstawie wiedzy bārû oraz ran wojennych ówczesni medycy byli w stanie do pewnego stopnia rozpoznać funkcję wybranych narządów – na przykład perystaltykę. Ściągna, żyły i tętnice, których nie rozróżniano, określano wspólnym terminem „ser”-anu. W starożytnym Izraelu kapłani składający ofiary ze zwierząt, mieli okazję poznać ich budowę, a zwłaszcza zawartość jamy brzusznej. Chodziło o to, że pewne części ciała uważano za „nieczyste” lub „niegodne”. Kapłan składający ofiarę musiał zatem posiadać podstawową wiedzę, aby rozróżnić poszczególne organy. Sekcja zwłok ludzkich była tam zakazana. Wydawać by się mogło, że kapłani – balsamiści w starożytnym Egipcie, doskonale znali anatomie. Tak jednak nie było. Mózg usuwano przez nozdrza za pomocą specjalnych haczyków, niszcząc jego strukturę. Po rozcięciu ciała najważniejsze organy umieszczano w specjalnych urnach zwanych kanopami. Każda z nich ozdobiona była rzeźbą głów czterech synów Horusa. I tak: Imseta (o głowie ludzkiej – dla wątroby), Hapięgo (z głową pawiana – dla płuc), Kebehsenufa (głowa sokoła – dla jelit) i Duamutefa (głowa psa podobnego do szakala – dla żołądka). Serce, jako siedziba duszy, pozostawało w ciele. Pozostańmy jeszcze chwilę nad brzegami

Nilu i w słonecznej Helladzie. Starożytna maksyma rzymska głosi: „W czasie wojny milczą prawa”. Tu pełna zgoda. Ponoć milczą też muzy, choć chyba nie w Polsce, wspominając Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (1921–1944) czy Mirona Białoszewskiego (1922–1983). Jedno wszak jest pewne, nie milczy nauka.

Wręcz przeciwnie, każda wojna przyniosła nowe wynalazki, nie zawsze związane bezpośrednio z zabijaniem, ale paradoksalnie, z ratowaniem życia. Co ciekawe odniesienia do obrażeń wojennych i ich następstw znajdujemy u Homera (VIII w. p.n.e.) w *Iliadzie*. Grecki wojownik Meriones zabija przeciwnika, przebijając mu pęcherz. Z kolei Hektor ciskając kamieniem w Teukrosa, rani go w okolicy obojczyka, co powoduje niedowład kończyny górnej. Egipcjanie spisywali swoje dokonania na zwojach papirusów. Nie wszystkie owe artefakty przetrwały do naszych czasów, niemniej dwa z nich noszą miana medycznych. To papirusy Smitha i Ebersa. Nazwy pochodzą od ich nabywców, słynnych egiptologów, Amerykanina Edwina Smitha (1822–1906) i Niemca, Georga Moritza Ebersa (1837–1898). Pierwszy, z około 1500 p.n.e. jest prawdopodobnie kopią znacznie

starszego tekstu, datowanego na okres między 3000 a 2500 r. p.n.e. Zawiera on opisy 48 przypadków medycznych, w tym urazów głowy, szyi, obojczyka, mostka i żeber, kręgosłupa, ramienia i barku, a także rokowania i leczenie każdego z nich. Jest zatem dowodem na to, że 4000 lat temu starożytni lekarze, dzięki umiejętności prowadzenia wnikliwych obserwacji, potrafili rozpoznać wiele objawów, przypisać im wartość prognostyczną i zdobyć pewną wiedzę anatomiczną. W papirusie Edwina Smitha po raz pierwszy użyto słowa „mózg”, z jego opisem. Jest ów artefakt też, najwcześniejszym znanym źródłem mówiącym o płynie mózgowo-rdzeniowego. Takie dane znajdują się w szóstym opisie przypadku, dotyczącym otwartego złamania sklepienia czaszki z wgłobieniem kości i przerwaniem opony twardej. Czynniki uznane za prognostycznie niepomysłne były urazy głowy z odłamkami czaszki przebijającymi opony mózgowę, odstąpienie mózgu, zakażone rany głowy, złamania twarzoczaszki, rany głęboko penetrujące czaszkę oraz afazja (zaburzenia mowy, bądź jej rozumienia) towarzysząca urazom. Nigdy nie dowiemy się, kiedy ludzie zaczęli interesować się budową i działaniem własnego ciała. Jedno jest pew-



Wazy kanopskie z czasów XIX dynastii (Muzeum Egipskie w Berlinie) Fot. Nina Aldin Thune

ne. Bardzo dawno temu. Co o tym świadczy? Dwa fakty. Już kilka tysięcy lat temu, niezależnie w wielu oddalonych miejscach globu, wykonywano trepanację czaszki. Najprawdopodobniej zabiegi te miały na celu leczenie zaburzeń psychicznych. Istniała więc wiedza o tym, gdzie znajduje się ośrodek naszej jaźni. Pośród malowideł naskalnych, także z różnych obszarów naszej planety, odnajdujemy nawiązania do anatomii mięśni i trzewi. Oczywiście artefakty te mogą być i są rozmaicie interpretowane.

Pierwsze, stricte naukowe, podejście do anatomii miało miejsce w Grecji. Za ojca tej nauki uważa się Alkmeona z Krotonu (VI–V wiek p.n.e.). Niestety nie zachowały się żadne jego pisma, wiedza o jego działalności pochodzi zaś ze źródeł wtórnych. Stąd też nie do końca jest wiadomym, czy były to sekcje ciał ludzkich czy zwierzęcych. Przyjmuje się, że jako pierwszy opisał nerw wzrokowy oraz trąbkę słuchową, zwaną później trąbką Eustachiusza (Bartolomeo Eustachi [? – 1574]). Ten ostatni dokonał jej ponownego odkrycia, nie znając prac Alkmeona. Wielki Krotończyk przyjmował także, że mózg jest siedzibą świadomości, uczuć i inteligencji. Urodzony na Sycylii wielki filozof i uczony Empedokles z Akragas (ok. 494 – ok. 434 p.n.e.) wierzył, że serce rozprawdza poprzez naczynia krwionośne substancję zwaną *pneumą*, będącą zarówno życiem, jak i duszą.

Terminu *anatomia* w takim znaczeniu, jak rozumiemy je dzisiaj, użył jako pierwszy Arystoteles (384–322 p.n.e.). Ów uczony mąż dokonywał sekcji zwierząt i obserwacje te ekstrapolował na człowieka. Wyniki swych dociekań zawarł w dziele *Περὶ Τῶν Ζῴων Ἱστορίαι*, (łac. *Historia Animalium* – Historia naturalna zwierząt). Jest on też twórcą embriologii tj. nauki zajmującej się rozwojem zarodkowym organizmów zwierzęcych. Stagiryta sprostował błędne twierdzenia innych anatomów, między innymi słynnego filozofa – cynika Diogenesa z Synopy (ok. 413 r. – ok. 323 r. p.n.e.), a dotyczące naczyń krwionośnych. Rozróżnił grubą, twardą i bardziej ścięgnistą strukturę aorty od cienkiej i błoniastej, żyły. Mylił jednak moczowody z odgałęzieniami aorty. Uważał także, że nerwy pochodzą z serca i łączą wszystkie kości posiadające stawy.

Żaden tekst o rudymentach medycyny nie może pominąć Hipokratesa (460–377 p.n.e.). Jako pierwszy w nauce greckiej pisał o anatomii człowieka. Znakomicie znał budowę kości. Opisał szwy czaszkowe. Niestety popełnił wiele pomyłek. I tak, nazywał mózg gruczołem, z którego wydziela się lepki płyn. Wydaje się, że nie zdawał sobie sprawy z istnienia



Arystoteles – rzeźba Lizypa, Luwr

ośrodkowego układu nerwowego. Używał terminu „nerw” na określenie ścięgna. Uważał, że tętnice są wypełnione powietrzem (w czasie sekcji ludzi i zwierząt były one puste). Nerki według jego teorii były gruczołami, posiadającymi zdolność oddzielania wilgoci z napojów i kierowania jej do pęcherza.

Z czasem ośrodek myśli medycznej przeniósł się do założonej w 332 r. p.n.e. Aleksandrii. Rządzący nią po śmierci Aleksandra Wielkiego (356–323 r. p.n.e.) Ptolemeusze postanowili uczynić z niej ośrodek nauki i kultury promieniujący na cały ówczesny świat. Dotyczyło to też medycyny, a w niej anatomii. Działo tu dwóch wybitnych przedstawicieli tej nauki. Herofilos z Chalcedonu (ok. 335–280 r. p.n.e.) oraz jego uczeń Erasistratos z Keos (304 –257 r. p.n.e.). Herofilos zwany jest ojcem anatomii. To on przepro-



*Magni Hippocratis medicorum omnium facile principis, opera omnia quae extant, 1657 r.*

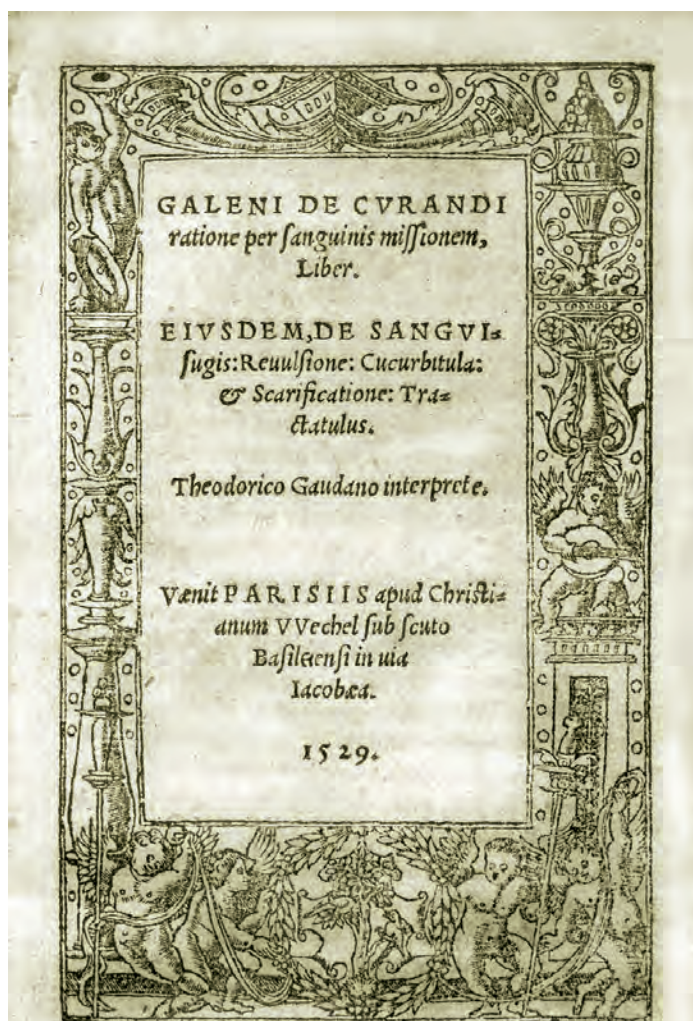
wadził pierwszą udokumentowaną sekcję zwłok człowieka (łącznie dokonał około 600 autopsji). Materiałem badawczym uczonego były zwłoki przestępców skazanych na śmierć. Najprawdopodobniej wykonywał także wiwisekcje, czyli otwieranie jam ciała żywych ludzi. Była to, zdaniem niektórych historyków, forma kary stosowana w Egipcie Ptolemejskim. Opisał, w obrębie głowy, opony i komory mózgowe oraz zatoki żyłne z ich spływem w pobliżu guzowatości potylicznej wewnętrznej. Zrozumiał pochodzenie nerwów (podzielił je na ruchowe i czuciowe) a także odróżnił je jednoznacznie od ścięgien, z którymi były mylone. Badał oko, wątrobę, macicę, najądrza i wiele innych struktur. Przypisuje mu się nazwę „dwunastnica”. Według niego miała ona długość odpowiadającą szerokości dwunastu palców (łac. *intestinum duodenum digitorum*). Był też, rzec by można, fizjologiem. Wiedział, że uszkodzenie nerwów ruchowych prowadzi do paraliżu.

Twierdził także, że puls nie jest wynikiem tajemniczej siły w samych tętnicach, ale że jest on wynikiem pracy serca. Jako ośrodek świadomości, inteligencji i emocji, którą Arystoteles lokalizował w sercu, traktował mózg. Jego uczeń Erasistratos nauczał w szkole założonej przez mistrza, choć ponoć nie pałali do siebie sympatią. Serce traktował jako pompę i opisał jego przedsionki i zastawki. Wspominał w swych pracach o naczyniach krwionośnych w tym aorcie, tętnicach i żyłach płucnych, wątrobowych i nerkowych. Odróżnił również mózg od mózdzku. Znała mu była funkcja tchawicy. Niestety ośrodek aleksandryjski wskutek ekspansji Cesarstwa Rzymskiego, a zwłaszcza wojen dynastycznych z udziałem Gajusza Juliusza Cezara (100/102–44 p.n.e.), Marka Antoniusza (83–30 p.n.e.) oraz Kleopatry VII Filopator (69–30 p.n.e.) podupadł. Podczas tych działań spłonęła znaczna część zbiorów słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej. Centra naukowe skupiły się w Wiecznym Mieście. Sekcje zwłok ludzkich były jednak tam zakazane. W niektórych szkołach medycznych uznano je za zbędne w kształceniu lekarzy, choć nie we wszystkich, o czym niżej. Bez wątpienia najwybitniejszym lekarzem i zarazem anatomem rzymskim był urodzony w Pergamonie Galen (Claudius Galenus [129/130–200/216]). Lekarz nadworny kilku cesarzy m.in. Marka Aureliusza (121–180). Napisał ponad 130 traktatów medycznych, z których 80 przetrwało do dziś. Te klasyczne dzieła stały się niekwestionowanym skarbem wiedzy medycznej i anatomicznej przez ponad tysiąc lat po jego śmierci. Jako lekarz gladiatorów z Pergamonu widział wiele przypadków, zwłaszcza dotyczących urazów czy otwartych ran klatki piersiowej i brzucha. Jego anatomia człowieka zawierała setki błędów z powodu oparcia jej na sekcjach zwierząt. Najprawdopodobniej obiektem autopsji były makaki. Twierdził, że najbardziej odpowiednimi zwierzętami do sekcji były te „z okrągłą twarzą”, zakładając w ten sposób bliskie podobieństwo ich układu nerwowego z tożsamym u człowieka. Większość badań centralnego układu nerwowego wykonywał na mózgach wołowych, które po prostu kupował od rzeźnika. Do wiwisekcji wykorzystywał świnię i kozy, aby uniknąć grozy widoku mały rozcinanej żywcem. Nie jest do końca jasne, czy dokonywał autopsji u ludzi.

Jego zasługi dla poznania anatomii są olbrzymie. Dość powiedzieć, że teorie, które głosił, zarówno prawdziwe, jak i te błędne, przetrwały 1500 lat. Autorytet Galena był tak wielki, że próby zaprzeczania czemukolwiek, co powiedział, uważano za herezję.

Wykazał, że oprócz przepony, w oddychaniu biorą udział również inne mięśnie. Pozostawił szczegółowy opis pochodzenia i przebiegu nerwu przeponowego, a odkrycie nerwu krtańowego wstecznego pozwoliło mu zrozumieć proces wytwarzania głosu przez krtań. Udowodnił, że zarówno tętnice, jak i żyły transportują krew. Rozróżniał oponę twardą i miękkie mózgu, szyszynkę i przysadkę mózgową. Opisał 7 z 12 par nerwów czaszkowych. Usystematyzował wady postawy i wprowadził terminy takie jak skolioza, kifoza i lordoza. Niestety nie rozumiał zasad krążenia i udziału płuc w utlenowaniu krwi. Zajmował się także farmakologią. Dokonał podziału substancji na maści, kremy, papki i płyny, co miało wpływ na rozwój kosmetyki. Do dziś istnieje pojęcie „preparaty galenowe”, czyli leki sporządzane w aptekach, tradycyjnie z surowców roślinnych, zwierzęcych i/lub mineralnych, według przepisów farmakopealnych lub receptariuszowych. Dawniej termin ten obejmował wszystkie farmaceutyki wytwarzane w aptece. Po jego śmierci tempo badań anatomicznych i fizjologicznych spadło. Uznawano bowiem, że wszystko zostało odkryte. Koncepcje Rzymianina, zarówno trafne, jak i nietrafne, stały się kanonicznym fundamentem teoretycznym medycyny i chirurgii na 15 wieków. Wraz z upadkiem Cesarstwa Rzymskiego ośrodki nauki i kultury pojawiły się w świecie islamskim. Naukowcy skupili się w Bagdadzie i innych arabskich metropoliach. Należy tu wymienić wielkich anatomów tego obszaru kulturowego, takich jak Abu Bakr Muhammad ibn Zakarija ar-Razi (Rhazes [865–925]). Był autorem 9-tomowego dzieła *Al-Kitab al-hawi* (*Wszelstronna księga o medycynie*) będącego kompendium ówczesnego stanu wiedzy w tej materii. Badał anatomię układu nerwowego. Abu Ali Hasan Ibn al-Hajsam (965–1038) był fizykiem i matematykiem. Jego prace (także anatomiczne) stały się podstawą optyki. Ibn Al-Nafis (1210–1288), zrozumiał istotę krążenia płucnego, wyjaśniając to, czego nie pojmował Galen. Jego prace nie dotarły do Europy, a ponowne odkrycie krążenia płucnego dokonał Miguel Servet (1511–1553). Pisałem o tym w rozdziale *Nadciśnienie wrotne w Szczęsnego wykładach z medycyny*.

W wiekach średnich istniały jednak w Europie ogniska nauki. Na początku drugiego milenium powstała przesławna szkoła medyczna w Salerno (Schola Medica Salernitana). Pierwszy uniwersytet w Bolonii założono dwa wieki później. Miał on także wydział medyczny. Sekcje zwłok wykonywano prawdopodobnie ze względów prawnych (jakby początki



Galen – *De curandi ratione*

medycyny sądowej), jednak z czasem stały się one sposobem nabywania wiedzy. Najbardziej znanym anatomem w owym czasie był Thaddeus Alderoti (ok. 1206–1295). Jego uczeń Mondino de' Luzzi, (Mundinus [ok. 1270 – ok. 1326]), zwany „odnowicielem anatomii”, wydał dzieło *Anathomia Mundini*, pierwszy od czasów starożytnych całkowicie poświęcony anatomii, opartej na wynikach sekcji zwłok ludzkich. Doczekało się 39 wydań, a rola, jaką odegrało w propagowaniu wiedzy anatomicznej, okazała się bardzo znacząca. Podręcznik powszechnie wykorzystywano przez co najmniej dwa kolejne stulecia, aż do czasów flamandzkiego anatoma Andreasa Vesaliusa (1514–1564). Renesans przyniósł ponowne zainteresowanie kulturą klasyczną, w której ciało odgrywało niebagatelną rolę. Stąd też wielu artyści tego okresu, malarze czy rzeźbiarze badali jego budowę i proporcje. Przykładem niech będzie słynny *Człowiek witruwiański* Leonarda da Vinci (1452–1519).



Wesaliusz

Podobne zainteresowania wykazywali inni giganci sztuki tego czasu: Michał Anioł (Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni [1475–1564]), Donatello (Donato di Niccolò di Betto Bardi [ok. 1386–1466]); Rafael (Raffaello Sanzio [1483–1520]) i inni. Obserwowali oni, a być może i sami wykonywali sekcje zwłok, czego wyrazem są szkice anatomiczne Leonarda i genialne oddanie obrazu ciała ludzkiego w ich dziełach. Byli też słynni anatomowie. Niemiec Johannes de Ketham (1415?–1470?) autor monumentalnego dzieła *Fasciculus Medicinæ* oraz Włoch Giacomo Berengario da Carpi (ok. 1460–1530). Ten ostatni w swym anatomicznym opus magnum *Commentaria cum amplissimis additionibus super anatomia Mundini cum textu eiusdem in pristinum et verum nitorem redacto*, polemizował już z Galenem. Parafrazując naszego wieszacza, można by rzec: „Było anatomów wielu, ależ żaden nie śmiał zrobić sekcji przy Andrzeju”. Wspomniałem, że anatomie Galena traktowano jako prawdę objawioną i niezmienną. W średniowieczu wbrew powszechnej opinii wykonywano sekcję zwłok. Takie autopsje przeprowa-

dzane były bez przeszkód w celach poznawczych i edukacyjnych w wielu europejskich uniwersytetach i ośrodkach naukowych, m.in. na uniwersytetach w Bolonii i Paryżu czy szkole medycznej w Salerno. Co więcej, wspomniane uniwersytety miały obowiązek przeprowadzania sekcji zwłok w ramach nauki anatomii, tak jak obowiązkiem studentów medycyny było uczestniczyć w tych zajęciach. Historia wspomina m.in. o publicznej sekcji zwłok przeprowadzonej przez bolońskiego lekarza i anatoma, wspomnianego Mondina de Luzzi. Nauka polegała na sprawdzaniu zgodności obrazu sekcyjnego z tym, co napisał kilkaset lat temu Galen. I właśnie podczas takich zajęć młody brukselczyk zauważył, że nie wszystko się zgadza. Andreas Vesalius urodził się w rodzinie o tradycjach medycznych (jego ojciec był aptekarzem cesarza Karola V [1500–1558]). Studował w latach 1529–1533 na uniwersytecie w Leuven (Belgia), a następnie, między 1533 r. a 1536 r., w Paryżu. Ostatnim etapem jego studiów była nauka na uniwersytecie w Padwie, gdzie w 1537 r. otrzymał stopień doktora medycyny. Zaraz też został zatrudniony jako wykładowca chirurgii, odpowiedzialny za pokazy anatomii. W 1543 r. w mieszczącej się w Bazylei drukarni Johanna Oporinusa (1507–1558) opublikował siedmioczęściowe dzieło *De humani corporis fabrica libri septem* i zadedykował je Karolowi V. Było to podsumowanie kilkuset sekcji zwłok, które wykonał samodzielnie. Prócz zawartości opisowej, znalazło się w nim trzysta ilustracji (drzeworyty) wykonane przez ucznia Tycjana (ok. 1488/1490–1576), Jana van Calcara (ok. 1499 – ok. 1546). Do dziś zachwycają zarówno kunsztem artystycznym, jak i szczegółowością. W owej pracy poprawił ponad dwieście błędów Galena i udowodnił, że nie wykonał on żadnej sekcji ludzkich zwłok. Przykładowo wykazał, że żuchwa to jedna kość nie zaś, jak sugerował słynny Rzymianin, dwie. Poza tym nie znalazł sugerowanych przez Galena otworów w sercu, które miały wyjaśniać ówczesnie pojmowane zasady krążenia (więcej o tym w rozdziale *Nadciśnienie wrotne w Szczęsnego wykładach z medycyny*). Wystąpienie przeciw starożytnemu autorytetowi spotkało się z krytyką wielu współczesnych mu uczonych, między innymi jego mentora Jacques’a Dubois (1478–1555), zwanego też Jakobusem Sylviusem. Zniechęcony Vesalius ponoć spalił swoje rękopisy i przeniósł się do Brukseli, obejmując stanowisko lekarza nadwornego Karola V. W 1559 r. roku przeniósł się do Madrytu na dwór Filipa II (1527–1598). I tu zaczyna się nie do końca poznana historia końca jego życia.

W 1564 r. udał się z pielgrzymką do Ziemi Świętej. Przyczyny tej podróży, jak i okoliczności śmierci na greckiej (wówczas weneckiej) wyspie Zakynthos nie są do końca jasne. Jedna z wersji głosi, że w Madrycie przeprowadził publiczną sekcję zwłok, w czasie której okazało się, że serce uznanego za zmarłego nadal bije. Inkwizycja oskarżyła anatoma o morderstwo, a trybunał skazał go na śmierć. Król Filip II zamienił jednak tę karę na pielgrzymkę do Jerozolimy. W drodze powrotnej statek, którym płynął uczony, rozbił się u brzegów wspomnianej wyspy, a on sam umarł w wyniku odniesionych obrażeń. Istnieje też wersja, że miał objawy nieznannej choroby, a przerażeni widmem zarazy marynarze porzucili go tam.

Jakkolwiek by było, pochowany w nieznanym miejscu geniusz anatomii, otworzył nowy rozdział tej nauki. Praca wielkiego brukselczyka stała się inspiracją dla następnych pokoleń anatomów. Coraz doskonalsze metody sekcji i przechowywania zwłok ludzkich pozwalały na przeprowadzanie badań w dowolnym czasie od zgonu. W 1869 r. rosyjski chemik Aleksandr Michajłowicz Butlerow (1828–1886) odkrył aldehyd mrówkowy, czyli formalinę. Do dziś to najpowszechniejszy preparat utrwalający tkanki. Po wynalezieniu mikroskopu przez Antona van Leeuwenhoek (1632–1723), anatomia zeszyła na poziom tkanek i komórek. Te ostatnie odkrył i opisał Robert Hooke (1635–1703). Robert Brown (1773–1858) odkrył w nich obecność jąder. W 1989 r. Matthias Jacob Schleiden (1804–1881) i Theodor Schwann (1881–1882) zaproponowali teorię komórkowej budowy organizmów żywych (roślinnych i zwierzęcych).

Nie sposób wymienić dziesiątek, jeśli nie setek anatomów, którzy poznawali budowę ciała człowieka. Ich nazwiska pobrzmiwają dziś w eponimicznych nazwach elementów, które odkryli. Johann Georg Wirsung (1589–1643) [przewód trzustkowy], Johann Friedrich Meckel Młodszy (1781–1833) [uchyłek jelita cienkiego], Gaspard Bauhin (1560–1624) [zastawka krętniczno-kątnicza], Václav Treitz (1819–1872) [mięsień wieszadłowy dwunastnicy], Theodor Kerckring (1638–1693) [fałdy jelitowe], Antonio Scarpa (1752–1832) [powięź podskórna] *et caetera*. To dzięki nim lekarze, a zwłaszcza chi-



rurdzy, poruszają się swobodnie w ciele człowieka. Na salach operacyjnych można usłyszeć: „zaczniemy od Trietza”, „uważaj na Wirsunga”, „o popatrz Meckel”.

Pomału anatomii uczy się sztuczna inteligencja. Za kilka lat zespolona z robotami pokaże nam, gdzie ciąć, na co uważać. Ale nie byłoby tego, gdyby tysiące lat temu nasi antenaci nie dumali nad dziwnymi strukturami ciała ludzkiego. Gdyby nie zastanawiali się, jak działają płuca, skąd pochodzi krew i wreszcie gdzie mieści się geniusz człowieka, który nakazał starożytnym Grekom „γνώθι σεαυτόν (gnōthi seauton), czyli „poznaj samego siebie”.



*Dr hab. Wojciech Szczęsny, prof. UMK – Wydział Lekarski Collegium Medicum UMK*

# Wielogłos o istnieniu



**Biblioteka Uniwersytecka i Wydawnictwo Naukowe UMK zorganizowały niedawno (21 kwietnia) spotkanie autorskie z prof. Janem Kopcewiczem, prof. Markiem Szulakiewiczem i ks. prof. Piotrem Roszakiem.**

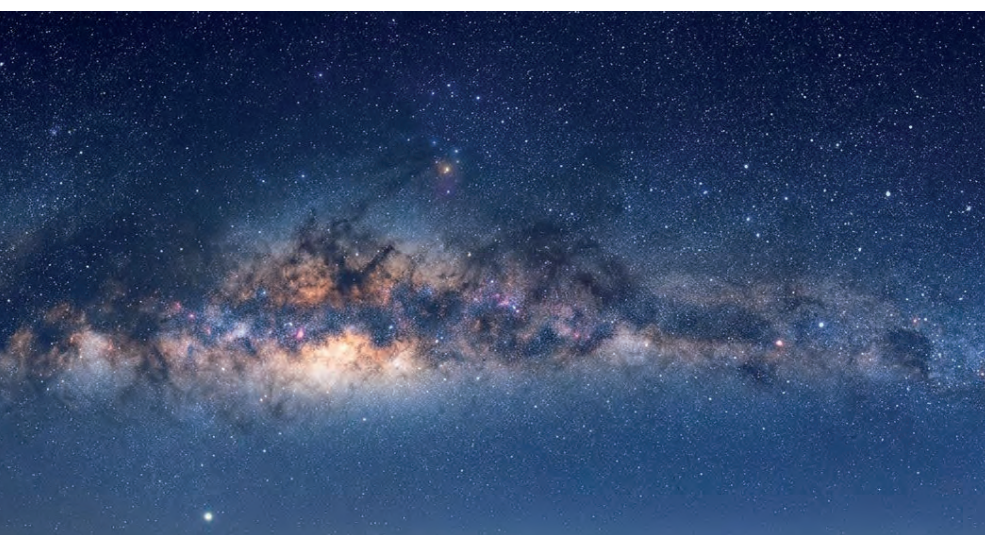
Dotyczyło ono książki *Portrety życia. Życie jako problem biologiczny, filozoficzny i religijny* i miało formę dyskusji poprowadzonej przez red. Adama Willmę. Zastanawiano się wspólnie m.in. nie tylko nad tym, czym jest życie, lecz także – co życie daje, jakie są jego konsekwencje i dokąd zaprowadzi ono naszą planetę.

Spotkanie odbywało się w Bibliotece Głównej UMK, na obszarze wolnego dostępu do książek z różnych dziedzin wiedzy, co jeszcze bardzo skłaniało do refleksji i poszukiwań odpowiedzi na pytania o fenomen życia. Wypowiedzi autorów i prowadzącego były na tyle inspirujące, że wywołały komentarze publiczności zarówno podczas wydarzenia, jak i po jego zakończeniu.

*Tekst i zdjęcie: Marcin Lutomierski*

Jan Kopcewicz

# Kosmologiczne problemy życia



Skupiska gwiazdne  
wielkie przestrzenie  
promieniowania  
echa dawnych spraw  
to ona właśnie  
mleczna galaktyka  
gwiazdny szlak  
mleczna droga  
jasna smuga gwiazd  
czerwonych olbrzymów  
białych karłów  
obumarłych mas  
miliardy lat trwa  
stworzyła  
nas

Jednym z ważnych pytań w kosmologii jest kwestia występowania życia we Wszechświecie. Biorąc pod uwagę nieprawdopodobny ogrom Wszechświata z niezliczoną ilością galaktyk, gwiazd, planet i księżyców, chętnie poddajemy się sugestii, że życie jest częstym fenomenem kosmicznym. Nie mamy jednak dotąd żadnego dowodu, że tak jest naprawdę.

Pytanie o to, czy życie na Ziemi jest unikatowym fenomenem czy zjawiskiem powszechnie występującym we Wszechświecie, jest z punktu widzenia nauki, filozofii i religii jednym z fundamentalnych pytań naszych czasów.

Wielkim osiągnięciem ewolucyjnym życia na Ziemi było pojawienie się homininów (ludzi). Homo sapiens osiągnął wysoki stopień rozwoju mózgu, co spowodowało powstanie świadomości i umysłu. Osiągnięcie tak wysokiego stopnia rozwoju jest niewątpliwie zjawiskiem szczególnym. Powstaje zatem dodatkowe pytanie, czy jest to zjawisko całkowicie unikatowe czy też w olbrzymim Wszechświecie istoty świadome się jednak pojawiają?

Historia życia na Ziemi to przekaz o wzrastającej złożoności, od jednokomórkowców po organi-

zmy wielokomórkowe i cywilizację technologiczną. Ale czy życie zawsze ewoluuje w kierunku istot świadomych? Czy ewolucja jest inteligentnym projektem czy serią ślepych przypadków? Tego ostatecznie nie wiemy.

Na planecie niezbyt odbiegającej od Ziemi pojawienie się chemicznych molekuł związków organicznych w rodzaju aminokwasów, polisacharydów, lipidów, związków proteinowych i nukleinowych jest niewątpliwie możliwe. Przejście od monomerów do polimerów także nie jest trudnością nie do pokonania. Jednak dalsza droga prowadząca do wytworzenia się funkcjonujących żywych komórek, jest już niezmiernie skomplikowana i wysoce problematyczna. To stało się na Ziemi, więc jest możliwe, nie znamy jednak mechanizmu, który to spowodował. Prawdopodobnie na wielu planetach istnieją makromolekuły chemiczne, ale to nie oznacza, że istnieje tam także życie. Możliwość powstania życia nie oznacza automatycznej konieczności jego wytworzenia.

Nasza galaktyka – Droga Mleczna – jest jedną z bilionów galaktyk we Wszechświecie. Każda przeciętna galaktyka zawiera kilkaset miliardów gwiazd, a wokół wielu z nich krążą planety, także podobne

do Ziemi. Istnieje zatem teoretyczna możliwość, że na niektórych z nich funkcjonuje życie. Poszukiwanie ziemopodobnych planet trwa już kilkadziesiąt lat i niejednokrotnie zakończyło się pozornym sukcesem. Nie oznacza to jednak, że te egzoplanety są z Ziemią identyczne. Biorąc pod uwagę kluczowe dla życia pierwiastki chemiczne, geologię, chemię, historię przemian i uwarunkowań kosmicznych, szanse na znalezienie dokładnie „drugiej” Ziemi, wydają się znikome. Wykluczyć jednocześnie nie można, że właśnie te „szczególne” parametry Ziemi spowodowały pojawienie się na niej życia. Jest także pewne, że historia życia na Ziemi zależała w znacznym stopniu od właściwości i szczególnego charakteru naszej planety.

Co nie mniej jednak, jeśli na niektórych egzoplanetach życie w postaci jednokomórkowej powstało, to czy tworzy ono organizmy o budowie wielokomórkowej – hierarchicznej? Na Ziemi życie jednokomórkowe – prokariotyczne trwało bardzo długo, bo ponad dwa miliardy lat. Dalszemu rozwojowi życia przysłużył się dopiero, być może przypadek, ponieważ doszło do symbiotycznego połączenia się komórek bakteryjnych z komórkami archeonów. Dwa miliardy lat życie poszukiwało tego rozwiązania. W końcu znalazło i powstały nowe komórki eukariotyczne, które, przełamując barierę energetyczną, zaczęły tworzyć organizmy wielokomórkowe. Świadczy to o tym, że powstanie organizmów wielokomórkowych, jest bardzo trudno osiągalne, może wręcz przypadkowe.

Bardzo trudno jest przyjąć, że w warunkach innych planet niż Ziemia, ewolucja życia przebiega podobnie. Gdyby tak było, to byłaby to ewolucja kierunkowa, także nasza ziemską, co nie byłoby zgodne z założeniami ewolucji darwinowskiej.

Jednak, jeśli życie podobne do ziemskiego w innych lokalizacjach kosmicznych rzeczywiście istnieje, to tam, gdzie komórki uzyskują zdolność tworzenia organizmów wielokomórkowych, proces rozwojowy może być w ogólnym zarysie zbliżony do ziemskiego. Tam natomiast, gdzie komórki nie wchodzi w procesy ewolucyjne, być może tworzą całkiem inne, nieznanne formy życia. Miliardy komórek powiązane jakimiś układami symbiotycznymi może

tworzą wyższe struktury życiowe. Przecież np. mózg to miliardy wyspecjalizowanych komórek w funkcjonalny sposób ze sobą połączonych.

Jeśli życie typu ziemskiego (biochemiczno-biofizyczno-informatyczne) gdzieś we Wszechświecie istnieje, to mechanizmy rozwojowe (molekularne, ewolucyjne), pomimo niewątpliwych różnic, mogą być podobne. Organizmy jednak podlegają daleko idącej zmienności pod wpływem zarówno czynników genetycznych jak i środowiskowych. Przebieg ewolucji nigdy nie będzie identyczny. Zatem powstające organizmy i biosfery mogą się istotnie różnić.

Podsumowując – byłoby niewątpliwie bardzo dziwne, gdyby w olbrzymim Wszechświecie życie istniało tylko na Ziemi. Nie ma jednak dotąd żadnych dowodów, że jest inaczej. Szeroko sugerowane koncepcje, zwłaszcza odnośnie do istnienia świadomego życia kosmicznego, są wytworem fantazji i mają wyłącznie walory literackie. Nie jest wykluczone jednak, że proste życie jednokomórkowe we Wszechświecie występuje. Życie wielokomórkowe, na wyższym stopniu rozwoju, jeśli istnieje, jest prawdopodobnie mniej powszechne. Życie świadome natomiast może być całkowicie unikatowe i fakt, że istnieje na planecie Ziemia, stanowi, mimo zasady kopernikańskiej, o wyjątkowości naszego miejsca we Wszechświecie. Choć Ziemia obraca się wokół skromnej żółtej gwiazdy na peryferiach pewnej spiralnej galaktyki, która jest jedną z setek miliardów galaktyk istniejących w widzialnym Wszechświecie, to jednak fakt obecności w tym miejscu świadomego życia jest wartością wyjątkową.

Dobrze byłoby, aby ludzkość zdała sobie sprawę z tego faktu i zaprzestała wielu bezsensownych działań, które grożą jej istnieniu. Życie na Ziemi jest wartością nadrzędną, która powinna być chroniona i zachowana. Jest wartością całego Wszechświata.



*Prof. dr hab. Jan Kopcewicz – emerytowany profesor biologii, były rektor UMK*

Anna Supruniuk

# Konsekwencje długiego życia

Pamięci Cecylii Iwaniszewskiej (1928–2026)

Trzeba by zajrzeć do *Almanachu gotajskiego*, czy czasem linia hrabiów Łubieńskich nie zakończyła się właśnie bez męskich potomków. 5 kwietnia 2026 roku, w Święto Zmartwychwstania Pańskiego, po długiej chorobie zmarła Cecylia Maria Iwaniszewska, urodzona 24 listopada 1928 r. w Warszawie, córka Henryka Mariana hrabiego Łubieńskiego herbu Pomian (z Łubnej) (1884–1981) oraz Zofii Stanisławy ze Slaskich z Trzebcza Szlacheckiego herbu Grzymała (1891–1956), siostry przedwojennego senatora Jana Stanisława Slaskiego zamordowanego w Katyniu, autorki wierszyków, opowiadań i powieści dla dzieci, a po wojnie korespondentki „*Ilustrowanego Kuriera Polskiego*” oraz nauczycielki języków obcych w toruńskich liceach: Ogrodniczym i Pedagogicznym.

Żyła dłużej niż Józef hrabia Czapski, którego honorujemy w tym roku i tylko kilka lat krócej od Karoliny z hrabiów Lanckorońskich na Brzeziu. Była

ostatnią z głównej hrabiowskiej gałęzi Łubieńskich herbu Pomian z Łubnej (tzw. linia feliksowska, później zwana też „bankiersko-przemysłową” lub „wiskitkowsko-guzowską”). Ród ten wywodzi się od Feliksa hrabiego Łubieńskiego z Guzowa (1758–1848), ministra sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, który w 1798 r. otrzymał od króla Prus Fryderyka Wilhelma III dziedziczny tytuł hrabiowski (potwierdzony później w Królestwie Polskim i Austrii) wcześniej Łubieńscy z Łubnej należeli do najznakomitszych rodzin Rzeczypospolitej – wydali prymasów, biskupów, ministrów, generałów i wybitnych przedsiębiorców.

Po wojnie, jesienią 1945 roku, opuściwszy zrujnowaną Warszawę, rodzina osiadła w Bydgoszczy, a później w Toruniu, a trzy córki rozpoczęły studia na UMK: Maria Helena – filologię francuską, Cecylia Maria – matematykę i astronomię, a najmłodsza – Magdalena Zofia – geologię, którą z powodu przeniesienia kierunku ukończyła w Warszawie.



Fot. Andrzej Romański

Cecylia Iwaniszewska wspominała, że po raz pierwszy przekroczyła mury uczelni, mieszczącej się wówczas w Domu Studenckim nr 1, w październiku 1945 roku, aby sprawdzić warunki studiowania na nowo utworzonym Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Była wówczas uczennicą Miejskiego Liceum i Gimnazjum Męskiego im. Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy (obecnie II Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika) i przygotowywała się do egzaminu maturalnego, który zdała 6 listopada. Miała niespełna siedemnaście lat i by studiować musiała uzyskać zgodę kuratorium. 5 stycznia 1946 roku została immatrykulowana podczas pierwszej inauguracji roku akademickiego na toruńskiej uczelni, w trakcie której śpiewała w Chórze Akademickim *Gaude Mater*. Studiowała matematykę, z czasem jej zainteresowania naukowe – być może pod wpływem prof. Wilhelminy Iwanowskiej – ukierunkowane zostały na astronomię, której poświęciła dalszą działalność naukową i zawodową. Na trzecim roku studiów rozpoczęła pracę w Katedrze Astrofizyki UMK jako zastępca asystenta. Zajmowała się astrofizyką i astronomią gwiazdową, później także historią astronomii i kultury oraz dydaktyką tej dziedziny. Uczestniczyła w powstawaniu Obserwatorium Astronomicznego w Piwnicach i instalacji pierwszego teleskopu – astrografu Drapera. W trakcie studiów aktywnie działała w duszpaster-

stwie akademickim utworzonym przy kościele jezuitów pw. Ducha Świętego w Toruniu oraz w Sodalizacji Mariańskiej Akademiczek i Caritas Academica. W 1950 roku – jako pierwsza absolwentka tego kierunku – uzyskała dyplom magistra filozofii w zakresie astronomii. Jej praca magisterska z astrofizyki była wydrukowana w „Biuletynie Obserwatorium Astronomicznego UMK w Toruniu” (nr 9).

Była spełnionym dydaktykiem – wymagającym, sprawiedliwym, zawsze doskonale przygotowanym i niezwykle życzliwym dla studentów. Przez dekady kształciła kolejne pokolenia astronomów, fizyków, biologów i geografów. Umiała tłumaczyć rzeczy trudne w sposób prosty i zrozumiały, a jednocześnie dostrzegała w młodych ludziach coś więcej niż tylko słuchaczy – traktowała ich poważnie, z szacunkiem i uważnością. Przez wiele lat prowadziła zajęcia dla studentów różnych kierunków, wiążąc się z Uniwersytetem na dobre i na złe.

Doskonała pamięć sprawiła, że już na emeryturze (od 1989 roku) stała się jedną z najważniejszych strażniczek pamięci o początkach toruńskiej *Almae Matris*. Była świadkiem i uczestniczką ważnych momentów w dziejach uniwersytetu – należała do grona osób obecnych przy jego narodzinach i przez kolejne dekady zachowała wyjątkowe przywiązanie do jego historii, pisząc i publikując dziesiątki drobnych przyczynków o ludziach i miejscach, z którymi



Fot. Andrzej Romański

była związana przez niemal 80 lat. Uehonorowaniem jej wieloletniej działalności oraz wyrazem uznania było przyznanie jej w lutym 2026 roku szczególnego wyróżnienia Uniwersytetu – *Convallaria Copernicana* (Konwalia Kopernikańska), nadanego przez Senat UMK za wybitny wkład do nauki lub szczególne zasługi dla rozwoju Uniwersytetu. Co istotne, nazwę wyróżnienia, ustanowionego przez Senat UMK 28 stycznia 2003 roku, zaproponowała właśnie Cecylia Iwaniszewska. Ze względu na jej chorobę wyróżnienie w jej imieniu odebrał syn – Jan.

Drobna, krucha, niemal onieśmielona swoją „narzucającą” się osobą, ciepła, empatyczna i serdeczna, przychodziła do Archiwum Uniwersyteckiego „od zawsze”, pamiętając jego początki w 1948 roku. Archiwum było „uzupełnieniem” pamięci, i kiedy w połowie lat 70. XX wieku, Instytut Astronomii trafił do budynku opróżnionego przez zbiory biblioteczne przy ul. Chopina 12/18 (ob. Wydział Matematyki i Informatyki), w którym pomieszczono też Archiwum, relacja ta przerodziła się w wieloletnią, bliską współpracę i trwała nieprzerwanie aż do jej śmierci. Zmiany lokalizacji pomieszczeń i magazynów archiwalnych nie osłabiły tej przyjaźni i zdawało się, że żadna uroczystość akademicka dotycząca przeszłości nie miała prawa odbywać się bez udziału Cecylii Iwaniszewskiej. Była dowodem na istnienie Uniwersytetu w miejscu i czasie, i żywym jej pomnikiem tradycji.

Ocaliła jeden z najcenniejszych artefaktów historii wileńskich korzeni UMK: togę prof. Władysława Dziewulskiego, która najpierw trafiła do Archiwum UMK z całą jego spuścizną, którą przez wiele lat przechowywała w przeszklonej szafie w swoim pokoju, a obecnie znajduje się w Sali Rektorów Muzeum Uniwersyteckiego w budynku Collegium Maximum. Skromność nakazywała jej opóźnić przekazanie własnych dokumentów do Archiwum, lecz kiedy to zrobiła, okazało się jak cenne to materiały dla opisanego dziejów pierwszych lat Uniwersytetu, zwłaszcza osób współtworzących Obserwatorium Astronomiczne w Piwnicach. Archiwalia przygotowała do oddania ze skrupulatnością i akrybią, opisując każde wydarzenie, podpisując zdjęcia. Już nie tylko Uniwersytet, ale też działalność w Towarzystwie Naukowym w Toruniu, Towarzystwie Miłośników Torunia, Klubie Inteligencji Katolickiej, Stowarzyszeniu Absolwentów oraz materiały dotyczące Wandy Szuman. Ostatnią część swojej spuścizny przekazała w sierpniu 2024 roku.

Na koniec przychodziła do Archiwum nie tylko jako darczyńca, lecz także jako badaczka własnej



Fot. Archiwum UMK

spuścizny. Sięgała do teczek, odnajdując nazwiska, daty i fotografie, często pracując w naszej pracowni nad notatkami sprzed lat. W ostatnim okresie chętnie korzystała również ze zdigitalizowanych zasobów Archiwum, co szczególnie doceniała podczas współpracy z Kołem Naukowym Studentów Astronomii przy udostępnianiu archiwalnych fotografii z Obserwatorium.

Poznałam ją późno, bo dopiero w końcu 2011 roku, gdy rozpoczęła się moja przygoda z Archiwum UMK. „Mów mi Cesia” – powiedziała przy pierwszym spotkaniu i ta bezpośredniość, życzliwość, dobroć i ciepło dawały poczucie obcowania z kimś wyjątkowym. Nasze częste, spotkania wykraczały poza rozmowy o faktach i wspomnieniach; pozostawiały wrażenie obcowania z kimś niezwykle bliskim i serdecznym w codziennym kontakcie. Kiedy zachorowałam i czekała mnie operacja, Cesia przyniosła obrazek ze św. Anną, patronką nauki. „Będzie Ciebie strzegła” – powiedziała.

Długie życie pozwoliło jej być w roku 2026 ostatnią żyjącą studentką pierwszego rocznika toruńskiej uczelni. Mam nadzieję, że czekała na nią św. Cecylia, patronka muzyków, śpiewaków, organistów, chórów, lutników oraz muzyki kościelnej.

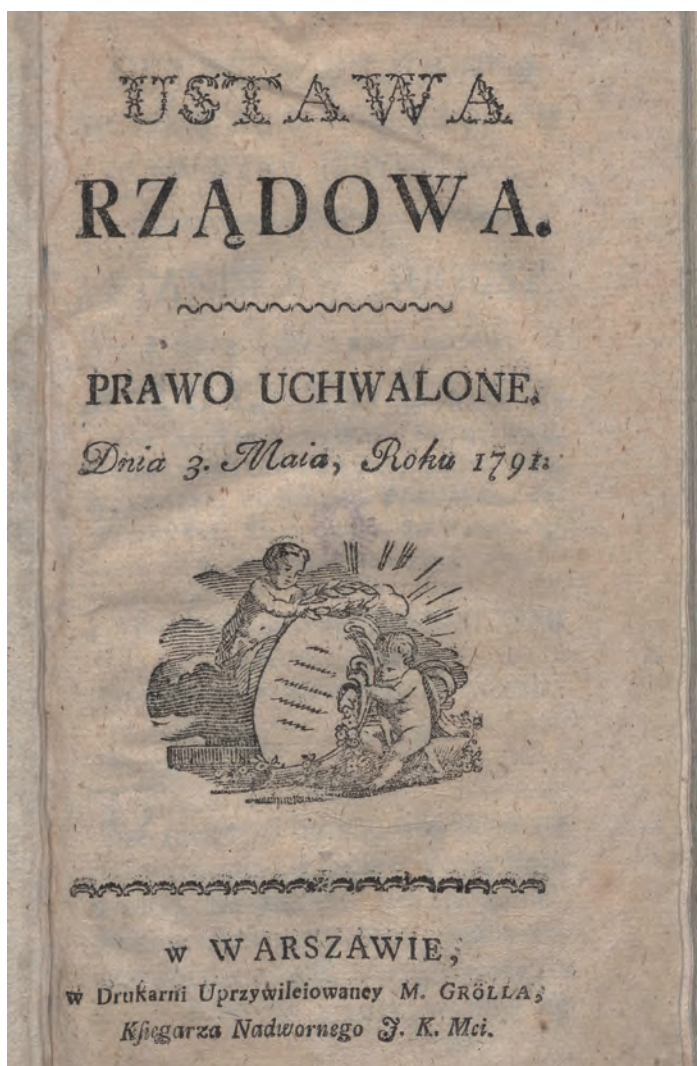
*Dr hab. Anna Supruniuk – Dyrektor Archiwum UMK*

Bartosz Rakoczy

# Po co państwu konstytucja?

Niedawno obchodzone Święto Narodowe związane z uchwaleniem Konstytucji Trzeciego Maja i zbiegające się z tym świętem powołanie przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Karola Nawrockiego Zespołu do Rady Nowej Konstytucji skłaniają do refleksji, czy we współczesnym państwie taki akt pełni jeszcze swoją rolę.

Konstytucja jako akt prawny we współczesnym tego słowa znaczeniu jest stosunkowo młodym źródłem prawa. Powszechnie wiąże się ją z osiągnięciami prawnoustrojowymi i w zakresie ochrony praw człowieka czasu Oświecenia. Stanowi ona w swoim założeniu fundament systemu prawnego oraz orga-



nizacyjnego państwa. Jest gwarantem przyjętego modelu ustrojowego. Reguluje podstawę zasady funkcjonowania państwa, a także relacje między państwem a obywatelami i innymi podmiotami.

Samo pojęcie konstytucji jako rodzaju aktu prawnego sięga czasów prawa rzymskiego. Wszak i cesarze rzymscy wydawali takie akty prawne jak konstytucje. Choć nazewnictwo jest zbliżone, to jednak funkcja tych aktów była zupełnie inna. Tę krótką refleksję dotyczącą konstytucji warto poprzedzić wprowadzonym w doktrynie prawa konstytucyjnego podziałem konstytucji w ujęciu materialnym i w ujęciu formalnym. Konstytucja w ujęciu formalnym jest rodzajem aktu prawnego o takim z reguły tytule, ewentualnie o innym tytule, ale o podobnej pozycji w hierarchii źródeł prawa. Natomiast konstytucja w znaczeniu materialnoprawnym oznacza akt prawny lub akty prawne, regulujące wyżej wskazane pryncypialne kwestie funkcjonowania państwa, jego ustroju, sytuacji prawnej jednostki itp.

Konstytucja zarówno w ujęciu formalnym, jak i materialnym ściśle powiązana jest z koncepcją państwa prawnego. Mocno upraszczając: państwo prawne to takie państwo, którego organy działają wyłącznie w granicach i wyłącznie na podstawie przepisów prawa. Przepisy te ułożone są według określonej hierarchii, przy czym, co istotne, konstytucja zarówno w znaczeniu formalnym, jak i materialnym, znajduje się na szczycie tej hierarchii. Tym

samym znaczenie i rola konstytucji w systemie prawa jest bardzo istotne.

W systemie prawa europejskiego pojawia się istotny problem, który dotyczy tego, czy prawo europejskie jest nadrzędne wobec norm konstytucyjnych czy też konstytucja pełni jednak nadrzędną rolę nad prawem europejskim. Nie rozwijając tego wątku bliżej, należy jednak zaznaczyć, że nie jest to wyłącznie problem teoretycznoprawny, gdyż wiąże się z rozstrzygnięciem coraz poważniejszych sporów aksjologicznych. Dotyczy on również nadrzędności prawa europejskiego nad całym prawodawstwem krajowym, w tym również i nad samą konstytucją.

Z zagadnieniem tym wiąże się bardzo istotny problem interpretacyjny, który określa się jako dokonywanie wykładni prawa w zgodzie z konstytucją. Ujmując ten problem jak najbardziej ogólnie, zakłada się, iż interpretator normy prawnej powinien w taki sposób interpretować tę normę, aby wynik tej interpretacji pozostawał w zgodzie z konstytucją. Niedopuszczalne są zatem wnioski interpretacyjne, będące w sprzeczności z konstytucją.

Charakterystyczną cechą konstytucji jako aktu prawnego jest to, że zawiera ona normy najbardziej generalne i abstrakcyjne. Formułowanie przez prawodawcę konstytucyjnego norm o charakterze najbardziej generalnym i abstrakcyjnym wynika

właśnie z roli, jaką konstytucja pełni w systemie prawnym. Nie jest to bowiem akt prawny, w którym należy szczegółowo regulować określone kwestie. Natomiast jest to bez wątpienia akt prawny, który należy regulować w sposób jak najbardziej ogólny.

Pozycja konstytucji w systemie prawnym, ale także i w systemie politycznym, gospodarczym i społecznym zakłada, że akt ten powinien zapewniać i gwarantować stabilność prawną, ustrojową, gospodarczą, a także społeczną. Stąd też zmiana konstytucji wymaga z reguły szczególnego trybu albo też kwalifikowanej większości głosów. Nie bez przyczyny po różnego rodzaju rewolucjach lub głębokich zmianach ustrojowo politycznych dochodziło do zmian konstytucyjnych czy nawet do uchwalania nowych konstytucji.

Ta rola konstytucji jest coraz bardziej dostrzegana i co istotne, doceniana. Dynamika zachodzących procesów politycznych, ekonomicznych, społecznych, wymaga szybkich reakcji prawodawcy. Te zaś czasami są bardzo głębokie, a nowe przepisy dosyć szybko wchodzą w życie. Dostrzegalna jest również hiperinflacja prawa i poddawanie pod regulację prawną praktycznie wszystkich obszarów funkcjonowania jednostki. Istnienie zatem trwałego i stabilnego aktu prawnego wyznaczającego fundamenty i principia funkcjonowania państwa jest wartością samą w sobie.



Analizując problematykę konstytucji w takiej formie popularnonaukowej jak prezentowana w niniejszym esej, nie sposób pominąć problematyki aksjologicznej. Obecnie aksjologia konstytucyjna zdaje się przyjmować pierwszoplanową rolę. Konstytucja jest bowiem najważniejszym aktem prawnym, w którym artykułuje się w sposób normatywny aksjologię funkcjonowania państwa i systemu prawnego. Zakładając konieczność dokonywania wykładni prawa w zgodzie z konstytucją, zakłada się również, że wnioski z takiej wykładni nie mogą stać w opozycji do wartości konstytucyjnie chronionych. Stabilność konstytucji gwarantuje również stabilność aksjologiczną, która dzisiaj jest bardzo istotna.

Rozmowy na temat zmiany, czy też uchwalenia nowej konstytucji winny być zatem poprzedzone głęboką refleksją na temat tego, na straży jakich wartości konstytucja powinna stać. Dopiero osiągnięcie konsensu aksjologicznego może otworzyć drogę do zmiany konstytucji, ewentualnie uchwalenia całkowicie nowej konstytucji. Potrzebna jest jednak przede wszystkim świadomość aksjologiczna.

W przyszłym roku będziemy obchodzić 30. rocznicę uchwalenia i wejścia w życie Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Konstytucja z 1997 roku powstawała w pewnej rzeczywistości aksjologicznej, która być może w mniejszym lub większym stopniu uległa zmianie. Co rusz powstające spory o sposób rozumienia i interpretacji konstytucji świadczą o głębokich zmianach aksjologicznych. To, co dla aksjologii konstytucyjnej z 1997 roku było oczywiste,

dla aksjologii 2026 roku już takie nie jest. Być może pewne wartości chronione w 1997 roku uległy dezaktualizacji. Pojawiły się za to nowe wartości, które domagają się dla siebie miejsca w konstytucji, jak chociażby kwestie nadawania podmiotowości prawnej elementom przyrody ożywionej i nieożywionej.

Reasumując: konstytucja potrzebna jest dla zachowania ustrojowej, politycznej, ekonomicznej, społecznej i aksjologicznej stabilności państwa i prawa. Nie oznacza to jednak, że raz objęte ochroną konstytucyjną wartości, zawsze i wszędzie będą taką ochroną obejmowane, jednak ewentualna zmiana czy też uchwalenie nowej konstytucji, wymaga głębokiej refleksji aksjologicznej i nie może być dokonywane jedynie z perspektyw rozwiązywania problemów bieżących. Jako Polacy wykazaliśmy się w 1791 roku dużą świadomością i racjonalnością konstytucyjną i choć uchwalenie tamtej Konstytucji nie zapobiegło rozbiorom, to jednak tradycje konstytucyjne pozostawiły niezatarty ślad. Należy głęboko wierzyć, iż ciągle kieruje nami mądrość konstytucyjna i jeżeli już dyskutujemy o zmianie konstytucji lub uchwaleniu nowej, to ta mądrość będzie prowadziła prawodawcę.



*Prof. dr hab. Bartosz Rakoczy* — kierownik Katedry Prawa Ochrony Środowiska i Publicznego Prawa Gospodarczego, Wydział Prawa i Administracji UMK

**Sebastian Żurowski**

## Adopcja anglicyzmów

Tradycyjnym problemem poprawnościowym opisywanym w poradnikach i słownikach jest mylenie par wyrazów *adopcja* i *adaptacja* oraz *adoptować* i *adaptować*. Tymczasem w epoce AI patrzy się na pewne teksty branżowe i przeciera ze zdumienia oczy, co tam autorzy piszący po polsku wyprawiają ze słowem *adopcja*.

Co wywołuje takie reakcje? Chodzi o teksty, które zawierają nowe (w teorii kultury języka określane się je jako „innowacyjne”) użycia słowa *adopcja*:

Polska nie należy do grona liderów pod względem wdrażania systemów sztucznej inteligencji. **Adopcja tej technologii nad Wisłą** jest zbyt

wolna. Eksperti twierdzą, że to pionierzy szybciej przekuwają AI w realną wartość” (pro.rp.pl, 17.11.2025).

Jednak gdy porównamy Polskę ze Stanami Zjednoczonymi (26,3 proc.), to okazuje się, że praktycznie jesteśmy na tym samym poziomie. To fascynujące, bo sugeruje, że **polska adopcja AI** jest porównywalna z wieloma rozwijającymi się gospodarkami wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej (spidersweb.pl, 6.11.2025).

Jest wiele słów, które świetnie pasują w tych kontekstach: *wdrażanie*, *wprowadzanie*, *wykorzystywanie*... Jeśli tekst miałby brzmieć mądrzej, można nawet napisać o *implementacji sztucznej inteligencji*. Przeżyć dałoby się nawet (obecną już w tekstach) *absorpcję AI*. Ale kalkowanie angielskiego *AI adoption* jako *adopcji AI* to już naprawdę przesada.

Chociaż... można mieć też wrażenie, że historia lubi się powtarzać. Jakiś czas też puryści językowi walczyli z „adopcją zwierząt ze schronisk”, argumentując, że ten czasownik poprawnie odnosi się tylko do ludzi (dzieci). Wydaje się, że w tej chwili te użycia „zwierzęce” nie budzą większych kontrowersji, weszły do słowników języka polskiego i nikt nie kładzie się Rejtanem w obronie jedynie słusznego „ludzkiego” znaczenia słowa *adopcja*. Kilkanaście lat temu wyglądało to jednak inaczej. W artykule „*Adoptowałem psa*” – o nowych użyciach leksemów „*adopcja*”, „*adoptować*”, „*zaadoptować*” we współczesnej polszczyźnie („Poradnik Językowy” 2011, nr 5) Krystyna Bojałkowska zreferowała przeprowadzone przez siebie badania sondażowe dotyczące akceptowalności nowych użyc typy *adoptowałem psa*. I okazało się, że większość z pytanych wtedy (sondażowej grupy 50 osób) użytkowników języka polskiego uważała, że nie powinno się używać tych słów w odniesieniu do innych istot niż ludzie. Użycia takie akceptowało jedynie ok. 20% osób. Co ciekawe, jakaś część osób nie słyszała nigdy takich wypowiedzi, a z drugiej strony pojawiały się nawet oddolne inicjatywy społeczne, które w listach adresowanych do najważniejszych władz państwowych (prezydenta, premiera, marszałków senatu i sejmu, rzecznika praw obywatelskich) oraz Rady Języka Polskiego wyrażały swój sprzeciw i prosiły o interwencję w obronie „godności dzieci adoptowanych”.



Apele apelami, ale język zawsze zrobi swoje. W tym wypadku w pełni przyjął „innovacyjne” znaczenie. Jak jest to wykazane we wspomnianym artykule, „adopcja zwierząt” to także użycie, które do polszczyzny przeszło z języka angielskiego. Czy to daje szansę na to, że za dwie dekady nie będzie nas dziwić „adopcja AI”? Idę o zakład, że nie w znaczeniu, które cytowałem na początku. Ale jeśli w niedalekiej przyszłości przyjęłaby się praktyka nadawania botom czy agentom AI osobowości prawnej i będzie można je zgodnie z prawem „usynawiać”, to wtedy na pewno trzeba będzie także powiedzieć, że wyrażenie *adopcja sztucznej inteligencji* jest poprawne...



*Dr hab. Sebastian Żurowski, prof. UMK –  
Wydział Humanistyczny UMK*

Jarosław Dumanowski

## Powrót jesiotra

Przez setki, a nawet tysiące lat jesiotr, a właściwie różne ryby jesiotrowate, były ważną częścią życia Europejczyków.

Wędrowki tych ryb wyznaczały rytm połowów, jedzenia i życia, wymagały dostosowania podaży ryb do kalendarza postów i tworzyły całą społecznych powiązań i instytucji, które miała zarządzać połowami i przetwórstwem. Kilkadziesiąt lat temu złowiono w Wiśle ostatnie jesiotry. Dziś rozwija się ich hodowla. Próbuje się też przywrócić naturze dzikie jesiotry. Ważną rolę odgrywa tu województwo kujawsko-pomorskie.

### Ryba

Jesiotr to ryba niezwykła. Wystarczy na niego spojrzeć, by dostrzec, że jest inna niż wszystkie. Wielka ryba pokryta płytkami kostnymi nie ma typowych dla innych ryb łusek, ma wydłużony pysk i ogon podobny jak u rekina. Ze względu na brak typowych łusek Żydzi uznają ją za produkt niekoszerny, tak jak i kawior z jesiotra. Jesiotr, a właściwie różne gatunki ryb jesiotrowatych, daje dużo smacznego mięsa, może być wykorzystywany kulinarnie na różne sposoby i nie ma zwykłych, drobnych ości, które tak zniechęcają konsumentów do spożywania ryb słodkowodnych.

Sam jesiotr jest rybą wędrowną, dwuśrodowiskową. Podobnie jak łosoś czy troć żyje głównie w morzu, ale rozmnaża się w rzekach. Jak pisał w swym słowniku Samuel Bogumił Linde: „wychodzi czasami z morza do rzek wielkich, a u nas do Wisły, Dniepru, dla wody słodkiej”. Sam przypląwa, a właściwie przypląwał do ludzi w wielu miejscach w głębi lądu.

### Historia

Jesiotr to już historia. Masowo poławiany od czasów prehistorycznych, szczególnie ważny i pożądany w epoce średniowiecza, całkowicie zniknął z większości europejskich wybrzeży i z europejskich rzek. Dziś żyje jeszcze w Garonnie i Dordogne koło Bordeaux we Francji, różne gatunki ryb jesiotrowatych występują na wschodzie Europy, głównie w Ukrainie, Rosji i w dolnym biegu Dunaju. W wielu tych miejscach są jednak coraz bardziej zagrożone wyginięciem.

Przed wiekami jesiotry obficie występowały w Renie i Mozeli, Łabie, Sekwanie, Rodanie i wielu miejscach na wybrzeżu morza. W Polsce wpływały do największych rzek, głównie Wisły i jej niektórych dopływów. Dwa, czasem trzy razy do roku (samce wracały z tarła nieco później niż samice) jesiotry przepływały przez wiele miejsc położonych w biegu różnych rzek. Właściwie same wpadały ludziom w ręce, gdyż połów wielkich ryb, przepływających przez jakieś miejsce w dużej liczbie przez krótki czas, był szczególnie łatwy. Złowienie nawet jednej ryby ważącej kilkadziesiąt, a często nawet ponad sto kilo-



gramów, dawało ogromną ilość jedzenia. Zwykle poławiano ich więcej, a to już oznaczało nawet pewien kłopot związany z konserwacją i przechowywaniem tak dużej ilości pokarmu.

Jesiotr i inne ryby wędrowne przyplływały więc w okolice ludzkich siedzib w głębi ładu same. Inaczej niż w przypadku zwierząt hodowlanych, świń, owiec czy bydła, nie trzeba ich było karmić, dbać o nie, pilnować przed drapieżnikami, leczyć i doglądać. Gdy uświadomimy sobie, że dawne jesiotry były znacznie większe od dzisiejszych hodowlanych, a zwierzęta hodowlane znacznie mniejsze i dawały o wiele mniej mięsa czy mleka, to rola ryb wędrownych była naprawdę ogromna.

W średniowieczu i później w krajach katolickich i prawosławnych połów oraz konsumpcja takich ryb wiązały się z częstymi i surowymi postami. Problem z jesiotrem polegał jednak na tym, że ta ryba nie chciała dostosować kalendarza swoich wędrówek do okresu postów... Chodziło tu zwłaszcza o Wielki Post, czterdzieści dni przed Wielkanocą, gdy popyt na ryby i ich różne przetwory był wprost ogromny. Wielki Post, w zależności od roku, przypadał na okres od lutego lub marca do marca lub kwietnia, a wędrówki jesiotra trwały głównie w maju i czerwcu (nieco wcześniej przy samym ujściu rzeki). Powroty jesiotrów z kolei przypadały na okres od czerwca do lipca, w mniejszym stopniu w sierpniu, były jednak bardziej rozłożone w czasie i połowy były trudniejsze.

### Konserwacja

Ze względu na dużą podaż mięsa jesiotrów w krótkim czasie i zwłaszcza niezgodność kalendarza natury z chrześcijańskim postem, wielkim problemem była konserwacja i przechowanie tych ryb. W Europie Północnej i Wschodniej handlowano czasem jesiotrami mrożonymi, poławianymi zimą w morzu, płytkich zatokach i przybrzeżnych zbiornikach. Takie jesiotry i inne ryby wędrowne można było, dzięki warunkom naturalnym, wykorzystać np. podczas postu w Adwencie (przed Bożym Narodzeniem) i na samym początku Wielkiego Postu, zwłaszcza gdy okres ten zaczynał się w lutym.

Innym, szeroko stosowanym pomysłem było suszenie niektórych ryb jesiotrowatych, tak jak to robiono z dorszem po obu stronach Atlantyku. Dotyczyło to zwłaszcza białugi, ogromnej ryby jesiotrowatej żyjącej głównie w Wołdze, Dunaju, Dnieprze i Dniestrze. Ta ogromna ryba ważyła nawet do kilkuset kilogramów, otrzymywano więc gigantyczne



ilości suszonego mięsa. Taki pokarm mógł być już długo przechowywany, mógł być daleko wysyłany i w ten sposób stanowił ważną część menu pobożnych chrześcijan ze wschodniej Europy. Ryby suszone czy solone były przy tym znacznie tańsze od ryb świeżych, które uchodziły za wyrafinowany przysmak zdobiący stoły bogaczy. Sięgali po nie jednak także i wytworni smakosze, gdyż były one dużym urozmaicheniem postnego menu. Dla wielu z nich konsumowanie takiego zwykłego, prostego i popularnego dania podczas postu było przy tym znakiem skromności i wyrzeczenia. W połowie XVIII wieku królowa Maria Józefa (żona Augusta III) manifestacyjnie jadła w Wielki Post właśnie suszoną białugę, a obserwatorzy zachwycali się jej skromnością i pobożnością.

Znacznie mniejszy od białugi występujący w środkowej Europie jesiotr ostronosy, typowy dla Europy Zachodniej jesiotr zachodni i inne gatunki ryb jesiotrowatych nadawały się do suszenia o wiele mniej. Oczywiście zawsze można było zjeść świeżą rybę, ale było to danie sezonowe, ewentualnie dostępne tylko na samym wybrzeżu. Zimą, jak już wspominałem, można było wykorzystać ryby mrożone, ale późną wiosną i latem, czyli w sezonie na jesiotry, ich przechowanie wymagało większej pomysłowości.

Podstawowe rozwiązania tej sytuacji polegały na marynowaniu lub wędzeniu jesiotra, zwykle zresztą te dwie techniki łączono. Wkrótce po połowach jesiotry oprawiano i solono w beczkach, stopniowo wykorzystując ten produkt w miarę potrzeby. Oprócz zwykłych solonych jesiotrów marynowano też ryby w różnych ziołach i przyprawach. Ten zwłaszcza produkt, zwany jesiotrzną, stopniowo wykorzystywano do wędzenia. „Yesszetrzina” pojawia się już



w rachunkach królowej Jadwigi – w 1394 roku na wielkopostną wieczerę królowej i jej gości zużyto m. in. kamień (ok. 13 kg) tego produktu. Marynowanie jesiotra zalecał w swym zielniku z 1534 r. Stefan Falimirz („włóż go w oczet mocny, bo w oczcie może długo trwać, a tak jeść”). W końcu XVIII w., gdy jesiotrów było już mniej, Jan Krzysztof Kluk pisał: „nie wiem, jeżeli się komu podoba wędzenie jesiotra, woląc go zażyć świeżego, gdy jest”. Autor popularnych poradników gospodarczych podkreślał przy tym, że „wędzony jest bardzo przedni”.

Niedawno próbowaliśmy odtworzyć tę zapomnianą już technikę, by przywrócić pamięć o „jesiotrynie”. Wykorzystaliśmy popularną recepturę z XVIII wieku, która opisywała marynowanie jesiotra

w soli z dodatkiem kolendry i jałowca. Inne receptury z epoki zalecały dodawanie goździków, ziela angielskiego i imbiru, co uważano za bardziej eleganckie. Pierwsze efekty były, łagodnie mówiąc, nieudane, a rzemieślnik, którego namówiłem do tego eksperymentu, był, jeszcze delikatniej mówiąc, bardzo rozczarowany. Jesiotr był po prostu niejadalny, przeraźliwie słony i aż rozmokły. Tajemnica niepowodzenia polegała na ilości użytej soli. W przepisie była mowa o ok. 3,5 kg soli na jednego jesiotra i tak też zrobiliśmy. Zapomnieliśmy jednak, że dzisiejsza hodowlana rybka ważąca 5 kg była dużo mniejsza od jesiotra wędrującego w dół rzeki i ważącego kilkadziesiąt, a czasem i więcej niż sto kilogramów. Po uwzględnieniu tej poprawki otrzymaliśmy wspaniałą, aromatyczną marynatę i soczystą, pachnącą wędzonkę.

### Sztuka kulinarna

Wielka podaż tych ryb pociągała za sobą dużą pomysłowość i zróżnicowanie ich wykorzystania kulinarnego. Oprócz ryby solonej, marynat i wędzonek, potrafiąco wyczarować niezwykle smakołyki ze świeżego jesiotra. Dzisiaj tę wiedzę odkrywamy i staramy się ją przywrócić, tak jak staramy się reintrodukować samego jesiotra i rozwijać jego hodowlę.

Związek z postem i prastare techniki oraz zwyczaje związane z samym połowem jesiotra sprawiały, że receptury te były często bardzo tradycyjne, dziś powiedzielibyśmy: archaiczne. Często więc przyrządzano go na słodko, dodając rodzyнки albo agrest, dostępny właśnie w czasie połowów jesiotra. Do tego inne owoce, soki czy czasem nawet cukier, co równoważono różnymi rodzajami octu, cytryną i innymi kwaśnymi dodatkami oraz doprawiano na ostro całą serią egzotycznych przypraw. Ta archaiczna, jeszcze średniowieczna, estetyka smaku utrzymywała się szczególnie długo w przypadku potraw rybnych. Tradycjonalizm w tej dziedzinie związany był przede wszystkim z surowym postem, który dawniej polegał nie tylko na wyłączeniu z diety mięsa, ale także nabiału, np. masła czy śmietany. Stanowiło to nie lada wyzwanie i wyzwało inwencję dawnych kucharzy.

Jesiotra przyrządzano więc w galarecie, wyrabiano z niego pasztety i terriny, nadziewano nim pierogi oraz dodawano do chłodników, czyli zimnych zup z warzyw i ziół, głównie botwinki, buraków, szczawiu, koperku, ogórków kiszonych i świeżych, szczypiorku itp. Jesiotra pieczono, gotowano, duszono i smażyło, przygotowywano z niego najróż-

niejsze zupy, łączono go z sokiem wiśniowym, pieczarkami, kiszoną kapustą i najróżniejszymi innymi składnikami.

Ta ogromna wiedza odeszła w przeszłość razem z wędrownkami jesiotra. Dziś odkrywamy ją na nowo obok rozwoju hodowli i prób reintrodukcji jesiotra dzikiego. Przez wieki, a nawet tysiące lat, niszczyliśmy nasze środowisko, zubożyliśmy nasze menu i sprawiliśmy, że wiele gatunków zwierząt i roślin, ich ras i odmian przeszło do historii. Dzisiaj historia odkrywa je na nowo i pomaga w ich przywróceniu.

Oprócz samego jesiotra słynnym przysmakiem był i ciągle jest kawior. Już w 1534 r. Stefan Falimirz podkreślał, iż „Ikry jego dobre są barzo”. Ikry należało oczyścić i osuszyć, a następnie zapiekano ją w chlebie i podawano z cebulą i pieprzem.

Dziś Polska należy do największych jego producentów w Europie i na świecie, a polscy szefowie kuchni zastąpili z niezwykłych połączeń smakowych, dodając np. kawior do deserów. Zajmująca przez wieki pierwsze miejsce w produkcji kawioru Rosja ustąpiła nie tylko Chinom, ale często nie jest w ogóle ujmowana w statystykach. Zestawienia dotyczące produkcji kawioru w Rosji są tylko fragmentaryczne i kompletnie niewiarygodne. Sam kawior rosyjski jest przy tym w dużej mierze efektem produkcji nielegalnej i przestępczej, opartej na działalności rabunkowej oraz niszczącej środowisko naturalne i przede wszystkim z tego względu produkcja ta nie jest ujmowana w europejskich statystykach.

Polska jest dziś nie tylko jednym z największych w Europie i na świecie producentów oraz eksporterów kawioru, ale rozwija też hodowlę samych jesiotrów i prowadzi akcję reintrodukcji tej ryby do środowiska naturalnego. Dwadzieścia już lat takich wysiłków nie jest jednak w stanie zniwelować efektów tysięcy intensywnych połowów i niszczenia środowiska. Efekty przynosi natomiast rozwój hodowli i będąca jej wynikiem popularność potraw z jesiotra w polskiej gastronomii. O wielu pomysłach na tę rybę zdążyliśmy jednak już zapomnieć, sięgnijmy więc do starych receptur.

W *Compendium ferculorum albo zebraniu potraw*, krakowskiej książce kucharskiej z 1682 r., jesiotra wymieniono wśród niezbędnych w kuchni produktów. Według jej autora Stanisława Czernieckiego w szlacheckiej spiżarni powinny się znaleźć „jesiotry świeże, słone i wędzone”, ale także czeczugi (sterlety), białuga w różnych postaciach i inne ryby jesio-



trowate. Autor zamieścił w swej książce dwie receptury na dania z jesiotra i opisał sposób wędzenia tej ryby, ale o jesiotrach wspominał też wielokrotnie w innych recepturach, dotyczących ogólnie „ryb”, np. „bigosek”, ryby na żółto w sosie szafranowym, ryby w sosie z krwi (na czarno), na ostro, kwaśno i słodko, marynowane i także wędzone.

### **Jesiotr [1682 r.]**

Weźmij kilka dzwon jesiotra, ociągnij w oliwie albo w maśle, usmaż cebule i pietruszki drobno krajanej w maśle albo oliwie, złóż to społem, daj wina, rożenków obojga, słodkości, pieprzu, imbiru, cynamonu, maśta albo oliwy, szafranu. Przywarz, a daj na stół.

Dzwonka jesiotra należy najpierw „ociągnąć” w oliwie albo w maśle, czyli lekko podsmażyć. Dobór tłuszczu wynika przede wszystkim z regulacji religijnych. W piątek i inne dni surowego postu powinno się użyć oliwy, gdyż obok mięsa nie można było spożywać także nabiału. Wyrabiane lokalnie różne oleje (lniany, makowy czy najtańszy konopny) przy ówczesnej technice produkcji raczej nie nadawały się do smażenia. W tygodniu poszczono również w sobotę (wigilię niedzieli). Nie można było wtedy spożywać mięsa, dozwolone było jednak spożycie nabiału i rybę można było usmażyć na maśle. Oczywiście mamy wybór, ale obie te propozycje dają nam nieco inny efekt i smak.

Typowymi, często pojawiającym się w XVII w. dodatkami są korzeń pietruszki i cebula. Po usma-



zeniu należało je razem z kawałkami jesiotra zalać winem i następnie użyć całej gamy smakowych dodatków. Tajemnicze „roženki” to po prostu rodzyнки, przy czym należało użyć dwóch popularnych wówczas ich rodzajów: lżej podsuszonych i łagodniejszych w smaku większych (podobnych do dzisiejszych rodzynek sułtańskich) i bardziej suchych i wyraźniejszych w smaku mniejszych (takich jak rodzyńki korynckie). Wino było zapewne białe, to używane do kuchni miało zwykle wyraźny kwaśny posmak. W recepturach z tego czasu wino zalecano czasem stosować zamiennie z octem (najczęściej winnym). Ten słodko-kwaśny akcent wzbogacano jeszcze „słodkością”, czyli według XVII-wiecznej terminologii po prostu cukrem (z reguły w postaci syropu) albo po prostu czymś słodkim: przecierem („gąszczem”) z owoców, słodzonym sokiem owocowym (najczęściej wiśniowym), suszonymi owocami lub konfiturami. Podobnie jak w wielu innych przypadkach Stanisław Czerniecki, autor receptury, pozostawiał swoim czytelnikom dużo pola do popisu. Otrzymałą bardziej słodką niż kwaśną kompozycję doprawiano pieprzem, imbirem, cynamonem i szafranem i dodawano masła lub oliwy. Choć nie podano tu żadnych miar, to z innych receptur wiemy, że używano dużych ilości przypraw.

I na koniec kilka receptur, które tak dokładnych wyjaśnień już nie wymagają...

J. Szyttler, *Skrzętna gospodyni, czyli tom drugi kucharki oszczędnej*, Wilno 1846:

#### **Chłodnik ruski [1846 r.]**

Odgotować jesiotr zyny mała solonej, jak ostygnie, skroić, oczyściwszy, w sztuczki do upodobania, ułożyć na półmisek, obok jesiotr zyny dodać świeżych oczyszczonych, skrojonych ogórków, z drugiej strony rakowych szyjek, i obnosić u stołu. Do chłodniku w ważę leje się kwasu rumianego esencjonalnego, dodaje się botwinę na miękko odgotowaną, lecz kopr ani cebula tu się nie używają, gdyż w kwasie mięta, która się będzie przeciwieć temu smakowi, zasala się tylko w miarę.

W. Zawadzka, *Kucharka litewska*, Wilno 1881:

#### **Jesiotr na rumiano z wiśniowym i winnym sosem [1881 r.]**

Oprawionego i przemytego jesiotra pokroić, osolić, ugotować w smaku wygotowanym z marchwi, pory, pietruszki z dodaniem angielskiego i prostego pieprzu, (a jeżeli jest trochę drobnej ryby, można i ją użyć do smaku i zalać następnym sosem: podrumienić kilka kawałków cukru zalawszy go wodą, wlać kieliszek oliwy, włożyć łyżkę masła, wsypać dwie łyżki mąki, i zarumienić mieszając na ogniu. Rozprowadzi to smakiem, w którym jesiotr był gotowany, wlać kwaterkę mocnego wina, tyle soku wiśniowego i octu, włożyć kilka goździków, trochę cynamonu, i gotować to wszystko mieszając, póki sos nie zgęstnieje, poczem precedzić, włożyć trochę kaparów i oliwek, lub w ich niedostatku, różnych pikłów; zagotować raz jeszcze i zalać jesiotra.

R. Makarewiczowa, *Praktyczna kuchnia*, Warszawa 1910:

#### **Jesiotr z sosem pieczarkowym [1910 r.]**

Sparzyć jesiotra gorącą wodą z octem, aby skóra odeszła, posolić natrzeć siekanym koprem bardzo obficie, niech tak leży godzinę, potem dać na brytfannę wysmarowaną masłem i piec w rurze polewając masłem. Zrobić sos następujący: wziąć drobnych pieczarek, obrać, pokrajać, potem udynstować i dodać trochę soku cytrynowego. Osobno wziąć łyżkę masła, zasmażyć z łyżką mąki, zalać ćwierć litrem śmietany kwaśnej, wcisnąć z pół cytryny soku, zagotować wszystko razem, polać pokrajanego jesiotra na półmisku i wydać na stół.



*Prof. Jarosław Dumanowski* — kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarne go na Wydziale Nauk Historycznych UMK

Winicjusz Schulz

# Wakacje z wojną w tle

Rok 2026 przyniósł kolejne napięcia i konflikty na Bliskim Wschodzie, które odbiły się nie tylko na światowej polityce, ale również na codziennym życiu milionów ludzi, choćby za sprawą cen paliw. W Polsce skutki wydarzeń odczuwalne są także w branży turystycznej.

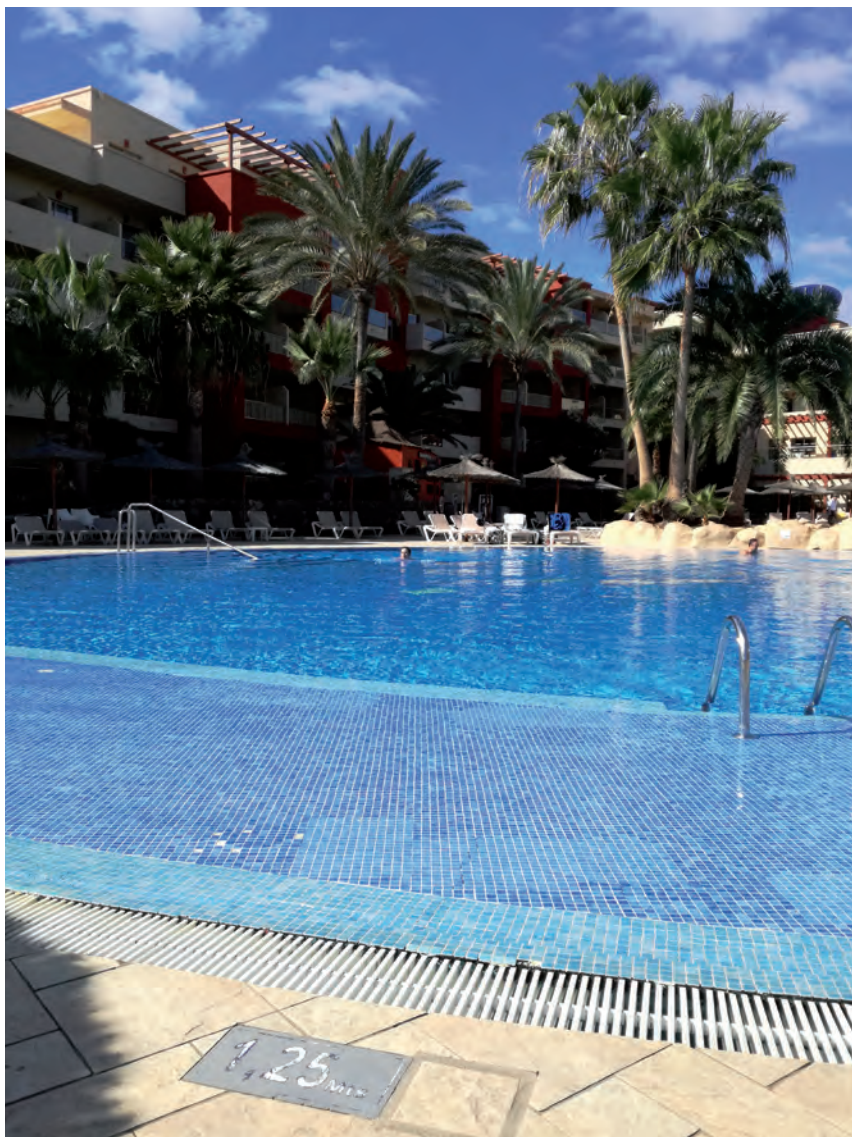
Co zatem z tegorocznymi wakacjami? Wielu Polaków planujących je zaczęło zadawać sobie pytania o bezpieczeństwo podróży, ceny wyjazdów oraz stabilność popularnych kierunków urlopowych. Gdy pisałem ten artykuł, końca wojny nikt jeszcze nie ogłosił.

## Niepewność przed sezonem wakacyjnym

Jeszcze do niedawna turyści wybierali wakacje głównie na podstawie pogody, ceny i standardu hotelu. Dziś coraz większe znaczenie mają kwestie bezpieczeństwa. Doniesienia o atakach rakietowych, napięciach politycznych i zagrożeniu terrorystycznym sprawiają, że część osób rezygnuje z wyjazdów do krajów położonych blisko stref konfliktu.

Największe obawy dotyczą regionów sąsiadujących z obszarem działań wojennych. Nawet jeśli popularne kurorty funkcjonują normalnie, wielu turystów nie chce ryzykować urlopu w miejscu kojarzonym z niestabilną sytuacją polityczną, mając w pamięci choćby niedawne sceny w kurortach, na lotniskach, gdy wybuchła wojna w rejonie Zatoki Perskiej. Dubaj, Doha przestały kojarzyć się tylko z istic rajsakimi widokami.

Z drugiej jednak strony Polak to często turysta dość specyficzny. Wielu jest takich, którzy hołdują nie tylko zasadzie „płacę i wymagam”, ale i też „płacę, więc muszę polecić, nawet jeśli to ryzykowne”. Pamiętamy zapewne z telewizyjnych relacji tuż po wybuchu wojny te rozmowy z osobami, które mimo ostrzeżeń resortu spraw zagranicznych i tak postanowiły wykorzystać zakupione wcześniej wczasy, bo nie lecieć znaczyło często stracić sporo pieniędzy (były i takie biura turystyczne, które nie kwapiły się, by zwracać wpłaty lub chociaż oferować alternatywne wyjazdy).



## Egipt, Turcja i Zjednoczone Emiraty Arabskie pod obserwacją

Z ostatnich medialnych doniesień i raportów wynika, że mimo niepokoju Polacy nadal chętnie wybierają kierunki oferujące ciepły klimat i wakacje all inclusive. Egipt i Turcja pozostają jednymi z najpopularniejszych destynacji (ulubione słowo branży turystycznej) ze względu na konkurencyjne ceny i rozbudowaną infrastrukturę turystyczną. Duże zainteresowanie utrzymują również Zjednoczone Emiraty Arabskie, które przez lata budowały wizerunek bezpiecznego centrum turystyki i luksusu.

Biura podróży zapewniają, że kurorty są odpowiednio zabezpieczone, a sytuacja monitorowana na bieżąco. Turyści coraz częściej sprawdzają jednak komunikaty Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz wykupują dodatkowe ubezpieczenia obejmujące nieprzewidziane sytuacje związane z konfliktem zbrojnym.

### Droższe wakacje w 2026 roku?

Wojna na Bliskim Wschodzie wpływa także na światową gospodarkę. Rosnące ceny ropy naftowej przekładają się na wyższe koszty transportu lotniczego. Linie lotnicze zmieniają trasy przelotów, omijając niebezpieczne przestrzenie powietrzne, co wydłuża czas podróży i zwiększa koszty opera-

cyjne. Loty na niektórych kierunkach są niekiedy nawet ograniczane.

W efekcie wakacje zagraniczne mogą stać się droższe niż w poprzednich sezonach (sytuacja jest dynamiczna). Wzrosły również ceny niektórych ubezpieczeń turystycznych oraz usług hotelowych. Mimo to Polacy nie rezygnują z urlopów – częściej jednak szukają promocji, ofert last minute i krótszych pobytów.

### Powrót mody na Europę

W obliczu niepewnej sytuacji geopolitycznej wielu turystów wybiera kierunki europejskie. Grecja, Hiszpania, Portugalia czy Chorwacja przeżywają prawdziwe oblężenie. Dla części podróżnych ważne jest poczucie stabilności oraz możliwość szybkiego powrotu do kraju.

Popularność zyskują także wakacje organizowane samodzielnie – podróże samochodem, apartamenty wynajmowane przez Internet i mniej zatłoczone miejsca poza największymi kurortami. Turyści chcą mieć większą kontrolę nad swoim wyjazdem i unikają uzależnienia od dużych touroperatorów.

Tegoroczny szczyt wyjazdów jeszcze przed nami, ale już można „w ciemno” przyjąć, że swoistym beneficjentem wojny na Bliskim Wschodzie będzie nasza krajowa branża turystyczna. Nad Bałtykiem, na Mazurach, w polskich górach też można wypocząć – zawsze to bezpieczniejsze. I do domu blisko!

### Turystyka w cieniu światowych konfliktów

Rok 2026 pokazuje, że współczesna turystyka jest bardzo silnie powiązana z sytuacją międzynarodową. Wojna na Bliskim Wschodzie wpływa na decyzje milionów ludzi, nawet tych mieszkających tysiące kilometrów od konfliktu. Polacy nadal chcą podróżować, ale robią to ostrożniej i bardziej świadomie niż jeszcze dekadę temu.

Ekspertki podkreślają, że branża turystyczna nauczyła się funkcjonować w warunkach ciągłej niepewności – po pandemii, kryzysach gospodarczych i konfliktach zbrojnych. Dzisiejszy turysta oczekuje nie tylko atrakcyjnej ceny, lecz także gwarancji bezpieczeństwa i elastyczności.

Wakacje w 2026 roku stają się przy okazji nie tylko czasem odpoczynku, ale również sprawdzianem zaufania do świata, który coraz częściej zmienia się pod wpływem globalnych wydarzeń.

Zdjęcia: Winicjusz Schulz



Marcin Czyżniewski

# Czechy mniej znane

**Czesi coraz chętniej spędzają wakacje w Polsce i to już nie tylko nad Bałtykiem. Może i my powinniśmy częściej odwiedzać naszych południowych sąsiadów? Czechy to nie tylko Praga – można w tym kraju spędzić prawdziwy urlop, w ogóle nie zaglądając do stolicy.**

Pandemia i rosnące ceny sprawiły, że Czesi zaczęli szukać alternatywy dla Chorwacji, tradycyjnego miejsca letniego wypoczynku. Ten kraj był tak popularny wśród naszych sąsiadów, że jedna z partii politycznych prowadziła tam kiedyś kampanię przed wyborami parlamentarnymi. Te poszukiwania

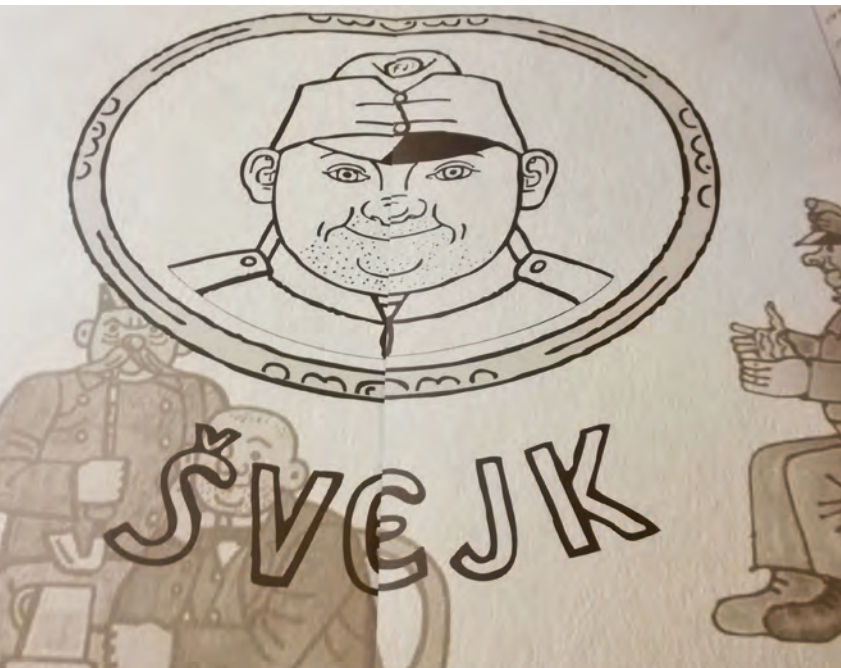
zawiodły Czechów do Polski, najpierw nad Bałtyk, a dziś także w inne regiony, które odkrywają, m.in. na Dolny Śląsk, Mazury i w Bory Tucholskie. Jeden z czeskich internautów opublikował niedawno film z weekendu spędzonego w Bydgoszczy, zachwycony atmosferą tego miasta. My także możemy odkryć wiele pięknych miejsc w Czechach, do których jeszcze nie zajrzeliśmy.

Na samej tylko liście Światowego Dziedzictwa UNESCO znalazło się 17 obiektów z Czech, w tym cztery zespoły staromiejskie. Najmniejsze z nich to Telcz (Telč – w czeskim jest rodzaju żeńskiego, jedziemy więc do Telczy), liczące zaledwie kilka



Konopiszte

Fot. Winicjusz Schulz



Fot. Winicjusz Schulz

tysięcy mieszkańców miasteczko na Morawach. Jego perłą jest Plac Zachariasza z Hradca. Miasto często nawiedzały pożary i po jednym z nich, który strawił rynek w 1530 r., powstała pierzeja podobnych, dwupiętrowych kamienic, z bogatymi ornamentami. Tuż obok wznosi się renesansowy zamek z kościołem św. Jakuba.

Ozdobą czeskiej listy UNESCO jest bez wątpienia Czeski Krumlow (Český Krumlov) położony tuż przy granicy z Austrią – bliżej stąd do Linzu niż do Pragi. Swoją świetność zawdzięcza rodowi Rožm-

berków, jednej z najpotężniejszych rodzin arystokratycznych w Czechach, a przy tym zasłużonych mecenasów sztuki. Ich rodowa siedziba, zamek Rožmberk, leży kilkanaście kilometrów na południe i także wart jest odwiedzin. Czeski Krumlow jest nie tylko piękny, ale też malowniczo położony, historyczną część miasta otacza zakole Wełtawy. Góruje nad nim zamek, pod względem wielkości drugi po praskim, z charakterystyczną wieżą. Koniecznie trzeba odwiedzić teatr, którego wystrój pozostał niezmienny od ponad 400 lat. Na całym świecie zachowały się tylko cztery oryginalne teatry z XVIII w., aż dwa z nich są w Czechach – drugi można obejrzeć na zamku w Litomyšlu niedaleko Pardubic. Sam zamek to jedna z najpiękniejszych renesansowych rezydencji w naszej części Europy. Od kilku lat przechodzi gruntowną renowację, z której wyjdzie jeszcze piękniejszy.

Czeski Krumlow położony jest niedaleko Czeskich Budziejowic, które świetnie znają wszyscy miłośnicy *Przygód dobrego wojaka Szwejka*. Założył je najpotężniejszy z Przemysłidów, król Przemysł Otokar II w 1265 r. Warto wejść na szczyt ponad 70-metrowej Czarnej Wieży. Najstarszym budziejowickim zabytkiem jest klasztor dominikański pamiętający jego początki miasta.

Szeregowy Szwejk chciał dojść do Czeskich Budziejowic na piechotę po tym, jak wyrzucono go z pociągu za nieuzasadnione użycie hamulca bezpieczeństwa. Niestety pomylił drogę i ruszył w odwrotną stronę, oddalając się od swego pułku, co ostatecznie skończyło się zatrzymaniem przez żandarmerię



Czeski Krumlow

pod zarzutem dezercji. Hašek wymienia piętnaście wsi i miasteczek, które Szwejk minął w drodze do, a właściwie od, Czeskich Budziejowic. Bez trudu można powtórzyć tę trasę, zaczynając od Tabora, nazwanego tak od biblijnej góry, najważniejszego miejsca husytyzmu, z uroczym rynkiem.

Na zachód od Tabora leży malownicze miasteczko Písek z najstarszym kamiennym mostem w całych Czechach, łączącym dwa brzegi Otawy. Z kolei jadąc kawałek na północ, dotrzemy do zamku Konopište, leżącego niemal na przedmieściach Pragi. Na zamku mieszkał Franciszek Ferdynand, austriacki następca tronu zamordowany w Sarajewie. Zamek oferuje siedem tras zwiedzania, otoczony jest też wielkim parkiem. Kraj Środkowoczeski to zresztą zagłębie pięknych zamków i pałaców. To tutaj leży m.in. majestatyczny Karlsztejn (Karlštejn), zbudowany w połowie XIV wieku przez Karola IV, powszechnie uważanego za najwybitniejszego władcę w historii Czech. Przez dwieście lat na zamku przechowywano czeskie klejnoty koronne, a przez pewien czas także regalia cesarskie.

Cesarz Karol IV założył także Karlowe Wary (Karlovy Vary). Znamy je z międzynarodowego festiwalu filmowego, ale to przede wszystkim malownicze uzdrowisko z piękną architekturą i leczniczymi źródłami, których właściwości opisano już w XVI w. Niektórzy dopatrują się podobnych właściwości w najstynniejszym wyrobie z Karlowych Warów,

ziołowym likierze stworzonym na początku XIX w. przez miejscowego lekarza doktora Bechera i noszącym jego imię. Karlowe Wary to jedno z trzech znanych uzdrowisk w Czechach, wszystkie położone są niedaleko siebie, tuż przy granicy z Niemcami, i wszystkie znalazły się na liście UNESCO. Mariańskie Łaźnie (Mariánské Lázně) odwiedził Chopin, leczył się tu także Goethe, a w mieście działa najstarsza w Czechach orkiestra symfoniczna. Także Franciszkowe Łaźnie (Františkovy Lázně), założone przez cesarza Franciszka II Habsburga w 1793 r., zachowały urok środkowoeuropejskiego uzdrowiska i oferują ponad 20 źródeł leczniczej wody, z których czerpano ją już w czasach prehistorycznych.

Poza morzem kraj naszych południowych sąsiadów ma wszystko, czego szukają turyści. Olśniewającą przyrodę, góry, jeziora, majestatyczne zamki, malownicze miasteczka, uzdrowiska i historię, którą znaleźć można w każdym zakątku tego kraju. Może w czasie, kiedy dalekie podróże stały się drogimi i nieco ryzykownymi, warto odwiedzić te spokojne miejsca położone na wyciągnięcie ręki?



*Dr hab. Marcin Czyżniewski, prof. UMK – Instytut Stosunków Międzynarodowych, Wydział Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie UMK*



Telč

Renata Skowrońska

## Wino z misją i tradycją – śladami trzech wielkich domen Frankonii

Nennt man mir drei Wunderdinge  
Frauen, Liebe und Wein,  
wird's im Herzen als ginge  
drüber der Sonne Schein.

/

Gdy wymieni mi trzy cuda  
kobiety, miłość i wino,  
w sercu robi się tak, jakby przeszedł  
po nim blask słońca.

Pieśń Würzburglied z 1895 roku autorstwa  
Robertta Maurmeiera (1862–1931)

**Hiszpania i Francja od lat dysponują największą na świecie powierzchnią upraw winorośli, tworzących krajobraz ciągnących się po horyzont winnic. Z kolei Włochy przodują w wolumenie produkcji, dostarczając na globalny rynek najwięcej wina.**

Jednak na mapie Europy istnieją miejsca, gdzie statystyki ustępują miejsca pasji i lokalnemu patriotyzmowi. Mieszkańcy Würzburga od wieków pozostają wierni przekonaniu, że najlepsze trunki rodzą się właśnie u nich – pod kapryśnym słońcem Frankonii, na wapiennych zboczach dolin rzek Menu, Tauber oraz Saale. Tu winiarstwo to znacznie więcej niż sektor gospodarki. To ważny element tożsamości kulturowej, celebrowany oficjalnie i prywatnie między innymi podczas licznych festynów wina (Weinfeste). Pękata butelka „Bocksbeutel” (dosłownie „moszna kozła”) jest symbolem jakości oraz jednocześnie znakiem towarowym wina frankońskiego. Jej charakterystyczna forma, od lat 80. zeszłego stulecia zastrzeżona prawnie dla określonych regionów (Frankonii, części Badenii, Portugalii), zarezerwowana jest wyłącznie



Bogate rzeźbienia na dnach dwóch z około 220 dębowych beczek w piwicach Juliusspital. Wikimedia Commons: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:D-BY-W%C3%BCrzburg\\_-\\_Weinkeller\\_des\\_Juliusspitals\\_-\\_5466.JPG](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:D-BY-W%C3%BCrzburg_-_Weinkeller_des_Juliusspitals_-_5466.JPG)

dla najlepszych win (Qualitätswein lub Prädikatswein).

Choć wina frankońskie cieszą się dużym uznaniem, rzadko opuszczają swoją ojczyznę. Tutejsze trunki są tak wysoko cenione przez lokalnych konsumentów, że większość produkcji „pozostaje” na miejscu, niewielki odsetek butelek trafia na rynki zagraniczne. Pomimo tego, że Polska jest obecnie jednym z najważniejszych importerów niemieckich win, frankońskie specjały wciąż stanowią nad Wisłą produkt niszowy, dostępny jedynie w specjalistycznych sklepach winiarskich.

Pierwsza wzmianka dokumentująca uprawę winorośli w okolicach Würzburga pochodzi z drugiej połowy VIII wieku. Historycy przypuszczają jednak, że kultura wincerska dotarła tu znacznie wcześniej. W kolejnych wiekach winiarstwo rozwijało się intensywnie, by w nowożytności stać się jedną z najważniejszych gałęzi rolnictwa i filarem miejscowej gospodarki. Jego znaczenie było (i jest) widoczne na obszarze całej Frankonii, także na rozproszonych terenach księstwa Würzburg, którym tutejsi biskupi władali jako świeccy książęta Rzeszy. Warto wspomnieć, że to księstwo obejmowało zaledwie około jedną trzecią terytorium diecezji Würzburg, wykraczającej daleko poza tereny Frankonii. W samym mieście powstały w toku dziejów trzy duże domeny winiarskie, działające nieprzerwanie do dziś i współcześnie bardzo cenione. Interesujące jest przy tym, że cel powstania oraz przyjęte i rozwijane założenia tych instytucji są diametralnie różne.

Najstarszym dużym producentem wina w Würzburgu jest zinstytucjonalizowana w ciągu XII wieku winnica władcy tego księstwa. Jest to jednocześnie jedna z najstarszych domen o tak znacznym areale w Niemczech. Aktualnie w jej zarządzie znajdują się winnice o powierzchni około 120 ha, roczna produkcja dochodzi do 850 tys. butelek. Do początków XIX wieku jej podstawowym celem było zaopatrywanie „stołu” sprawujących władzę książęcą biskupów. Dziś jest ona własnością landu Bawaria i w związku z tym nosi (nieco dwuznaczną) nazwę Państwowej Piwnicy Dworskiej (Staatlicher Hofkeller). Jest to więc państwowe przedsiębiorstwo, zyski ze sprzedaży wina zasilają bawarski budżet. Lokalizacja siedziby Hofkeller jest znakomita: mieści się w barokowej rezydencji książąt-biskupów z XVIII wieku. W rozległych piwnicach tego budynku wino jest do dziś nie tylko składowane, lecz także produkowane, co sprawia, że w określonych porach roku spacerowiczów i turystów zaskakują



Pierwotny, renesansowy kompleks budynków fundacji Juliusspital, założonej w 1576 r. przez księcia-biskupa Juliusa Echterera. Rycina Johanna Leypolta z 1604 r. Wikimedia Commons: [https://de.wikipedia.org/wiki/Stiftung\\_Juliussspital\\_W%C3%BCrzburg#/media/Datei:Domus\\_hospitalis\\_Juliussspital\\_W%C3%BCrzburg.jpg](https://de.wikipedia.org/wiki/Stiftung_Juliussspital_W%C3%BCrzburg#/media/Datei:Domus_hospitalis_Juliussspital_W%C3%BCrzburg.jpg)

unoszące się w okolicy aromaty związane z jego wytwarzaniem.

Zupełnie inne cele przyświecały drugiemu najstarszemu instytucjonalnemu producentowi wina w Würzburgu. Pierwotnie była to fundacja opiekuńcza dla osób starszych i niepełnych – przytułek założony w pierwszej połowie XIV wieku z prywatnej inicjatywy małżeństwa Johanna i Mergardis von Steren, początkowo również przez nich samych prowadzony. Dość szybko zarząd nad tą instytucją przeszedł w ręce Rady Miejskiej, a w XVI wieku utrwaliła się funkcjonująca do dziś nazwa Szpitala Mieszkańskiego pod wezwaniem Ducha Świętego

(Bürgerspital zum Heiligen Geist). Zadaniem fundacji było zapewnienie potrzebującym dachu nad głową, wyżywienia oraz opieki duchowej, przy czym wykluczono przyjmowanie osób chorych fizycznie lub psychicznie. W tym przypadku winnice oraz produkowane z ich plonów wino miały więc stanowić stabilną podstawę finansową dla nowo powstałego domu opieki.

Zasady określające warunki przyjęcia do tego domu były dość precyzyjne. Pod jego opiekę mogły trafić wyłącznie osoby posiadające obywatelstwo miejskie Würzburga (wyznania katolickiego) – niewielki odsetek mieszkańców miasta spełniał w średniowieczu i nowożytności to kryterium. Od XIX wieku wymogiem było stałe zameldowanie i faktyczne zamieszkanie na terenie miasta. W zamian za dożywotnie utrzymanie (tzw. Pfründe) cały majątek przyjmowanej osoby przechodził na rzecz fundacji. Od wartości tego „wpisowego” zależało ostatecznie, w jak licznej sali dana osoba mieszkała oraz jakie wyżywienie miała zapewnione – łącznie z wielkością przysługującej jej dziennej racji wina (Deputatwein). Charytatywny charakter tej placówki przejawiał się

w przyjmowaniu pewnej liczby osób, które nie posiadały żadnego majątku lub dysponowały niewystarczającymi środkami na pokrycie całości wymaganych opłat. Przebywały one w wieloosobowych salach i przysługiwało im podstawowy wikt oraz najmniejsza racja wina, zazwyczaj od połowy do jednego litra dziennie. Jeśli były jeszcze sprawne fizycznie, były zobowiązane pomagać w lżejszych pracach gospodarskich, sprzątanii lub opiece nad słabszymi współmieszkańcami.

Dziś instytucja ta nie ma już charakteru charytatywnego; działa na podobnych zasadach, jak inne prywatne placówki tego typu. Seniorzy objęci opieką ambulatoryjną lub mieszkający w zarządzanych przez nią domach opieki płacą za otrzymywane świadczenia zgodnie z niemieckimi przepisami socjalnymi (koszt pobytu wynosi obecnie 3200–3500 € miesięcznie). Za mieszkanie w jednopokojowym lokalu z podstawową „opieką” (betreute Wohnung) obowiązują stawki odpowiadające tzw. warunkom rynkowym dla tego typu placówek, czyli aktualnie około 1900–2200 € miesięcznie (jest to koszt czynszu, do którego można dokupić różne usługi, jak



Tablica fundacyjna Juliusspital wykonana przez rzeźbiarza Hansa Rodleina w 1576 r. (pierwotnie znajdowała się nad głównym wejściem, aktualnie znajduje się w przejściu do parku). Po prawej stronie widnieje jego założyciel Julius Echter, u którego stóp spoczywają symbole władzy biskupiej i książęcej. Pozostałe elementy reliefu tworzą bogaty program ikonograficzny, obrazujący zakres działalności tej instytucji. Wikimedia Commons: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Juliusspital,\\_Hauptkomplex\\_W%C3%BCrzburg\\_20211107\\_0146.jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Juliusspital,_Hauptkomplex_W%C3%BCrzburg_20211107_0146.jpg)



Twierdza Marienberg w Würzburgu: widok od strony południowej na mury obronne pierwszej siedziby książąt-biskupów i leżące pod jej murami winnice. W dali po prawej: winnice Würzburger Stein. Wikimedia Commons: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:South\\_view\\_of\\_Festung\\_Marienberg,\\_W%C3%BCrzburg\\_20140804\\_1.jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:South_view_of_Festung_Marienberg,_W%C3%BCrzburg_20140804_1.jpg)

wyżywienie, sprzątanie, robienie zakupów). Mimo tych cen, ze względu na prestiż i renomę Bürgerspital na wolne miejsce, często trzeba czekać znacznie dłużej, niż w innych ośrodkach. Sprzedaż wina (uzyskiwanego z około 120 ha winnic) nie stanowi już – jak się wydaje – podstawy działalności. Jest dla tej fundacji znaczącym dodatkowym (nie jedynym) źródłem dochodu, które umożliwia między innymi prowadzenie dużych inwestycji.

W piwnicach siedziby Bürgerspital, która nie ucierpiała znacząco podczas szczególnie tragicznego dla Würzburga bombardowania 16 marca 1945 roku (w przeciwieństwie do piwnic Hofkeller oraz Juliusspital, o którym poniżej), znajduje się prawdziwy skarb. Jest to gratka dla wszystkich miłośników wina i jego historii: zbiór najstarszych trunków tej fundacji. Najbardziej znaną z przechowywanych tam winnych „relikwii” jest słynne Steinwein z 1540 roku (rocznika uważanego za najlepszy w minionym tysiącleciu), pochodzące z winogron z cenionej okolicznej winnicy Würzburger Stein. Uznaje się je za najstarsze na świecie płynne wino. Przechowywana w piwnicach Bürgerspital kolekcja należy do najcenniejszych zbiorów win na świecie.

Największą z „wielkiej trójki” wüzburgskich winnic jest fundacja o charakterze charytatywnym założona w 1576 roku przez księcia-biskupa Juliusza Echtera z Mespelbrunn, obecnie nosząca jego imię – Juliusspital. Jego wizją było stworzenie wielofunkcyjnego ośrodka, w którym miał działać dostępny dla wszystkich mieszkańców diecezji przytułek dla

osób starszych i niepełnych (bezpłatny dla osób nieposiadających środków), szpital leczący chorych zgodnie z ówczesną wiedzą medyczną (szczególnie w zakresie chirurgii), dom dla ciężarnych niezamężnych dziewcząt i kobiet oraz placówka opiekuńcza dla sierot, a także schronisko dla pielgrzymów (korzystali z niego głównie podążający drogą św. Jakuba do Santiago de Compostela w Hiszpanii). Aby zapewnić szpitalowi niezależność finansową, władca wyposażył fundację w liczne posiadłości ziemskie, lasy oraz – co kluczowe dla dzisiejszej stawy tej instytucji – winnice. Obdarzył ją także piękną dewizą podkreślającą podmiotowość i godność osób ubogich: „Tibi derelictus est pauper – in praee pauperum spem habui” (Tobie jest powierzony ubogi – w modlitwie ubogich pokładam nadzieję).

Pod zarządem książąt-biskupów Juliusspital pozostawał do początków XIX wieku. Po odebraniu biskupowi władzy świeckiej nad terenami księstwa w 1803 roku został prawnie wyodrębniony. Obecnie funkcjonuje jako niezależna fundacja prawa publicznego, pozostając jednak pod pewnym wpływem Kościoła katolickiego. Przejawia się to między innymi w tym, że biskup diecezji wüzburgskiej z urzędu pełni funkcję przewodniczącego dziewięcioosobowej Rady Fundacji i powołuje kolejnych trzech jej członków.

W ramach Juliusspital działają dziś zintegrowane z bawarskim systemem opieki zdrowotnej i socjalnej oraz szkolnictwa zawodowego: szpital, domy dla seniorów oraz szkoły pielęgniarstwa i opieki

nad osobami starszymi. Podobnie jak w przypadku szpitala mieszczańskiego, pacjenci i podopieczni ponoszą pośrednio lub bezpośrednio pełne koszty świadczonych usług. Dochód z działalności gospodarczej – rolniczej (wraz z winnicami łącznie 1050 ha), lasów (3350 ha), a także przychody z licznych nieruchomości – przeznaczany jest głównie na bieżącą działalność oraz rozwój. W statucie deklarowane jest wsparcie bezrobotnych (fundacja nie prowadzi jednak punktu dla bezrobotnych), dożywanie ubogich i studentów (nie ma jadłodajni wydającej posiłki osobom z zewnątrz), a także doradztwo psychospołeczne dla osób chorych na epilepsję (to zadanie jest realizowane przez wyspecjalizowane biuro). Osoby w trudnej sytuacji finansowej mogą ubiegać się o preferencyjne warunki lub wsparcie w opłaceniu należności. Na stronach fundacji brakuje jednak konkretnych informacji dotyczących skali tej działalności, nie znajdziemy też wskazówek dla potencjalnie zainteresowanych. Ostatni „Pfründer” – osoba, która zgodnie z tradycją tej instytucji

wykupiła „miejsce” w domu opieki – został przyjęty w 1982 roku. Od tego czasu przyjmowanie pensjonariuszy jest rozliczane w ramach systemu ubezpieczeń.

Juliussspital zarządza ponad 180 hektarami winnic położonych w najlepszych lokalizacjach Frankonii, co czyni go drugim co do wielkości producentem wina w Niemczech. Jego siedziba – kompleks z piwnicami o długości około 250 metrów, wypełnionymi ogromnymi, bogato rzeźbionymi dębowymi beczkami, które przetrwały wojenne pożary dzięki solidnym sklepieniom – jest prawdziwą perłą architektury i zarazem przykładem niezwykle nowatorskiego podejścia do projektowania budynków przeznaczonych do tego typu zadań w swojej epoce. Znakomita większość areału winnic fundacji obsadzona jest odmianami dającymi białe wina: Silvaner zajmuje 43% powierzchni, Riesling około 20%, a winogrona Müller-Thurgau większość pozostałej części. Proporcje te odpowiadają strukturze upraw w całej Frankonii. Produkcja win czerwonych – głównie szczepu Spät-



Zabytkowe piwnice Staatlicher Hofkeller pod barokowym pałacem książąt-biskupów z XVIII wieku (Residenz). Regularnie odbywają się tu degustacje oraz różne wydarzenia towarzyskie regionu. Na stole widoczne są charakterystyczne dla Frankonii butelki Bocksbeutel, które chętnie wykorzystywane są jako świeczniki. Wikimedia Commons: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:W%C3%BCrzburg\\_Residenz\\_Staatlicher\\_Hofkeller\\_343.jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:W%C3%BCrzburg_Residenz_Staatlicher_Hofkeller_343.jpg)

burgunder – ma tu znacznie mniejszy udział i stanowi około 10% całego asortymentu. Skalę winiarstwa w regionie dobrze oddają dane statystyczne: w 2024 roku we Frankonii uzyskano 424 tys. hektolitrow moczku.

Współistnienie tych trzech winiarskich potęg w obrębie jednego miasta jest ewenementem na skalę światową. Każda z nich produkuje wina o odmiennym charakterze, lecz o równie wysokiej renomie. Dla regionu nie są to jedynie zakłady produkcyjne – to instytucje kulturowe, które od wieków mają wpływ na jego krajobraz i charakter. Zintegrowanie winiarstwa i wina z kulturą oraz codziennym życiem mieszkańców Würzburga widać na każdym kroku. Powszechna dostępność, wręcz wszechobecność wina nie budzi tu szczególnej refleksji – jest ono sprzedawane o każdej porze dnia i nocy. Najbardziej znanym miejscem jego wyszynku są winiarnie przy Starym Moście na Menie (Alte Mainbrücke), dzięki którym most niemal zawsze wypełniony jest miłośnikami tego trunku – przez cały dzień, do późnego wieczoru, o każdej porze roku. Winiarnia Hockerle w Bürgerspital, pierwszy tego typu lokal w Würzburgu (założony w 1873 roku), otwiera swoje podwoje o godzinie 9 rano – od poniedziałku do soboty – i szybko zapełnia się gośćmi, głównie seniorami. Pierwsze kieliszki można tu zamówić do przyniesionych ze sobą lub kupionych w okienku bułek, traktując je jako swoiste śniadanie.

Ta codzienna obecność wina znajduje odzwierciedlenie w statystykach dotyczących zagrożeń związanych z alkoholem: 15,3 procent dorosłych mieszkańców Niemiec w wieku 18–59 lat wykazuje ryzykowne spożycie alkoholu, co odpowiada liczbie około 7 milionów osób. Dane z ostatnich lat wskazują jednak na niewielki, lecz regularny, spadek konsumpcji, co – szczególnie w świetle najnowszych badań naukowych dowodzących, że każda ilość alkoholu jest szkodliwa – można uznać za zjawisko pozytywne.

---

*Dr Renata Skowrońska – kierowniczka Polskiej Misji Historycznej przy Uniwersytecie Juliusza i Maksymiliana w Würzburgu*



Winnica fundacji Bürgerspital w lokalizacji Würzburger Stein. We Frankonii winorośl uprawia się głównie na stromych zboczach. Charakterystyczny układ rzędów biegnących prostopadle w dół z oddali przypomina struny instrumentu, stąd nazwa tej parceli Stein-Harfe (Kamienna Harfa). Taki system uprawy ułatwia spływanie zimnego powietrza do doliny, chroniąc krzewy przed przymrozkami oraz zapewnia im dobre nasłonecznienie. Gęste nasadzenia zmuszają korzenie do szukania wody głęboko w wapiennym podłożu, co nadaje winom mineralną głębię. Wikimedia Commons: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Wuerzburg\\_Weinlage\\_Stein\\_Harfe\\_Buergerspital\\_230m5-IMG\\_20210820\\_1457.jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Wuerzburg_Weinlage_Stein_Harfe_Buergerspital_230m5-IMG_20210820_1457.jpg)

Maja Domaszek

## Szwëta na Kaszëbach – tradycje weselne między obrzędem, zabawą i pamięcią lëdu

Kaszubskie wesele – nazywane czasem *szwëta* albo *swata* – nie było jedynie prywatną uroczystością dwojga młodych ludzi. Dawniej stanowiło wydarzenie całej wspólnoty: rodziny, sąsiadów, wsi, parafii. Wesele zaczynało się właściwie jeszcze przed ślubem, wraz z zapraszaniem gości, przygotowaniem domu, poczęstunku i przedślubnych zabaw, a kończyło dopiero po poprawinach, kiedy młoda para wchodziła już w nowy porządek życia.

W opisach etnograficznych kaszubskie wesele jawi się jako obraz obrzędu barwnego, głośniego i pełnego znaczeń. Było w nim miejsce na religijną powagę ślubu, ale też na śmiech, żarty, tłuczenie szkła, bramy weselne, tańce, oczepiny i wspólna uczta. Wiele z tych zwyczajów miało charakter symboliczny, inne służyły przede wszystkim integracji.

Dziś kaszubskie wesela w wielu miejscach przypominają wesela organizowane w innych regionach Polski. Nie znaczy to jednak, że tradycja zniknęła. Nadal żywe są takie elementy jak *polterabend*, bramy

weselne, oczepiny, regionalne potrawy, stroje, pieśni czy wspomnienia dawnych zwyczajów. To właśnie w nich najlepiej widać, że kaszubskie wesele jest czymś więcej niż przyjęciem – jest opowieścią o przejściu, wspólnocie i pamięci.

### Przed szwëtã – zaproszëny, družba i przygotowania

Dawne wesele zaczynało się długo przed samym dniem ślubu. Ważną rolę odgrywał *družba*, czyli starosta weselny. To on, według dawnych przekazów, objeżdżał wieś konno i zapraszał ludzi na uroczystość. Nie było to zwykłe przekazanie informacji. *Družba* miał mówić dowcipnie, uroczyście, czasem żartobliwie, a przy tym występował w imieniu weselnego gospodarza i zapowiadał nadchodzące wydarzenie. W dużej wsi takie zapraszanie mogło trwać nawet kilka dni. Zaproszenie nie sprowadzało się wówczas do kartki czy wiadomości. *Družba* wchodził do domów, rozmawiał z gospodarzami, pił z nimi, żartował i włączał kolejne osoby w przygotowanie uroczystości. W ten sposób ślub stawał się sprawą całej lokalnej społeczności.

W dawnych opisach pojawia się także informacja, że ślub odbywał się zwykle we wtorek, a gości zapraszano wcześniej, najczęściej w czwartek poprzedniego tygodnia. Z czasem zwyczaj osobistego zapraszania zaczął zanikać, zwłaszcza gdy rozpowszechniły się zaproszenia wysyłane pocztą. Zmiana formy zaproszenia mówi więc wiele o przemianach kaszubskiej kultury – od wspólnoty bezpośrednich odwiedzin do bardziej nowoczesnego, zorganizowanego modelu uroczystości.

Przed weselem przygotowywano też dom, jedzenie, stroje i miejsce zabawy. Dawniej uczta często odbywała się w domu panny młodej albo w karczmie, a dopiero współcześnie przeniosła się do restauracji i domów weselnych. Niezależnie jednak od miejsca, najważniejsze pozostawało jedno: wesele miało być godne, gościnne i zapamiętane.



Fot. nadesłane

## Polterabend – szkło, hałas i szczęście młodej

Jednym z najbardziej rozpoznawalnych zwyczajów weselnych na Kaszubach jest *polterabend*, czyli przedślubne tłuczenie szkła. Odbywał się zwykle w przeddzień ślubu, najczęściej przy domu panny młodej. Goście, znajomi i sąsiedzi przynosili szklane przedmioty, talerze lub inne naczynia i rozbijali je przed domem. Im więcej hałasu i potłuczonego szkła, tym większe miało być szczęście młodej pary.

*Polterabend* bywał nazywany „głośną nocą”. Nie chodziło jednak tylko o hałas. Rozbijanie szkła miało znaczenie magiczno-symboliczne: hałas odpędzał złe moce, a potłuczone naczynia miały przyciągać pomyślność. Jednocześnie była to zabawa, w której brała udział cała wieś albo duża część sąsiedztwa. Ludzie przychodzili nie tylko tłuc szkło, ale także tańczyć, jeść, pić i śmiać się. W tym sensie *polterabend* był pierwszym akordem wesela – jeszcze nie ślubem, ale już początkiem wspólnotowej radości.

Dziś *polterabend* nadal jest praktykowany, choć jego forma może być skromniejsza albo bardziej symboliczna. Niekiedy odbywa się jako luźne spotkanie przed ślubem, innym razem jako duża sąsiedzka zabawa. Zmieniły się realia, ale sens pozostał podobny – przed wejściem w małżeństwo trzeba jeszcze raz głośno spotkać się z ludźmi, którzy będą temu małżeństwu życzyć szczęścia.

## Do kòscëta i nazòd – ślub, znaki i bramë weselné

Centralnym punktem wesela był oczywiście ślub kościelny. W tradycji kaszubskiej, podobnie jak w wielu regionach Polski, ceremonia religijna wyznaczała moment prawdziwego przejścia. Od tej chwili młodzi nie byli już narzeczonymi, lecz małżeństwem. W przekazach wspomina się, że zwracano uwagę na różne znaki i wróżby, na przykład na świece stojące na ołtarzu. Jasny płomień miał wróżyć szczęście.

Po ślubie następował powrót orszaku weselnego. I właśnie wtedy pojawiał się jeden z najbardziej widowiskowych zwyczajów: *bramë weselné*. Okoliczni mieszkańcy, sąsiedzi albo znajomi ustawiali na drodze przeszkody – symboliczne bramy, przez które młoda para musiała przejechać. Bywały one przyozdobione wstążkami, zabawkami, zielenią albo innymi przedmiotami. Zdarzało się, że bramę tworzyli po prostu ludzie, którzy zatrzymywali orszak i domagali się „opłaty”.

Najczęściej taką opłatą była butelka wódki, słodczyce albo drobne upominki. Współcześnie zwyczaj



Fot. nadesłane

ten bywa traktowany żartobliwie, ale dawniej miał także sens rytualno-symboliczny. Brama oznaczała próg: młodzi przechodzili z jednego stanu w drugi, a wspólnota zaznaczała swoją obecność przy tym przejściu. Nie można było po prostu przejechać i zniknąć – trzeba było zatrzymać się, porozmawiać, „wykupić” drogę i symbolicznie uzyskać zgodę sąsiadów.

Bramy weselne pokazują też charakter kaszubskiej obrzędowości. Powaga miesza się tu ze śmiechem. Z jednej strony mamy sakrament i uroczysty orszak, z drugiej – dzieci, sąsiadów i znajomych, którzy blokują drogę, żartują, śpiewają i domagają się datku. Właśnie w takim połączeniu najlepiej widać ludowy wymiar wesela: sacrum nie wyklucza zabawy.

## Brutci tanc – taniec z panną młodą i weselne dary

Jednym z ważnych elementów wesela był *brutci tanc* albo *brutci tonc*, czyli taniec z panną młodą. Goście mogli zatańczyć z młodą, ale za taki taniec należało dać prezent, dawniej na przykład złotą monetę. Taniec pełnił więc nie tylko funkcję rozrywkową. Był rodzajem rytuału społecznego. Każdy, kto tańczył z panną młodą, włączał się w świętowanie i jedno-



Fot. polona.pl

częście przekazywał młodym jakiś dar. W ten sposób wesele stawało się także formą wspólnotowej pomocy na początek nowego życia.

Dawniej ważne były również tańce „przy oknach”. Jeśli wesele odbywało się w karczmie lub izbie, osoby spoza głównej sali mogły obserwować zabawę z zewnątrz. Wesele nie było więc zamkniętym wydarzeniem wyłącznie dla zaproszonych. Nawet ci, którzy nie siedzieli przy stole, mogli uczestniczyć w atmosferze święta. Patrzyli, słuchali muzyki, komentowali i w ten sposób również stawali się częścią weselnej wspólnoty.

### Weselné jôdło – uczta, czarnina i dostatek

Kaszubskie wesele nie mogło obyć się bez jedzenia. Uczta weselna była czymś wyjątkowym, bo potrawy podawane w jej trakcie rzadko pojawiały się na stołach chłopskich w dni powszednie. Wesele było więc czasem dostatku – nawet jeśli rodzina na co dzień żyła skromnie, w dniu ślubu starano się przyjąć gości jak najlepiej.

Jednym z najważniejszych dań była czarnina z wiśniami. Uchodziła za potrawę uroczystą, kojarzoną z ważnym wydarzeniem i bogatszym stołem. Oprócz niej podawano inne dania mięsne, wypieki, napoje i poczęstunki zależne od zamożności gospodarzy. Jedzenie miało znaczenie społeczne. Gościnność była miarą honoru domu. Dobrze wyprawione wesele świadczyło o rodzinie, jej gospodarności i szacunku dla gości. Gdy w karczmie brakowało muzyki, tańców albo dobrej atmosfery, wyśmiewano

takie wesele powiedzeniem: *To le beło tacze wesele, jakbe psa za ogon wekrącył*. Takie przysłowie pokazuje, że wesele oceniano nie tylko po jedzeniu, ale też po radości, ruchu, śmiechu i muzyce.

Uczta weselna była również momentem pokazania różnic majątkowych. Bogatsze rodziny mogły pozwolić sobie na większą liczbę gości i bardziej wystawne potrawy. W opracowaniach pojawia się informacja, że dawniej liczba gości mogła wynosić nawet 150–250 osób. Wesele było więc dużym przedsięwzięciem ekonomicznym. Dziś koszty wesela również są ważnym tematem, choć zmieniły się zasady organizacji: przyjęcia odbywają się częściej w lokalach, a płatności dzieli się według współczesnych ustaleń rodzinnych.

### Òczepinë – wianek, czepek i nowy status białczy

Jednym z najważniejszych momentów wesela były *òczepinë*. Odbywały się zazwyczaj około północy. Pannie młodej zdejmowano z głowy wianek, a zakładano biały czepek. Ten gest oznaczał zmianę statusu: dziewczyna stawała się mężatką, czyli *białką*.

Należące do najstarszych i najbardziej symbolicznych części wesela, *òczepinë* odgrywają wyjątkową rolę w tradycji ślubnej. Wianek kojarzył się z panieństwem, młodością i stanem dziewczęcym. Czepek oznaczał wejście do grona kobiet zamężnych. Nie była to więc wyłącznie zabawa, choć współcześnie *òczepinë* często mają charakter konkursów i żartów. Dawniej ich sens był poważniejszy:

publicznie potwierdzały przemianę społeczną panny młodej.

W dawnych opisach pojawia się także zwyczaj kładzenia na kolanach panny młodej niemowlęcia płci męskiej. Zabieg ten miał zapewnić młodej parze płodność. Widzimy tu wyraźnie dawną warstwę obyczajową, w której gesty symboliczne miały oddziaływać na przyszłość małżeństwa: na potomstwo, szczęście i ciągłość rodu.

*Öczepinë* łączyły więc w sobie kilka znaczeń naraz. Były pożegnaniem panieństwa, przyjęciem do grona mężatek, wróżbą płodności i jednym z najważniejszych punktów nocnej zabawy. Współcześnie dawny wianek zastąpił welon, ale sama logika przejścia wciąż jest czytelna. Nadal o północy dzieje się „coś ważnego” – coś, co domyka pierwszy etap wesela i otwiera jego drugą, bardziej swobodną część.

### Babine i poprawinë – po weselu jeszcze raz

Kaszubskie wesele nie kończyło się wraz z ostatnim tańcem pierwszej nocy. Ważne były także *poprawinë*, a w niektórych opisach pojawia się nazwa *babine*. Miały one charakter dalszego świętowania, często już w mniejszym gronie, bardziej rodzinnym i sąsiedzkim.

*Poprawinë* pozwalały przedłużyć czas weselny. Jeśli samo wesele było momentem przejścia, to *poprawinë* można rozumieć jako jego łagodne domknięcie. Goście spotykali się ponownie, jedli to, co zostało z uczyty, rozmawiali, śpiewali i wspominali wydarzenia poprzedniego dnia. W dawnych realiach, gdy przyjazd na wesele wymagał czasu i wysiłku, kilkudniowe świętowanie było bardziej naturalne niż dziś.

W bogatszych rodzinach zabawa mogła trwać kilka dni, a nawet dłużej. Współcześnie wesela są zwykle krótsze, choć *poprawinë* nadal pozostają popularne. Zmieniła się ich skala, ale nie zniknęła potrzeba wspólnego domknięcia uroczystości.

Wesele nie było zatem jednorazowym wydarzeniem, lecz procesem. Najpierw zaproszenie, potem *polterabend*, *ślub*, *bramë*, *uczta*, *öczepinë*, a na końcu *poprawinë*. Każdy z tych etapów miał swoje miejsce i sens. Razem tworzyły całość – od panieństwa i kawalerstwa do małżeństwa, od domu rodzinnego do nowego życia.

### Strój, pieśni i pamięć regionalną

W tradycjach weselnych ważną rolę odgrywały także stroje, muzyka i pieśni. Współczesne źródła



Fot. polona.pl

muzealne i regionalne podkreślają znaczenie kaszubskiego stroju ludowego, również w kontekście obrzędów ślubnych. Strój nie był tylko ozdobą. Pokazywał przynależność do regionu, stanowił znak uroczystości i podkreślał wyjątkowość dnia.

Wesele było również przestrzenią muzyki. Orkiestra, śpiewy, przyśpiewki i tańce budowały atmosferę. W dawnych opisach widać, że dobre wesele musiało być głośne, żywe i taneczne. Bez muzyki i tańca traciło swój sens. Stąd żartobliwe powiedzenia o nieudanym weselu, w którym zabrakło odpowiedniej zabawy.

Dziś elementy regionalne pojawiają się różnie. Czasem są obecne w stroju, czasem w muzyce, czasem w potrawach albo w samym odwołaniu do zwyczajów. Nie zawsze są praktykowane w pełnej dawnej formie, ale często trwają jako znak tożsamości. Ważną rolę w zachowaniu pamięci pełnią także muzea, skanseny, festiwale i inscenizacje. Dzięki nim dawne obrzędy można zobaczyć, opisać i przekazać kolejnym pokoleniom. Kaszubskie wesele staje się wtedy nie tylko rodzinną uroczystością, lecz także częścią dziedzictwa kulturowego.



Fot. polona.pl

### Dôwni i dzysdôj – przemiany kaszubskiego wesela

Współczesne kaszubskie wesele różni się od dawnego. Nie oznacza to jednak zerwania ciągłości. Przeciwnie: wiele zwyczajów nadal trwa, choć zmienia swój kształt. *Polterabend* wciąż bywa praktykowany. *Bramë weselné* zatrzymują orszak. *Ôczepinë* nadal pozostają punktem kulminacyjnym nocy.

W tradycjach weselnych na Kaszubach szczególnie ciekawe jest połączenie elementów religijnych, ludowych i wspólnotowych. Ślub kościelny nadaje uroczystości powagę, ale obok niego istnieją praktyki starsze, symboliczne, czasem żartobliwe. Wszystko to tworzy bogaty rytuał przejścia.

Kaszubskie wesele można więc czytać jako opowieść o zmianie. Młodzi przechodzą z jednego etapu życia w drugi, ale nie robią tego samotnie. Towarzyszy im rodzina, sąsiedzi, *družba*, muzycy, goście, dzieci budujące bramy i kobiety uczestniczące w *oczepinach*. Właśnie dlatego wesele jest tak ważne – pokazuje, że małżeństwo jest prywatną decyzją, ale społecznym wydarzeniem.

Dziś wiele dawnych sensów nie jest już odczytywanych tak dosłownie. Mało kto wierzy, że liczba potłuczonych talerzy naprawdę przesądzi o szczęściu małżeństwa. A jednak ludzie nadal tłuką szkło, stawiają bramy, tańczą, śmieją się i zbierają się razem. To znaczy, że tradycja nie musi trwać w niezmięnionej formie, by pozostać żywa. Wystarczy, że nadal pozwala wspólnocie powiedzieć młodym: *niech wama sã darzi*.

### Słowôrzék – wybróné słowa i zwroty kaszubsczé

- babine – poprawiny
- białka – mężatka, kobieta po ślubie
- bramë weselné – bramy weselne
- brutci tanc / brutci tonc – taniec z panną młodą, za który należało przekazać dar lub pieniądze
- družba – starosta weselny
- Kaszëbë – Kaszuby
- niech wama sã darzi – niech wam się szczęści, niech się wam dobrze wiedzie.
- ôczepinë – oczepiny
- polterabend – przedślubny zwyczaj tłuczenia szkła przed domem panny młodej, mający zapewnić szczęście młodej parze
- poprawinë – poprawiny
- swata / szwëta – ślub lub wesele
- weselné jôdło – jedzenie weselne, uroczysty poczęstunek.

### Literatura

- Dolatowski D. 2021: *Kartuskie zeszyty muzealne*, nr 6.
- Gulgowski I. (red.) 1913: *Kaszubi na tle etnografii Polski*.
- Kizewski P.: *Kaszubskie wesele dawniej i dzisiaj – zwyczaje oraz tradycje*. NaszeSzlaki.pl. Temat 22: *Kaszubskie obrzędy i zwyczaje* (cz. IV).
- Kwaśniewska A. 2019: *Endogamia i zwyczaje małżeńskie na Kaszubach a kwestia tzw. genu kaszubskiego*. „Studia Etnologiczne i Antropologiczne”, nr 19, s. 83–99.
- Kwaśniewska A. 2023: *Niematerialne dziedzictwo kulturowe wsi Pomorza Zachodniego – przemiany i stan współczesny*. „Przegląd Zachodniopomorski”, t. 38 (67), s. 416–447.



Lic. Maja Domasz – pracownik Wydawnictwa Naukowego UMK, studentka II roku II stopnia filologii polskiej na Wydziale Humanistycznym UMK

Aleksander Smoliński

## Wojciech Kossak, jakiego nie znamy

O tym, że Wojciech Kossak był wielkim, znanym nie tylko w Polsce, malarzem batalistycznym wiedzą niemal wszyscy. Znacznie mniej natomiast powszechna jest wiedza, że był on też niezłym znawcą zarówno dawnej polskiej, jak i europejskiej historii wojskowej, a także artystą posiadającym sporą wiedzę na temat tzw. broni i barwy.

Jednak najściślej przebadanymi epizodami z życia tego artysty są jego służba w kawalerii Cesarsko-Królewskiej Armii Austro-Węgierskiej oraz służba w jeździe Wojska Polskiego w latach 1918–1919. Po 11 listopada 1918 r. wziął on bowiem udział w formowaniu ochotniczych szwadronów wojewódzkich.

Formowanie szwadronów wojewódzkich, w tym również oddziału organizowanego przez Wojciecha Kossaka, które miało miejsce w pierwszym okresie odradzania się niepodległego państwa polskiego przypominało dawne tradycje pospolitego ruszenia oraz wojsk wystawianych przez powiaty i województwa koronne w XVII w., a także jazdy autoramentu narodowego i następnie kawalerii narodowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów w XVIII w. Było też żywym odbiciem nieco późniejszych wzorów zastosowanych przy tworzeniu jazdy w pierwszym okresie istnienia Księstwa Warszawskiego i jego armii oraz w trakcie wojny polsko-austriackiej z 1809 r., jak również podczas znaczącej rozbudowy jej formacji w czasie powstania listopadowego i wojny polsko-rosyjskiej z lat 1830–1831 r.

### Formowanie i dzieje szwadronów wojewódzkich

Zgodnie z zarządzeniami powstających w październiku i listopadzie 1918 r. polskich władz wojskowych, obok formacji innych broni oraz odpowiednich wojsk i służb, miało zostać sformowanych także najpierw 16, a ostatecznie 13 ochotniczych szwadronów wojewódzkich. Pierwotnie szwadrony te miały być organizowane w następujących garnizonach: w Zamościu, Lublinie oraz w Siedlcach, Łomży, Płocku, Włocławku, Łowiczu, Kaliszu, Łodzi, Kielcach, Piotrkowie i Częstochowie. Plany te nie zawsze były jednak możliwe do zrealizowania. Ludzi



Wojciech Kossak

dla nich – przede wszystkim oficerów oraz podoficerów – powinny dostarczyć konspiracyjne koła koleżeńskie byłych Korpusów Polskich w Rosji, głównie zaś I Korpusu. Próbę realizacji tych planów, choć zmodyfikowanych, podjęto już w końcu października i w listopadzie 1918 r.

Początkowo miały być one traktowane jako wojsko lokalne obarczone zadaniem utrzymania ładu i porządku wewnątrz kraju. Przy ich formowaniu liczone na ofiarność społeczeństwa, w szczególności na ziemiaństwo i zamożnych chłopów, od których spodziewano się pozyskać konie oraz niezbędną do ich utrzymania furazę, a także żywność dla ludzi. Z biegiem czasu – wobec nieuniknionej wojny na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej – szwadrony wojewódzkie zamierzano przekształcić w kawalerię regularną. Ostatecznie garnizonami szwadronów



Wojciech Kossak, Portret własny z paletą

wojewódzkich miały być następujące miasta byłego Królestwa Polskiego: Warszawa, Siedlce, Lublin, Radom, Kielce, Piotrków, Częstochowa, Łódź, Kalisz, Łowicz, Włocławek, Ciechanów i Łomża. Po wydaniu odpowiednich rozkazów i zarządzeń szybko zaczęły powstawać pierwsze szwadrony, zwane niekiedy szwadronami „lokalnymi”.

W rzeczywistości polskiej końca 1918 r. i początku roku następnego jazda skupiała w sobie ogromny procent społecznego entuzjazmu, który uwolnił fakt odzyskania przez nasz kraj niepodległości. Ochotników do tej broni – uważanej za narodową – nie brakowało i szczególnie w początkowym okresie jej tworzenia zapewniali oni prawie w całości jej szeregi, przy czym zjawisko to było charakterystyczne dla jazdy Wojska Polskiego jeszcze przez cały rok 1919. Do służby ochotniczej w kawalerii wstępowała zaś głównie młodzież uniwersytecka oraz gimnazjalna, a także młodzież pochodząca ze sfer ziemiańskich, które oddały ogromne usługi przy formowaniu jaz-

dy, w tym szwadronów wojewódzkich, przekazując na ich potrzeby – między innymi – sporą część koni. Chętnych do służby nie brakowało również pośród chłopów, a także spośród rzemieślników, a nawet robotników, choć tych ostatnich było zapewne najmniej. Dominowali ludzie młodzi, pomiędzy 17 a 24 rokiem życia, posiadający pewne „domowe” wykształcenie w zakresie jazdy konnej i opieki nad wierzchowcem czy też w strzelaniu, którzy po krótkim przeszkoleniu szybko odchodzili na front. Ochotnicy mieli się stawiać do szwadronów z własnym umundurowaniem oraz z końmi. Państwo i wojsko miały dostarczyć jedynie uzbrojenie oraz rzędy końskie. Pierwsze szwadrony wojewódzkie zaczęły powstawać po 4 listopada 1918 r.

### Szwadron Jazdy Ziemi Łowickiej

Obowiązkową służbę wojskową w armii austro-węgierskiej Wojciech Kossak odbył w latach 1876–1877 r. jako jednoroczny ochotnik (Einhahrigefreiwilliger) w 1. Regimentzie Ułanów generała Brudermanna. Jako oficer rezerwy kawalerii austriackiej brał udział w I wojnie światowej. Od 1 lipca 1914 r. do 1 maja 1915 r. był oficerem ordynansowym w sztabie I Korpusu 1. Armii generała Victora Dankla. Następnie do 1 września 1915 r. taką samą funkcję pełnił w dowództwie 45. Dywizji Piechoty, po czym już do końca Wielkiej Wojny, mianowicie do 1 października 1918 r. służył w Kwaterze Prasowej Cesarsko-Królewskiej Armii Austro-Węgierskiej. Dymisję z szeregów tej armii otrzymał 1 listopada tego roku.

Jednak jego sława malarza batalisty oraz osobiste kontakty towarzyskie wśród ówczesnych elit cesarsko-królewskiej, i nie tylko, arystokracji, a także wspomniane powyżej przydziały służbowe spowodowały, iż praktycznie nie uczestniczył w bezpośrednich działaniach frontowych. Stąd też jego kwalifikacje dowódcze nie mogły być najwyższej próby. Pomimo własnego przekonania, był znacznie lepszym malarzem niż żołnierzem.

W szeregach Wojska Polskiego, w stopniu rotmistrza, formalnie przyjęto go bezpośrednio z Cesarsko-Królewskiej Armii Austro-Węgierskiej na mocy Reskryptu Rady Regencyjnej z dnia 5 listopada 1918 r. Do 1 grudnia 1918 r. pełnił funkcję adiutanta ówczesnego szefa Sztabu Generalnego generała porucznika Tadeusza-Jordana Rozwadowskiego. Następnie od 1 grudnia 1918 r. do 1 lutego 1919 r. był „komendantem Szwadronu Jazdy Łowickiej.”

Formowanie przez rotmistrza Wojciecha Kossaka 1. Szwadronu Jazdy Ziemi Łowickiej rozpoczęło się 13 listopada 1918 r. w Łowiczu, w koszarach przy ówczesnej ulicy Podrzecznej, niemal natychmiast po odebraniu miasta z rąk niemieckich. Jednakże oficjalny rozkaz szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego L. 17 ukazał się dopiero dwa dni później. Napisano w nim: „[...] rozkazuję przystąpić do tworzenia w powiecie błońskim Szwadronu Jazdy Województwa Łowickiego. Dowództwo szwadronu powierza się rotmistrzowi Wojciechowi Kossakowi”. Wynika więc z tego, że funkcję tę otrzymał on w momencie, gdy formalnie był jeszcze adiutantem szefa Sztabu Generalnego.

Ówczesne Mazowszenie było najdogodniejszym obszarem do tworzenia wojska. Niepokoje na wsi oraz inspirowane przez rodzimych komunistów i radykalną lewicę konflikty społeczne utrudniały proces organizacji struktur odradzającego się państwa i jego armii, która – głównie zaś służący w jej szeregach szeregowi – od początku swego istnienia stała się obiektem zainteresowania radykalnych – prosowieckich i wywrotowych – ugrupowań lewicowych. Poza tym organizowane wówczas oddziały Milicji

Ludowej często wykorzystywane były jako argument siły w toczących się wtedy sporach politycznych, przy czym kontrolę nad nimi próbowali przejąć rodzimi komuniści. Działanie w takiej rzeczywistości wymagało taktu i politycznego umiaru. Tymczasem rotmistrz Wojciech Kossak nie ukrywał swych krytycznych poglądów na temat rządów polskiej lewicy niepodległościowej oraz osoby Tymczasowego Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Poza tym zachował też sporo niekorzystnych cech wojskowego sposobu życia, które wyniósł z wcześniejszej służby w kawalerii Cesarsko-Królewskiej Armii Austro-Węgierskiej. Wydaje się, iż taka postawa wywarła pewien istotny wpływ na późniejsze wydarzenia związane z dziejami tworzonego przez niego szwadronu.

W Łowiczu w tym czasie powstawał również 2. Szwadron 2. Pułku Ułanów. W związku z tym, najprawdopodobniej w końcu listopada, oddział przeniesiono z Łowicza do Błonia pod Warszawą. Tam nadal trwały prace nad jego organizacją. Kadre szwadronu stanowili głównie żołnierze pochodzący z byłego I Korpusu Polskiego w Rosji. Natomiast ochotnicy rekrutowali się w znacznej części spośród



Wojciech Kossak, 1920

młodzieży ziemiańskiej. Tak w 1926 r. napisał o nich oraz o ich dowódcy, a także o początkach historii szwadronu pierwszy dziejopis Pułku 3. Ułanów major Stanisław Laudański:

Szwadron [...] składał się przeważnie z młodzieży obywatelskiej, której zapał do służby wojskowej dość szybko ostygł, pomimo, że nie była ona dla nich zbyt uciążliwa. Była to młodzież o dobrych chęciach, lecz jako przyzwyczajona do wygod, mało odporna na niezwykle dla niej warunki życia koszarowego. Dowódca szwadronu, człowiek wysoce kulturalny i europejski, przy tym gorący patriota, wstąpił do szeregów wojska z pobudek głównie romantycznych, nie zdając sobie dokładnie sprawy, jak trudnym było w warunkach ówczesnych zadanie dowódcy ochotniczego, samodzielnego oddziału. Szwadron był rozkwaterowany w fabrycznej miejscowości w pobliżu takiego przemysłowego ośrodka, jakim jest Żyrardów. Miejscowe sfery robotnicze niechętnym okiem patrzyły na to 'pańskie' wojsko. Gdy zaś rotmistrz Kossak począł interweniować w strajkach fabrycznych organizacje lewicowe wraz z Milicją Ludową postanowiły szwadron rozbroić.

Pomimo poważnych braków w koniach i uzbrojeniu oraz w umundurowaniu i wyekwipowaniu, a także w wyszkoleniu 22 grudnia szwadron złożył w Błoniu przysięgę połączoną z nabożeństwem w miejscowym kościele. Zbliżał się bowiem termin jego odejścia na front. Był to wynik rozkazu szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, który na dzień 19 grudnia wyznaczył mu termin osiągnięcia gotowości marszowej.

Plany te pokrzyżował zatarg z miejscowym oddziałem Milicji Ludowej. Jego bezpośrednią przyczyną były różnice w poglądach politycznych na temat ustroju niepodległej Polski. Ponadto stan dyscypliny w 1. Szwadronie Jazdy Ziemi Łowickiej pozostawiał wiele do życzenia, za co pewną odpowiedzialność ponosił niewątpliwie sam jego dowódca. Efektem tej sytuacji była nieudana próba rozbrojenia szwadronu, która miała miejsce 24 grudnia 1918 r. Dokonali jej ludzie związani z Polską Partią Socjalistyczną oraz z podległą jej Milicją Ludową. Do wypadków tych doszło podczas służbowego wyjazdu rotmistrza Wojciecha Kossaka do Krakowa, Przemyśla i Lwowa po rzędy końskie. Funkcję dowódcy pełnił wtenczas porucznik Aleksander Łubieński.

Sam zainteresowany tak opisywał to wydarzenie w liście do żony:

Pewnie już wiesz z gazet, że podczas mojej nieobecności banda bolszewików w sile 120 uzbrojonych ludzi, o świcie, z pomocą zdrajców w samym szwadronie, wtargnęła do koszar i do kwater oficerskich i trzymając rewolwery do strzału kazała wydać broń. Sterroryzowani rekruci nie stawiali oporu, oficerowie mając lufy przy czole tak samo. Na szczęście jeden z ułanów, przytomny [...] krzyknął: 'Samochód pancerny jedzie z Warszawy!' Na to wszystko w nogi, ułani za broń swoją i z tych bandytów 30, pobiwszy srodze zatrzymali.

Strat nie było żadnych, ale sam fakt wystarczył, aby Piłsudski, który z tymi bandytami trzyma i proteguje [...] raptem lojalny szwadron błoński rozwiązuje [...]. To że ja byłem właśnie nieobecny, ratuje mnie od wszelkiej odpowiedzialności. [...] Naturalnie, że historia jest nie miła, jedni mówią, co mnie cenia, że bolszewiki skorzystali z tego, że Kossaka wysłano po siodła, a drudzy mówią, że nie było dostatecznie energicznych zarządzeń, aby się przed tym ustrzec. Jedni i drudzy mają rację. [...] Formowanie szwadronu wśród gniazda bandyckiego, jak Żyrardów, Grodzisk i Leszno<sup>1</sup>, z rekrutów nie umiających nawet strzelać było nonsensem takim jak trzymać szkołę w palącym się budynku.

Znacznie spokojniejszy oraz bardziej obiektywny był natomiast oficjalny meldunek, jaki 27 grudnia na ten temat złożyło dowództwo szwadronu. Podobny w tonie był też raport napisany przez rotmistrza Wojciecha Kossaka dnia 1 stycznia 1919 r. Z dokumentów tych wynika, iż po rozbrojeniu warty dokonano rewizji kwater oficerskich, po czym zwrócono broń szwadronowi. Zginęło jednak jedno siodło oraz kilka karabinów. „Wyprawa” zorganizowana w celu odzyskania skradzionej broni zakończyła się fiaskiem. W efekcie tego zajścia w Błoniu i okolicach ogłoszono stan wojenny.

Tak zaś wydarzenia te opisał wspomniany wcześniej major Laudański:

[...] w noc wigilijną, korzystając z tego, że dowódca i wszyscy oficerowie wyjechali na urlopy

<sup>1</sup> Wojciech Kossak w taki sposób określił duże skupiska ludności robotniczej.

święteczne, przy czym niektórzy samowolnie. Po obfitych wigilijnych libacjach cały szwadron zasnął snem świątecznym, zapomniawszy rozstawić warty. Skutkiem tego było, że bojowe organizacje robotnicze i członkowie Milicji Ludowej [...] nie mieli wielkiej trudności w zagarnięciu broni [...].

Po tym fakcie został wysłany 28 XII 1918 r. pluton 2-go Szwadronu Pułku 3 Ułanów do Błonia dla objęcia garnizonu [...]. Robotnicy zwrócili mu broń szwadronu wojewódzkiego dobrowolnie.

Jednym ze skutków tych wydarzeń była kara 14 dni aresztu średniego, która 27 grudnia wymierzona została plutonowemu Aleksandrowi Golence. Podoficerowi temu zarzucono bowiem „niedożór nad wartą”, co miało być bezpośrednią przyczyną takiego ich przebiegu.

Nie był to jednak finał całej sprawy. Miała ona zbyt poważny charakter, aby wystarczyły zwyczajne środki dyscyplinarne. Dlatego też dnia 28 grudnia 1918 r. ukazał się rozkaz Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego następującej treści:

Z powodu zajścia w szwadronie wojewódzkim w Błoniu [...], gdzie wskutek braku odpowiednich zarządzeń dla zabezpieczenia i służby wewnętrznej możliwe było, że tłum z setki ludzi był w stanie wtargnąć do koszar i szwadron rozbroić, zarządzam rozwiązanie tegoż szwadronu i dochodzenie sądowe w sprawie zajścia. Oficerowie, ludzie, konie i materiał szwadronu zostają rozdzieleni na 3 pułki uł. Fakt rozbrojenia szwadronu przez garstkę napastników świadczy nie tylko o braku organizacji i dyscypliny, ale jest dowodem, że nie wpojono w żołnierza najprostszych zasad poczucia żołnierskiego. [...]

Broń daje naród żołnierzowi nie po to, aby ją składał, lecz by nią bronił najżywotniejszych jego interesów.

Tak więc 1. Szwadron Jazdy Ziemi Łowickiej został rozwiązany. Trudno się też temu dziwić. Należało stworzyć wystarczająco odstraszący przykład dla innych formacji, aby w przyszłości uniknąć podobnych wypadków. Warto tutaj też zauważyć, iż rozkaz ten mocno tchnie duchem osiemnastowiecznej i dziewiętnastowiecznej europejskiej tradycji wojskowej, gdzie honor był najwyższą wartością



Rotmistrz Wojciech Kossak podczas służby w Pułku 3. Ułanów — wiosna—latao 1919 r.

Źródło: K. Olszański, *Wojciech Kossak*, Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk—Łódź 1982, s. 32.

oddziału oraz służących w jego szeregach oficerów i szeregowych, najsurowszą karą za czyny mu przeciwne było zaś właśnie jego wymazanie z *Ordre de Bataille* armii, a w najlepszym przypadku utrata posiadanego wcześniej wysokiego starszeństwa.

Rzeczywisty proces likwidacji szwadronu trwał jednak aż do 1 lutego 1919 r., przy czym wbrew rozkazowi Naczelnego Wodza jego majątek oraz żołnierzy praktycznie w całości przejął Pułk 3. Ułanów. Barwy tego pułku założył również rotmistrz Wojciech Kossak, który jeszcze przez pewien czas pozostał w szeregach polskich sił zbrojnych jako zastępca szefa Komisji Ubiorczej, której zadaniem było opracowanie nowego munduru polowego dla Wojska Polskiego. Jednak po zakończeniu jej prac w grudniu 1919 r. opuścił szeregi armii i jako oficer rezerwy Pułku 3. Ułanów powrócił do pędzla i sztalugi. Miał już bowiem 63 lata „[...] i bardzo dużo jeszcze nowych pomysłów i tematów do malowania”.

Dzieje szwadronu organizowanego przez Wojciecha Kossaka są dobrym potwierdzeniem tezy, iż wartość wojska w znacznym stopniu zależy od jakości jego dowódców. Tym ostatnim zaś nie zawsze wystarczą dobre chęci i nienaganne maniery, aby stworzyć wartościową i bojową formację. Obok zwykłego ludzkiego i żołnierskiego szczęścia koniecznym jest jeszcze posiadanie przez nich odpowiedniej wiedzy fachowej, zdolności organizacyjnych, zapatu i wytrwałości oraz umiejętności nawiązywania kontaktu z podwładnymi. Której z tych cech zabrakło Wojciechowi Kossakowi?

### Bibliografia selektywna

- Smoliński A., *Dzieje szwadronów wojewódzkich formowanych w końcu 1918 r. przez braci Wojciecha i Tadeusza Kossaków (listopad 1918–czerwiec 1919 r.)*, [w:] *Drogi do niepodległości. Ziemia polska w dobie odbudowy Państwa Polskiego*. Studia pod red. Z. Karpusa i M. Wojciechowskiego, Toruń 2003.
- Smoliński A., *Szwadrony wojewódzkie Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej (koniec 1918 – marzec 1919 r.)*

*oraz ich historyczne pierwowzory*, [w:] *Najjaśniejsza Rzeczypospolita. Studia ofiarowane Profesorowi Andrzejowi Stroynowskiemu*. Praca zbior. pod red. M. Durbas, Częstochowa 2019.

Smoliński A., *Ochotnicze formacje jazdy organizowane przez Tadeusza i Wojciecha Kossaków (listopad 1918 – marzec 1919 r.)*. Przyczynek do dziejów szwadronów wojewódzkich Wojska Polskiego, „Res Gestae. Czasopismo Historyczne”, Instytut Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Pedagogicznego im. Edukacji Narodowej w Krakowie, Kraków 2021, nr 13.

Smoliński A., Strzeżek T., *Do szarży marsz, marsz... Studia z dziejów kawalerii. Tom 9. Z potrzeby chwili. Mobilizacja jazdy w warunkach powstania i wojny polsko-rosyjskiej w końcu 1830 i w 1831 r. oraz w pierwszym okresie walk o niepodległość i granice na przełomie 1918 i 1919 r.*, Toruń 2021.

Prof. dr hab. Aleksander Smoliński — Katedra Historii Wojskowej na Wydziale Nauk Historycznych UMK



Wojciech Kossak, Olszynka Grochowska

## Nagroda Historyczna „Polityki”

Monografia autorstwa dr Izabeli Mrzygłód pt. *Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym* opublikowana przez Wydawnictwo Naukowe UMK otrzymała Nagrodę Historyczną „Polityki” im. Mariana Turskiego w dziale „Debiut w kategorii prac naukowych lub popularnonaukowych”. Spośród ponad 200 książek wydanych w ubiegłym kapitula jury tradycyjnie nagrodziła 5 tytułów w różnych kategoriach.

Nagrody Historyczne „Polityki” to ceniony w środowisku badaczy, publicystów, dziennikarzy i czytelników konkurs, w którym wyróżniane są – jak czytamy w regulaminie – „publikacje książkowe o tematyce dotyczącej najnowszej historii Polski (od 1914 roku) opublikowane w języku polskim (w tym także książki autorów zagranicznych przetłumaczone język polski)” (polityka.pl).

Dr Izabela Mrzygłód jest historyczką i redaktorką, absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego. Obecnie pracuje w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie, a także współpracuje z Polską Akademią Nauk.

Uhonorowana w tym roku książka Wydawnictwa Naukowego UMK została opublikowana w serii Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.



Fot. WN UMK

Marcin Lutomierski



Uroczystość wręczenia nagród w siedzibie tygodnika „Polityka” (fot. Marcin Lutomierski)

Marcin Lutomiński

# Józef Czapski – szkic do portretu

Był malarzem, żołnierzem, pierwszym badaczem zbrodni katyńskiej, organizatorem życia kulturalnego, diarystą, memuarystą, eseistą oraz krytykiem artystycznym i literackim. Od 1939 r. przebywał poza Polską – jako więzień, uchodźca i emigrant polityczny. Nigdy nie powrócił do ojczyzny. Mowa o jednym z Patronów Roku 2026.

## Arystokrata...

Józef Czapski urodził się w 1896 r. w Pradze, a zmarł w 1993 r. w Maisons-Laffitte. Był synem Jerzego Hutten-Czapskiego i Józefy Leopoldyny z domu Thun-Hohenstein. Pochodził z rodziny arystokratycznej i kosmopolitycznej, która była skoligacona z najszlachetniejszymi i bardzo wpływowymi rodami ówczesnej Europy, czego można dowiedzieć się m.in. z książki autorstwa jego siostry, Marii Czapskiej, pt. *Europa w rodzinie*.

Polskość była dla Czapskiego świadomym wyborem, dokonany pod wpływem lektur, m.in. Stanisława Brzozowskiego i Stefana Żeromskiego. Józef kształcił się najpierw w domu (zgodnie z arystokratyczną tradycją), a później w Petersburgu (krótko), Krakowie i Warszawie. Jego największą życiową pasją było malarstwo, ale nie mógł mu poświęcić

zbyt wiele czasu ze względu na udział w wojnie polsko-bolszewickiej i wojnie obronnej 1939 r., pobyt w obozach jenieckich w Rosji, służbę w tzw. armii Andersa i współtworzenie Instytutu Literackiego, a zwłaszcza miesięcznika „Kultura” (redagowanego przez Jerzego Giedroycia). Jako malarz należał do grupy tzw. kapistów (nazwa od Komitetu Polskiego), de facto: kolorystów, z którymi wyjechał do Francji (1924–1931). Ze względu na okoliczności wojenne częściej rysował, a później wrócił do malarstwa, któremu pozostał wierny niemal do końca życia (miał wystawy twórczości w różnych galeriach europejskich).

Życie Czapskiego można by skrótkowo przedstawić w formie realnych i zarazem symbolicznych miejsc, w których przebywał: dzieciństwo spędził w rodzinnym pałacu i majątku Przyłuki niedaleko Mińska, w młodości kształcił się w różnych miastach Europy, natomiast II wojna światowa sprawiła, że wędrował po kilku kontynentach, a po jej zakończeniu zamieszkał w jednym pokoju, w domu pod Paryżem, razem z innymi emigrantami, tworzącymi Instytut Literacki. Warto również dodać, że zrezygnował z używania części nazwiska: Hutten.

## Ocalony z nieludzkiej ziemi

Józef Czapski trafił do niewoli sowieckiej we wrześniu 1939 r. i przebywał w obozach: Starobielsk, Pawliszczew Bor i Griazowiec. Dzięki interwencji rodziny i ambasadorów różnych krajów był jednym z bardzo nielicznych oficerów, którzy uniknęli rozstrzelania, o czym dowiedział się znacznie później. Po opuszczeniu obozu w ramach tzw. amnestii (w efekcie podpisania układu Sikorski–Majski) na osobiste polecenie gen. Władysława Andersa aktywnie i niestety bezskutecznie poszukiwał tysięcy zaginionych oficerów – jeżdżąc po różnych zakątkach Związku Sowieckiego, zanim jeszcze zostały odkryte masowe groby tych skrycie zamordowanych żołnierzy.

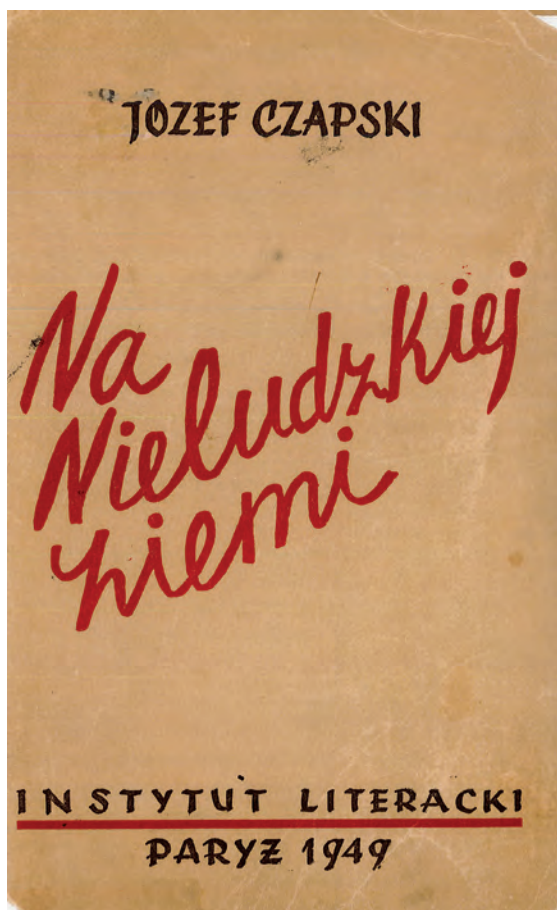
Ten sam dowódca mianował później Czapskiego szefem różnych komórek/oddziałów (nazwy zmieniały się) wojskowych służących informacji i propagandzie. Te nieliczne grupy osób nadzorowane przez majora Czapskiego nie tylko dbały o *public relations*



Fot. paryskakultura.com

Armii Polskiej i sprawy niepodległościowe, lecz także podnosiły morale żołnierzy, dodawały otuchy ludności cywilnej ewakuowanej z Rosji, organizowały liczne publikacje (na czele z gazetą „Orzeł Biały”) i wydarzenia o charakterze kulturalno-oświatowym. Badacze biografii Czapskiego oceniają, że praca wykonywana wówczas przez niego samego była pracą na co najmniej kilka etatów.

Bohater niniejszego szkicu był również pochłonięty spisywaniem swoich przeżyć zarówno na bieżąco, tj. w formie dziennika (prowadził obszerne zapiski, wzbogacane własnymi rysunkami i wycinkami – niczym staropolskie *silva rerum*), którego tylko część została opublikowana, a także wspomnień i esejów. Najbardziej znana i wielokrotnie wydawana (w różnych językach) książka Józefa Czapskiego nosi tytuł *Na nieludzkiej ziemi* (pierwodruk w Paryżu, 1949). Wcześniej jednak opublikował krótkie *Wspomnienia starobielskie* (pierwodruk w Rzymie, 1944). Z czasem połączył obie książki w jeden tom i wydawał jako *Na nieludzkiej ziemi*; notabene tytuł ten zaczerpnął z wiersza innego emigranta, Stanisława Balińskiego.



Fot. Marcin Lutomiński



Fot. paryskakultura.com

Jego spostrzeżenia na temat komunizmu i Rosjan są przenikliwe i wieloaspektowe. Oto jeden z wielu przykładów: „Nikt tego nie może zrozumieć, tu musi przyjść genialny pisarz, obserwator, nowy Tołstoj, czy nowy Proust, rosyjski czy polski, który by mógł opisać to, co w Rosji jest wszędzie, co chwila, co zdradza nagle w życiu zwykłym, powszednim, jeden gest nikły, jedno spojrzenie niezapomniane. Nie trudne warunki, nie głód, to wszystko jest mniej ważne w porównaniu z tym zadławieniem człowieka, z niemymi spojrzeniami ludzi, wśród których nie ma prawie takiego, który by nie miał kogoś najbliższego w obozach północy” (*Na nieludzkiej ziemi*, s. 69–70).

Autor nie szczędził gorzkich słów swoim rodakom, zwłaszcza po opuszczeniu przez nich „nieludzkiej ziemi”. Poniższe uwagi dotyczą zachowań



Fot. mnk.pl



Fot. Marcin Lutomiński

podczas pierwszej Wigilii Świąt Bożego Narodzenia po ewakuacji (choć w swoim *Dzienniku wojennym* zanotował je przy innej okazji): „Patrząc na tych ludzi, obserwując samego siebie, stwierdzałem, że nie staliśmy się lepsi ani odrobinę. Wystarczy trochę ubrać i odkarmić te kobiety z „kirpicznych zawodów”, z dalekich zesań, wystarczy, aby ci mężczyźni wynędzniali, w podartych „fufajkach”, „męczennicy i bohaterowie”, w cudzysłowie i bez cudzysłowu, z cyngą, z Kołomy czy Workuty, nałożyli mundury, podjedli – a już wyłazi ta sama stara tandeta, flirty, wódka, brak myśli, inteligencji, błaga i bezgraniczna zarozumiałość” (*Na nieludzkiej ziemi*, s. 79).

W jego wspomnieniach są ukazane również pozytywne aspekty polskiej odwagi, uporu, organizacji, a nawet... kłótności, która wynikała z poczucia wolności. Jest też wiele wzruszających opisów losów i postaw więźniów i zesłańców różnych narodowości.

\*\*\*

Po zakończeniu wojny Czapski służył Polsce (by tak rzec: krajowej i emigracyjnej) przede wszystkim jako autor książek, esejów i recenzji, a także prelegent, współpracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa oraz „wielki jałmużnik” i „minister spraw zagranicznych” paryskiej „Kultury”. Był człowiekiem szanowanym i cenionym w różnych, nierzadko skłóconych, kręgach emigracyjnych. Wacław Alfred Zbyszewski wspominał: „[...] sama jego obecność, fakt, że jest, że żyje, że ma stosunki, że widzimy jego długą i chudą sylwetkę, stwarza pewną atmosferę, i mimo woli trzeba się z nim liczyć; nigdy nikt nie może przejść obojętnie wobec faktu, że Czapski tych ceni czy lubi, czy uznaje, czy popiera, a innych – nie. [...] Jest to człowiek, którego ciężar gatunkowy, pozycja w różnych kołach i z różnych punktów widzenia jest za wielka, by można ją zbywać; Józef Czapski jest zawsze tym kamieniem, który wrzucony w wodę zatacza ciągle coraz szersze kręgi” (*Zagubieni romantycy i inni*, s. 282).

Jego aktywność na różnych obszarach nie została jeszcze zbadana. Jak stwierdził Piotr Kłoczowski, który poznał naszego bohatera i przeprowadził z nim obszerne rozmowy: „Czapski jest wciąż do odkrycia” ([culture.pl](http://culture.pl)). 130. rocznica urodzin emigranta niepodległościowego jest dobrą okazją do przypomnienia życia i twórczości tej zasłużonej dla historii i kultury polskiej postaci.

### Bibliografia (wybór)

- Czapski J., *Na nieludzkiej ziemi*, Paryż 1949.
- Czapski J., *Świat w moich oczach*, rozmowy przeprowadził P. Kłoczowski, Warszawa 2024.
- Czapski J., *Wspomnienia starobielskie*, [Rzym] 1944.
- Czempiński J., *Piotr Kłoczowski: „Czapski jest wciąż do odkrycia” [wywiad]*, culture.pl; 31.03.2026.
- Giedroyc J., Czapski J., *Listy 1943–1948*, opracował, wstępem i przypisami opatrzył R. Habielski, Warszawa 2023.
- Józef Czapski, [https://kulturaparyska.com/pl/people/show/jozef\\_czapski/biography](https://kulturaparyska.com/pl/people/show/jozef_czapski/biography); 01.05.2026.
- Supruniuk M. A., *Trzy „podróże” Józefa Czapskiego do Polski*, „Kultura” (Paryż) 1993, nr 4.
- Zbyszewski W. A., *Zagubieni romantycy i inni*, wstęp S. Kossowska, postowie I. Hoffman, Paryż – Kraków 2015.



*Dr Marcin Lutomiński* – zastępca dyrektora Wydawnictwa Naukowego UMK, badacz i popularyzator literatury polskiej



Fot. wikimedia.org

Weronika Zuzanna Jabłońska

## Dynamika zmian. Współczesne badania nad komunikacją

*Studia z teorii i praktyki komunikowania. Paradygmaty, metody, aplikacje* jest publikacją z zakresu nauk o komunikowaniu i mediach, pod redakcją prof. Marka Jezińskiego oraz prof. Małgorzaty Kowalskiej-Chrzanowskiej.

Tom składa się ze zróżnicowanych tematycznie rozdziałów – od analizy podmiotów politycznych po refleksje nad sztuczną inteligencją w kontekście świata naukowego. Publikacja zawiera osiemnaście rozdziałów autorstwa badaczy i badaczek z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu – rozważania przeprowadzane są także przez autorów pracujących w Instytucie Badań Informacji i Komunikacji, działającym od 2019 roku.

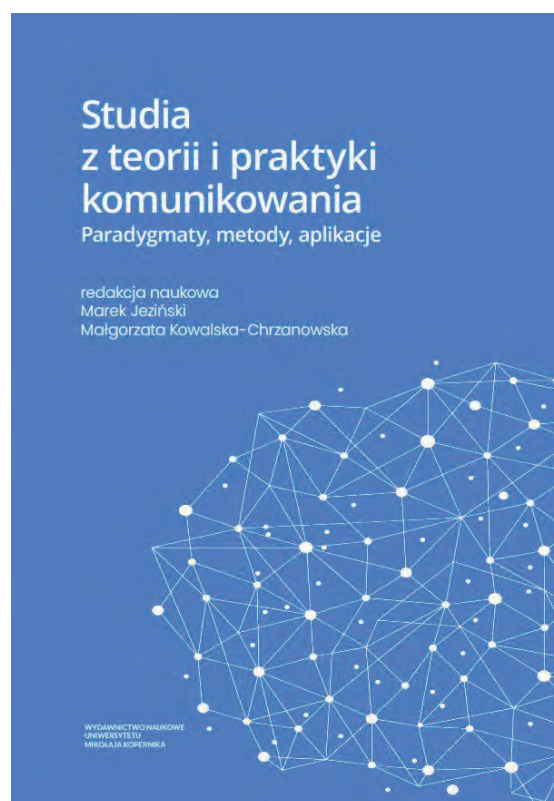
Wszechstronność badań obejmuje – między innymi – kategorię otwartości jako cechy determinującej relacje międzyludzkie, zależność między technologią a sprawczością, obszar praw człowieka w stosunku do wolności słowa oraz ich konsekwencji dla środowiska dziennikarskiego czy możliwości zastosowania metodologii językoznawstwa korpusowego w badaniach nad dezinformacją.

Jak podano we wstępie, rozważania ukazują napięcie związane ze światem mediów i komunikacji, zmieniającym się w sposób dynamiczny. W dyskursie występują bowiem nowe zjawiska takie jak mediatyzacja, sztuczna inteligencja czy szerokie użycie internetowych środków komunikacji do nawiązywania i podtrzymywania kontekstów międzyludzkich

z zestawieniem do tradycyjnych sposobów pojmowania zjawiska mediów i ich funkcji. Zarazem szkice mają na celu ukazać, że także instytucje społeczne związane z mediami przechodzą proces rozwoju o podłożu technologicznym.

Szeroki zakres analiz umożliwia zapoznanie się z tekstem odpowiadającym preferencjom czytelnika. W tym kontekście zwróciłam szczególną uwagę na artykuł *Teczki SOR „Skorpion” kluczem do poznania biblioteczki lubelskiej opozycji politycznej w latach 1982–1989* autorstwa dr Barbary Centek. Podczas gdy władza ograniczała dostęp do rzetelnych informacji, dynamiczne rozwijało się podziemie wydawnicze. Badaczka skupia się na ówczesnej działalności opozycyjnej w Lublinie, opierając się na tezkach SOR „Skorpion” prowadzonych przez Służby Bezpieczeństwa, które wówczas inwigilowały działaczy powiązanych z „Solidarnością”. Wykorzystanie dokumentacji SB stanowi rzetelną podstawę artykułu, wskazując na determinację władz wobec zniwelowania aktywności „działaczy w nielegalnych strukturach „S” na UMCS w Lublinie”. Przeprowadzane rewizje przybierają formę absurdalną, podczas gdy funkcjonariusze obserwują przez dziurkę od klucza J. A. Mazurka, redaktora nielegalnie rozprowadzanych ulotek. Badanie wykracza poza suchą analizę archiwalną, udowadniając, że dokumenty SB – paradoksalnie – stały się kronikami niezależnego obiegu myśli. Co więcej, rozważanie jest istotnym wkładem w badania nad historycznym wymiarem komunikowania politycznego oraz stanowi ważny punkt odniesienia dla zrozumienia ewolucji mechanizmów kontroli przekazu.

W tym kontekście warto także przytoczyć artykuł *Kilka uwag o dziennikarstwie i prawach człowieka autorstwa prof. Wiesława Waćławczyka*, uwzględniającego w swoim warsztacie wzajemne relacje rozwoju human rights oraz środowiska dziennikarskiego. Autor przeprowadza dokładną analizę zależności pomiędzy dziennikarstwem a prawami człowieka i powiązaną z nimi moralnością. Badacz słusznie przypisuje wolności mediów nie tylko wartość ideową, ale przede wszystkim instrumentalną. Fundament analizy stanowi *Powszechna Deklaracja Praw Człowieka*, która stanowi punkt odniesienia dla narracji dziennikarskiej. Przywołany zostaje przykład naruszeń zasad Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, gdy Sowieci wykazywali brak akceptacji wobec niezależnego przekazu. W związku z tym istotną rolę odgrywają media krajów zachodnich – BBC, Głos Ameryki czy Radio Wolna Europa.



W przypadku zaś pracy autor wspomina paryską „Kulturę”. Analizowane kwestie prowadzą do szerszego wniosku, że media – niezależnie od epoki oraz formy – winny stanowić podstawę ochrony ludzkiej godności. Co więcej, dzięki temu ujęciu, dziennikarstwo przyjmuje formę interdyscyplinarną.

Przechodząc do rozważania o tematyce zupełnie odmiennej – choć stanowiącej także interesującą wartość – wskazuję artykuł *Polski rynek książki w formach cyfrowych – wybrane zagadnienia* autorstwa prof. Wandy Ciszewskiej-Pawłowskiej. Badanie opiera się na artykułach branżowych, raportach naukowych oraz publikacjach dotyczących dystrybucji książek elektronicznych. Wśród rosnącego zainteresowania e-bookami występuje także wątpliwość etyki biznesu, czyli podmiotów oferujących płatny abonament z dostępem do lektur. Przykładem jest „Afera Legimi”, podczas której ujawniono nieprawidłowości w rozliczeniach z wydawcami i autorami. Jak wspomina autorka, polski rynek e-booków pozostaje na marginesie badaczy książek ze względu na trudności w dostępie do informacji finansowych – tym samym rozważanie stanowi wartościowy wkład w badania nad formami wydań cyfrowych. Autorka przywołuje – między innymi – aspekty takie jak rozpiska formatów zapisów książek elektronicznych, szczegółowe wytłumaczenie terminologii czy kon-

kretnie cechy dystrybucji, skupiając się zarówno na kwestiach ekonomiczno-społecznych, jak i czysto technicznych.

Istotą publikacji *Studia z teorii i praktyki komunikowania* jest różnorodność podejmowanych refleksji – a co za tym idzie – wynikająca z niej interdyscyplinarność. Media oraz komunikacja mogą być rozumiane w bardzo szerokim zakresie, co tom przekonująco udowadnia. Nie trzeba być bezpośrednio zainteresowanym zagadnieniem komunikacji, aby zaciekać się lekturą, ponieważ w swojej perspektywie wykracza poza granice jednej dyscypliny.

Czytelnik zapoznaje się z wielogłosową, a zarazem spójną osią problemową, co stanowi podstawę do wypracowania obiektywnej perspektywy interpretacyjnej. Rozważania stanowią aktualny wkład w rozwój badań nad komunikacją oraz podstawę do dyskusji nad zmianami – oraz wynikającymi z tego konsekwencjami – charakteru komunikacji.

***Studia z teorii i praktyki komunikowania. Paradygmaty, metody, aplikacje*, red. Marek Jeziński, Małgorzata Kowalska-Chrzanowska, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2025.**

## Pytajnik

Na pytania dr. Patryka Tomaszewskiego odpowiada dr hab. Agnieszka Zienkiewicz, prof. UMK

### Najważniejsze skojarzenie związane z UMK

UMK kojarzy mi się przede wszystkim z ludźmi – inspirującymi, pełnymi pasji i otwartymi na nowe wyzwania. To miejsce, które daje ogromne możliwości rozwoju, ale też przestrzeń do poznawania ciekawych osób i budowania wartościowych relacji.

### Jeśli nie zostałam naukowcem, to chciałabym być...

Gdybym nie została naukowcem, najchętniej zostałam weterynarzem, bo zwierzęta to moja ogromna miłość i pasja. Wychowałam się na wsi, więc od zawsze miałam z nimi bliski kontakt i zdobyłam już pewne (niewielkie) doświadczenie w tej dziedzinie. A ponieważ na UMK jest kierunek weterynarii, to kto wie – może jeszcze kiedyś uda mi się spełnić to marzenie.

### Zespół/zespoły, które najbardziej wpłynęły na Pani gust muzyczny

Zdecydowanie polski rock – Dżem, Myslovitz, IRA czy Kult to zespoły, które mocno kształtowały

mój gust muzyczny i do dziś mam do nich ogromny sentyment. To muzyka mojej młodości, pełna emocji i świetnych tekstów. Poza tym lubię też czasem mocniejsze brzmienia – Metallica czy Red Hot Chili Peppers również często goszczą na mojej playlistę.



Fot. Andrzej Romański

### Na bezludną wyspę, gdyby była możliwość zabrania jednej książki, byłaby to...

Gdybym mogła zabrać na bezludną wyspę tylko jedną książkę, byłby to zdecydowanie *Lot nad kukuczym gniazdem* Kena Keseya – to moja książka numer jeden. Jestem prawdziwą pożeraczką książek, uwielbiam czytać, szczególnie kryminały polskich autorów. Mam też ogromny sentyment do kryminałów z czasów PRL. Szczerze mówiąc, sama perspektywa przebywania na bezludnej wyspie tylko z jedną książką byłaby dla mnie sporym wyzwaniem... nawet pomijając wszystkie inne aspekty takiej wyprawy.

### Schabowy, sushi..., czyli ulubione danie

Zdecydowanie schabowy i szeroko pojęta kuchnia polska, szczególnie regionalna – to smaki, do których zawsze chętnie wracam. Jednocześnie jestem otwarta na nowe kulinarne doświadczenia i lubię eksperymentować w kuchni. Uwielbiam także kuch-

nię hiszpańską oraz włoską, pełną prostych, ale wyjątkowych smaków.

Dr hab. Agnieszka Zienkiewicz, prof. UMK – biolog, specjalistka w zakresie metabolizmu lipidów roślinnych, związana z Interdyscyplinarnym Centrum Nowoczesnych Technologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. W roku 2025 pełniła funkcję Dyrektora ICNT UMK, a od 2026 jest Zastępcą Dyrektora Instytutu Studiów Zaawansowanych UMK.

Ukończyła studia magisterskie z biologii na UMK w 2002 roku, a w 2007 roku uzyskała stopień doktora nauk biologicznych na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UMK. Doświadczenie naukowe zdobywała podczas wieloletnich staży podoktorskich w renomowanych ośrodkach badawczych w Hiszpanii, USA i Niemczech.

## Maurycy Męczekalski

# Pożegnanie z KLAMRĄ

Tegoroczne Alternatywne Spotkania Teatralne KLAMRA o numerze porządkowym 34. odbyły się w Akademickim Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa” w dniach 21–28 marca.

W ciągu 8 dni miało miejsce aż 25 różnych wydarzeń. Festiwalowa publiczność mogła obejrzeć 11 najnowszych przedstawień najlepszych polskich teatrów niezależnych oraz uczestniczyć w licznych imprezach towarzyszących – pokazach filmowych, koncertach jazzowym, niezwyklej wystawie, a także spotkaniach z twórcami teatralnymi.

Ta KLAMRA miała dla mnie znaczenie szczególne, ale o tym później.

Zaszczyt otwarcia tegorocznego festiwalu przypadł Teatrowi Ósmego Dnia. Ta legendarna grupa teatralna jest doskonale znana widzom KLAMRY. „Ósemki” po raz pierwszy wystąpiły w „Od Nowie”

w 1995 roku, prezentując swój głośny spektakl *Tańcz, póki możesz*. Od tego czasu teatr, który niezmienne tworzy ten sam zespół aktorski w składzie: Ewa Wójciak, Adam Borowski, Tadeusz Janiszewski i Marcin Kęszycki wielokrotnie gościł na KLAMRZE, prezentując swoje kolejne produkcje. *Nic nie wiemy na pewno* to najnowsza propozycja popularnych „Ósemek”. Spektakl można określić jako „The best of Teatr Ósmego Dnia”. Tworzy go kolaż znanych już scen. Jest swoistą podróżą przez dawne przedstawienia, przez wątki i postacie, które miały wyjątkowe znaczenie dla zespołu. Dobór scen, jak zawsze w przypadku tego teatru, stanowi komentarz do otaczającej nas rzeczywistości. Artyści nigdy nie pozostawali obojętni na to, co nas otacza, zawsze zabierali głos w ważnych sprawach, buntowali się wobec świata, który jest coraz groźniejszy. Jak zwykle aktorzy urzekli publiczność doskonałą grą, realizując

swoją opowieść z zastosowaniem szerokiej palety aktorskich umiejętności.

Spektakl *Everything Not Saved Will Be Lost* firmowany przez **Zuzannę Kasprzyk** reprezentował obecny od lat na KLAMRZE nurt teatru tańca. Na scenie pojawiły się 3 tancerki, anatomiczny model szkieletu i makieta ptaka – kraski. Przedstawienie inspirowane solowym popisem Anny Pawłowej *Umierający łabędź* mogło zachwycić miłośników współczesnych scenicznych układów choreograficznych.

Niedzielny wieczór z pewnością zaskoczył bywalców KLAMRY. Po raz pierwszy w historii festiwalu na scenie „Od Nowy” nie pojawił się żaden aktor. *Ostatnia Fuga Dariusza Gorczyca* to spektakl realizujący jego nowatorską koncepcję „Teatru mechanicznego”. Wyjątkowość projektu dopełnia fakt, że jest to, jak twierdzi autor, **pierwszy na świecie spektakl w całości wygenerowany w technologii 3D**. Efektem pracy autora jest perfekcyjnie opracowane, pełne symboliki i emocjonalnej intensywności niemal mistyczne audiowizualne widowisko, które powstało z inspiracji obrazem Francisco Goyi – *3 maja 1808. Rozstrzelanie powstańców madyryckich*. Egzekucja stała się tu osią wyrachowanego i metodycznego, rozrastającego się z każdym cyklem, rytuału eksterminacji, a ofiary, bezwładne

nagie ciała osuwające się z rampy na proscenium i piętrzące się w stos, stworzyły wstrząsający obraz ludzkiej autodestrukcji. Uzupełnieniem tego widowiska była niezwykła wystawa rysunków, wydruków i animacji 3D prezentujących specjalnie skonstruowane na potrzeby spektaklu obiekty i maszyny.

Przedstawienie *To, co straszy* debiutującego na KLAMRZE duetu **Stajnia Metamorficzna** przeniosło kłamrową publiczność do magicznego świata, sił nadprzyrodzonych takich jak diabły, mamuny, topielice, przywołując wizję ludowego horroru. Początkowo nazbyt dosłowna historia rodem z tradycyjnych baśni, rozwinęła się, łącząc w sobie elementy folkloru i wierzeń z obszarów polskiej wsi.

**Marcin Herich** – twórca **Teatru A Part** tym razem przywiózł do Torunia swoją autorską propozycję *Four More*. Przedstawienie jest kontynuacją prezentowanego kilka lat temu na KLAMRZE spektaklu *Cztery*. W *Four More* słowo nie ma żadnego znaczenia. To ciąg kompozycji scenicznych na cztery performerki i ich ciała, przestrzeń, dźwięk i światło, w którym nagie kobiece ciała konfrontowane są z dużymi metalowymi obiektami. Spektakl wykorzystuje grę światła i cieni oraz zabiegi z pogranicza rzeczywistości i iluzji. Przedstawienie in-



KLAMRA 2026, Teatr Ósmego Dnia

Fot. Tomasz Dorawa



KLAMRA 2026, Teatr A Part

Fot. Anna Jankowska

spirowane malarstwem i grafiką (w szczególności miedziorytem Albrechta Dürera *Cztery czarownice*) oraz tradycją numerologiczną i symboliczną wprowadziło niezwykle, wręcz magiczny nastrój, a finałowa scena z pewnością na długo pozostanie w pamięci widzów. Warto przypomnieć, że Marcin Herich gościł już wielokrotnie na naszym festiwalu. Początkowo jako aktor i współpracownik katowickiego **Teatru Cogitatur** – jednego z moich ulubionych teatrów, które pojawiły się kiedykolwiek na deskach „Od Nowy” – a od kilkunastu lat jako twórca przedstawień stworzonego przez siebie Teatru A Part.

Spektakl kolejnego teatru przywołał jeszcze dawniejsze wspomnienia. Stało się to za sprawą **Jerzego Lacha** – twórcy i szefa **Teatru Opera Modern** oraz reżysera przedstawienia *Trzeba to sobie jasno powiedzieć*. W latach 1993–99 Jerzy Lach wraz ze swoim **Teatrem im. Alberta Tison** był gościem pierwszych pięciu festiwali KLAMRA. Kto jeszcze pamięta te czasy? Wśród widzów obecnych na tegorocznym festiwalu prawdopodobnie tylko jedna osoba – Marek Jeziński – wtedy młody teatralny twórca – teraz profesor z Wydziału Filozofii i Nauk Społecznych UMK. *Trzeba to sobie jasno powiedzieć* – to spektakl pełen ironicznych, a zarazem tragicznych i jakże aktualnych scen, opowiadający o współczesnej polskiej

rodzinie, skłóconej i podzielonej przez polityków „na lewą i prawą stronę”.

**Arti Grabowski** – laureat KLAMRY z roku 2020 to postać doprawdy wybitna. Profesor ASP w Krakowie, całkowicie oddany sztuce artysta interdyscyplinarny, performer, reżyser teatralny, malarz i rzeźbiarz, działający na styku sztuki performance oraz teatru eksperymentalnego. Jego krótki autorski monodram *Romeo Bis* to swoiste studium psychologiczne inspirowane postacią sąsiada autora – emerytowanego profesora, który cierpi na agorafobię, czyli irracjonalny lęk przed otwartą przestrzenią, tłumem i podróżowaniem. To przejmujące studium ludzkiego niepokoju, zamkniętego w klaustrofobicznej przestrzeni własnych fobii, obsesji i lęków. Mieszkanie profesora, a dokładnie balkon jego mieszkania jest osobistą mównicą, proscenium, sceną teatralną, a zarazem więzieniem bez drogi ucieczki. Profesor, rozdarty między swoją wewnętrzną niemocą a utopijnymi wizjami, snuje moralizatorskie traktaty, głosi odezwy do sąsiadów i wygłasza płomienne manifesty do świata, którego realnie nie jest w stanie dotknąć.

Debiutująca na KLAMRZE **Grupa Pomarańcze** to zespół, którego największym atutem jest szczerość wypowiedzi. Kiedyś napisano o nich: „Możliwe,



KLAMRA 2026, Teatr Usta Usta Republika

Fot. Tomasz Dorawa

że to jedna z nielicznych dzisiaj grup ludzi, którzy wciąż marzą o jedności bytu zwanego sztuką niezależną. Oni naprawdę wierzą w teatr dla zwykłych ludzi robiony właśnie przez zwykłych ludzi”. Już pełna nazwa tego teatru: „Pomarańcze w Uchu na Skarpie bez Kartki” może wzbudzić zainteresowanie. Przedstawiony na KLAMRZE spektakl *Oszukani* – czytelna, dynamiczna mieszanka absurdu i realizmu codzienności – nie wzbudził mojego entuzjazmu, może właśnie przez swoją nadmierną dosłowność. Pod koniec spektaklu zespół zaskoczył jednak widzów, zapraszając ich do wyjścia na zewnątrz, gdzie rozegrała się ostatnia scena przedstawienia. Takie niespodziewane zwroty akcji zawsze były siłą teatru alternatywnego i stanowiły jeden z elementów jego oryginalności.

W przedostatnim dniu festiwalu widzowie KLAMRY odbyli prawdziwe podróże w czasie – najpierw do roku 3025, by za sprawą kolejnego spektaklu przenieść się do czasów antycznych.

Poznański **Teatr Usta Usta Republika** – przyjechał do Torunia jako podwójny zdobywca Nagrody Publiczności KLAMRY. Widzowie festiwalu nagrodzili go w latach 2011 i 2014. Prezentowany w tym roku spektakl *Plemię* to przewrotna opowieść o nas samych – narodzie, który nie potrafi przestać marzyć. Poszukując nowego świata, uczestnicy eks-

pedycji kosmicznej, która dryfuje ku granicom znanego wszechświata, próbują znaleźć odpowiedzi na odwieczne pytania: o sens wspólnoty, o granice poświęcenia, o zrozumienie istoty władzy. *Plemię* to spektakl niejednoznaczny, zabawny i jednocześnie niepokojąco aktualny. W mojej ocenie Usta Usta Republika po raz kolejny udowodniła, że jest teatrem nieustannie poszukującym nowych form przekazu i kontaktu z widzem, a także zespołem innowacyjnym, również w wymiarze technologicznym – tym razem zastosowanie znalazło zielone światło laserowe, które pozwoliło stworzyć niezwykle, prawdziwie kosmiczny klimat. Najlepszą recenzją tego przedstawienia niech będzie fakt, że widzowie KLAMRY przyznali mu swoją nagrodę za rok 2026. W ten sposób Teatr Usta Usta Republika **po raz trzeci został laureatem Nagrody Publiczności KLAMRY.**

Kolejne przedstawienie, zaprezentowane przez **Teatr Chorea**, tym razem zrealizowane w kooperacji z **Chórem Spółdzielczym** z Łodzi przeniosło widzów w antyczne czasy starożytnej Grecji. *Hoson zes/Lśnij* był właściwie koncertem prezentującym surową, pierwotną, a zarazem niezwykle żywą muzykę starogrecką we współczesnych opracowaniach. Warto zaznaczyć, że w widowisku uczestniczyło aż 30 wykonawców, co jest historycznym rekordem naszego festiwalu. Tym spektaklem Chorea powróciła



KLAMRA 2026 – Maurycy Męczałski i widzowie

Fot. Anna Jankowska

do swoich antycznych źródeł. **Tomasz Rodowicz**, współtwórca przedstawienia był przez prawie 30 lat odpowiedzialny za projekt Orkiestra Antyczna, realizowany w ramach legendarnego Ośrodka Praktyk Teatralnych Gardzienice Włodzimierza Staniewskiego (w 2006 roku widzowie KLAMRY mieli okazję zobaczyć w Gardzienicach dwa antyczne tytuły – *Elektrę* i *Metamorfozy* – był to jedyny przypadek w historii KLAMRY, kiedy festiwalowe spektakle odbyły się poza Toruniem).

Na zakończenie KLAMRY wystąpił **Living Space Theatre** – laureat ubiegłorocznego festiwalu. Przedstawienie *Karaoke* miało „lekką”, nieco rozrywkową formę – składały się na nie popularne piosenki, wykonywane z udziałem publiczności, które uzupełniły charakterystyczne dla Living Space Theatre układy choreograficzne. Taki sposób zakończenia festiwalu był moją intencją, jednak obserwując reakcje widzów, widziałem, że niektórym teatralnym purystom taki pomysł nie przypadł do gustu.

Tegoroczna KLAMRA była jednocześnie ostatnią, jaką przygotowałem dla naszej festiwalowej publiczności. Organizowałem ten festiwal od samego początku, czyli od roku 1993, kiedy wspólnie z **Jarosławem Kobierskim**, ówczesnym studentem polonistyki, wymyśliliśmy teatralne spotkania w „Od Nowie” – miejscu, co warto podkreślić, które

wtedy z teatrem zupełnie nie było kojarzone. Pomysł na festiwal teatralny wcale nie był oczywisty. „Od Nowa” nie posiadała żadnej teatralnej infrastruktury. Nie mieliśmy też żadnego doświadczenia w tym zakresie, ale dzięki pasji, uporowi, pomysłowości, energii i przede wszystkim tytanicznej pracy wielu osób KLAMRA powstała i przez lata rozwinęła się do obecnych rozmiarów, stając się jednym z najważniejszych w swojej kategorii festiwali w kraju.

KLAMRA pod moim „dowództwem” trwała łącznie 249 dni, czyli ponad 8 miesięcy. W ciągu 34 lat odbyło się 315 spektakli, w których wystąpiło w przybliżeniu 1340 aktorów, a łączny czas tych przedstawień można oszacować na prawie 400 godzin. KLAMRA to wiele dni i nocy spędzonych w „Od Nowie”, to krew, pot i łzy dla mnie i wielu zaangażowanych w festiwal osób, ale z pewnością warto było ją tworzyć. Wszystkim osobom zaangażowanym w realizację naszego wspólnego teatralnego dzieła serdecznie dziękuję.



**Maurycy Męczałski** – animator kultury, muzyk, kompozytor, wieloletni dyrektor Akademickiego Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa”, twórca festiwalu KLAMRA

## ICÔNE BB. UNE AVENTURE LINGUISTIQUE ET CULTURELLE. PODRĘCZNIK

AUTOR: KRZYSZTOF TROJANOWSKI



Język francuski z Brigitte Bardot w roli przewodniczki. Nietypowy podręcznik zachęcający do poznawania języka i kultury francuskiej poprzez biografię, dokonania artystyczne i działalność społeczną jednej z najsłynniejszych ikon XX wieku. Kino, muzyka, moda i świat zwierząt tworzą wielobarwną mozaikę tematów wprowadzającą w język żywy, zmysłowy i pełen niuansów. Książka przeznaczona dla osób uczących się na poziomie B2–C1. Zawiera różnorodne ćwiczenia leksykalne i gramatyczne oparte na autentycznych materiałach – doskonale zarówno do pracy w klasie, jak i do samodzielnej nauki. To znakomita propozycja dla tych, którzy chcą się uczyć inaczej: z pasją i przez pryzmat fascynującej postaci, która stała się mitem i symbolem epoki.



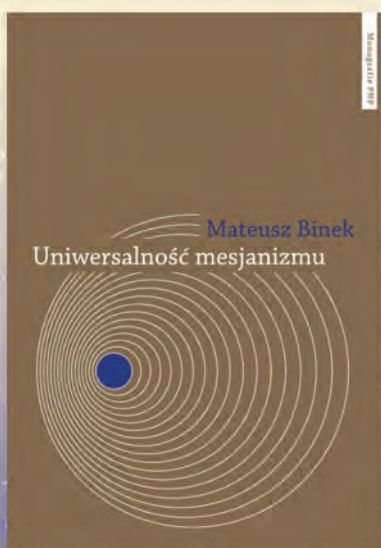
ROZMOWY  
Z EDYTORAMI



KWADRATOWE  
SŁOŃCE

## UNIWERSALNOŚĆ MESJANIZMU. FILOZOFIA POLITYCZNA AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

AUTOR: MATEUSZ BINEK



Książka stanowi krytyczną analizę filozoficzno-politycznych aspektów myśli jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego mesjanizmu – Augusta Cieszkowskiego. W pierwszej części prezentowanej monografii zastosowano metodę rekonstrukcji poglądów filozofa wraz ze wskazaniem na ich ideowe źródła. W drugiej części pracy do analizy filozofii politycznej Cieszkowskiego wykorzystano siatkę pojęciową i metody wypracowane przez Carla Schmitta. Ich zastosowanie pomogło lepiej zrozumieć specyfikę badanych teorii przez ich interpretację w świetle takich ujęć teoretycznych, jak: uwzględnienie opozycji przyjaciół – wróg, pytanie o warunki możliwości ustanowienia globalnej wspólnoty politycznej, podkreślanie antropologicznego zakorzenienia koncepcji filozoficzno-politycznych.



PSZCZOŁY  
W KRAJOBRAZIE  
ROLNICZYM –  
PRZEWODNIK DLA  
SADOWNIKÓW  
I PLANTATORÓW

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS  
UCZELNI**

 **KOMPAS**  
AGENCJA TURYSTYCZNA



kliknij do nas:  
[www.bilety-lotnicze.com.pl](http://www.bilety-lotnicze.com.pl)



Accredited  
Agent

